



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

---

## **Brązownicy**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## Brązownicy

OD AUTORA

Znana jest historia o pewnym literacie, który lubił podróżować: „Kiedy mam ochotę zwiedzić jakiś kraj (mówił), a nie mam pieniędzy, sporządzam książkę z opisem tego kraju, a za uzyskane honorarium jadę sprawdzić, czy tam jest w istocie tak, jak ja opisałem”. Nie zupełnie to samo, ale coś podobnego mógłbym powiedzieć o swoich studiach literackich. Zwykle piszę o czymś artykuł, a potem zaciekawiony przedmiotem rozczytuję się w dokumentach, monografiach i sprawdzam, czy jest tak, jak ja pisałem. Dość często mam tę pociechę, aby stwierdzić, że właśnie jest tak samo.

Tak było z Adamem Mickiewiczem. W parę tygodni na zaproszenie wydawców napisałem przedmowę do nowego wydania *Dzieł* poety. Wywołała ta przedmowa żywe polemiki. Otóż zaciekawiony tematem, mimo że *post festum*, brnąłem dalej, nie mogłem się oderwać, figura Mickiewicza przykuwała mnie; zarazem coraz bardziej umacniałem się w przekonaniu — wyrażonym już w mojej *Przedmowie* — że ze wszystkich naszych wielkich jest on najmniej znany. Ucharakteryzowany na bożka, upraszczany i naciągany na wszystkie sposoby, traci on — dla ogółu przynajmniej — swą wieloplanowość, swoją głębię i bezpośredniość, które go czynią kopalnią niespodzianek i zagadek. Stał się raczej sztandarem niż człowiekiem. Otóż dzięki niezmiernej uprzejmości dyrektora Biblioteki Krasieńskich, pana Jana Muszkowskiego, któremu pozwalałam sobie na tym miejscu złożyć serdeczne podziękowanie, dostałem w ręce pewne dokumenty, rzucające moim zdaniem nowe światło na całą epokę życia Mickiewicza, jak również na osobliwy stosunek oficjalnej nauki do naszego największego poety. I z rozmów, jakie miałem w tym przedmiocie, z listów, jakie otrzymałem, zyskałem przeświadczenie, że istnieją u nas dwie wiedze: jedna urzędowa, druga prywatna, przekazywana sobie między fachowcami na ucho. Powie ktoś, że nie każdy szczegół życia wielkiego człowieka jest równie ważny i równie potrzebny; zapewne, ale w decyzji o tym muszą rozstrzygać względy istotne. Nie może historia literatury zmieniać się w hagiografię. A i ta hagiografia też bywa ciasno pojęta: czyż nie największym tytułem chwały św. Augustyna są własne jego *Wyznania*? W życiu wielkiego człowieka najpodniosłym widowiskiem jest ciągle dramat jego życia, nie zaś sztucznie przez zbyt cnotliwych biografów stworzona harmonia. Pod tym względem panowały u nas — zapewne wskutek nieszczęsnych warunków naszego bytu narodowego — dziwne pojęcia. Nie dalej jak wczoraj opowiadał mi bardzo poważny uczony następujący fakt. Ksiądz Kalinka zamierzył swego czasu napisać monografię Kościuszki. W pewnym momencie swoich badań przerwał je i odstąpił od zamiaru: „Nie (powiedział), nie mogę odbierać narodowi jego ideału”. Jestem pewien, że dobry ksiądz Kalinka przesadzał.

Ale nie będę się dłużej rozwodził nad tą sprawą, bo ona właśnie jest przedmiotem tych zebranych w całość artykułów pisanych w gorączce poszukiwań lub w ogniu polemiki. Podpisuję je oto do druku w dniu jedenastej rocznicy Niepodległości, która wszak musi stać się naszym wyzwoleniem nie tylko politycznym, ale i historyczno-literackim.

Boy

Warszawa, 11 listopada, 1929

BRĄZOWNICY

Dalem tym wstępnym rozważaniom tytuł *Brązownicy*, ponieważ w dyskusji, która stała się ich pobudką, raz po raz pojawiała się pytanie — rozstrzygane zazwyczaj w sensie twierdzącym: czy wielki pisarz — w szczególności Mickiewicz — ma zostać dla nas „posągiem z brązu”. Wynika stąd dla mnie jedna oczywistość: mianowicie, że krytyk czy historyk

literatury powinien by w takim razie odbyć praktykę brązowniczą; w przeciwnym razie i w tym brązie będzie fuszerował. Brązowa ta dyskusja urodziła się z mojej książki pt. *Ludzie żywi*, przede wszystkim zaś z artykułiku *Mickiewicz a my*, będącego przedmową do dzieł Mickiewicza w wydaniu Biblioteki Arcydzieł Literatury.

Pragnę rozważyć niektóre punkty tej dyskusji; w tym celu wydaje mi się bardziej taktyczne nie zaczynać od Mickiewicza. Mickiewicz, to rzecz skomplikowana i wielka; zacznijmy od prostszej i skromniejszej. W toku tej dyskusji padło kilka razy — również z powodu mego artykułu — imię Narcyzy Żmichowskiej; otóż sprawa Żmichowskiej ma tutaj tę zaletę, że posiada niejako — z przyczyn, które zaraz objaśnię — wartość eksperymentu. Mówmy tedy o Narcyzce; tym bardziej, że na jej temat sformułował pod moim adresem p. Henryk Bezmaski bardzo konkretne zarzuty w odpowiedzi na artykuł Karola Irzykowskiego (*Naprzód*) pt. *Odegiwanie literatury*. Odrzucając z lekceważeniem moją próbę ożywienia głęboko zapomnianej pisarki, p. Bezmaski pisze:

Dla czytelnika polskiego była i jest, i da Bóg, że długo jeszcze będzie wielką poetkę i obywatelką. W jakim stanie znajdował się jej system nerwo-wo-seksualny, co to kogo obchodzi poza jej najbliższym otoczeniem? Może to być przedmiotem sensacji, awantury literackiej, na której ten czy ów wydawca może zarobić. Wartości literackiej nie ma to żadnej.

Mogę się tylko cieszyć, że w piśmie tak często pomawianym o bezbożność, jak *Robotnik*, załatwia p. Bezmaski sprawę owym cnotliwym i staropolskim „da Bóg”; gdyby jednak uważniej czytał mój artykuł o Żmichowskiej, dowiedziałby się z niego, że właśnie zupełne zapomnienie „poetki i obywatelki”, dla której ja wyniosłem z domu osobliwy kult, było przyczyną mego zajęcia się jej osobą. I oto pozwolę sobie przedstawić rezultat, mający, jak rzekłem, charakter wręcz eksperymentalny: w parę tygodni po moim artykule otrzymałem propozycję napisania przedmów do trzech utworów Żmichowskiej, które księgarze skłonni byli wydać: przy dwóch położono moją przedmowę jako warunek podjęcia wydania. *Czy to powieść?* i *Biała róża* już się ukazały, *Poganka* ukaże się niebawem; wydanie nieznanych listów pisarki jest w toku. Przedtem mimo obchodów, rocznic ani jednego tomu jej pism nie było w księgarniach. Zapewne, „wydawca może zarobić”, jak z lekceważeniem pisze pan senator; ale to już jest, wyznaję, oryginalny sposób patrzenia na literaturę, przy którym istnienie dzieł na rynku księgarskim — a tym samym w rękach publiczności — jest rzeczą uboczną, rzeczą, o której mówi się z taką wzdrgną! Pan Bezmaski lekceważy tak nietrwałą rzecz jak papier, jest zdecydowanym brązownikiem; ale brąz ma tę właściwość, że jest bardzo niewygodny do czytania. Celebrowano koło Żmichowskiej pół wieku bez skutku; wystarczyło przemówić ludzkim głosem, aby ją zbudzić do życia. Niechże więc pan senator zastanowi się trochę: skoro odsądza moje poczynania od „wszelkiej wartości literackiej”, niech im przyzna wartość choć praktyczną i niech powie sumiennie: kto lepiej służy sprawie pisarzy, czy ten, który im daje nowe życie i odnawia ich przymierze z czytelnikami, czy ten, kto bezmyślnie macha kadzielnicą przed starym, zakurzonym posążkiem?

\*

To tradycjonalistyczne wystąpienie patriarchy socjalizmu dowodzi, jak głęboko wżarł się nam w krew zbożny frazes. Faktem jest, że czy to wskutek naszych narodowych właściwości, czy bardziej jeszcze wskutek wiekowego pijarsko-jezuickiego wychowania, czy wskutek tragicznego zagmatwania naszych kolei dziejowych, stosunek nasz do naszych pisarzy stał się odmienny niż gdzie indziej. Wszystko pod kątem krzepienia serc, zbudowania narodu, młodzieży... Socjaliści odziedziczyli to po „konserwie”. I szczęście to prawdziwe dla nas, że los dał nam pisarzy dosyć bogobojnych; inaczej nie nastarczylibyśmy z załgiewaniem. Niedawno odezwały się głosy, że czas skończyć z legendą, jakoby Przybyszewski pijał kiedy wódkę! Cóż za szczęście, że nas Opatrzność nie pokarała takim poetą jak Villon! Świeżo miałem w ręku nową literaturę Villonowską: *La psychose de Villon* itd. Czy był degeneratem, czy tylko zwykłym opryszkiem — oto pytania, jakie padają dokoła jednego z największych poetów Francji. I ileż straciłaby jego słynna *Balada wisielców*, gdybyśmy nie wiedzieli, że była napisana przez storturowanego na śledztwie

poetę niemal u stóp szubienicy, która go cudem ominęła. Ponure życie Villona — to integralna część jego poezji.

Nie mamy — na szczęście czy na nieszczęście, — takich kłopotów. Mówię: „na nieszczęście”, bo nie miałbym nic przeciw temu, gdyby „Hipek Wariat”, skoro już musi być bandytą, wydał w czasie urlopu wspaniały tom wierszy. Mamy w literaturze na ogół bardzo zacnych ludzi. Możemy zgłębiać ich życie z podziwem, z uwielbieniem, w każdym zaś razie z usprawiedliwioną i żywą ciekawością. Jeżeli nauka bada wydzielanie gruczołów trawiennych u pchły, jakże można zabronić ludziom, aby się interesowali wszystkim, co oświetla życie psychiczne ich geniuszów? Czy to geniuszom coś ujmuje? Przenigdy. Nigdy nie było tak silnego pędu jak dziś do poznawania życia wielkich ludzi. Zrozumiano, że te żywoty to najciekawsza powieść, najwspanialszy dramat — dramat ducha — ale na to trzeba dotrzeć do istoty tego dramatu, nie zaś przyrządzać z niego dydaktyczne *Wieczory pod lipą*. Wszystko to są rzeczy gdzie indziej tak dawno rozstrzygnięte, że nie ma o nich dyskusji.

Ale i u nas, cóż za osobliwa sprzeczność, cóż za paradoksy! Umiera wielki pisarz: wydaje się jego listy. Przez pietyzm. Ale cytować te listy, opierać się na nich, jest zbrodnią: kto żyw podnosi krzyk: „Niech zostanie z brązu!”. Po kiegoż tedy licha wydawać te listy, skoro do nich nie wolno zaglądać? Wszak te stany „systemu nerwowo-seksualnego” Narcyzy, które — powiada pan senator — nikogo nie obchodzą, wyjęte są z jej listów. Idźmy dalej: są listy, gdzie jeden pisarz mówi o drugim. Znów — zdaje się — nie wolno cytować. Bo, ostatecznie, co ja uczyniłem, żem narobił tyle skandalu? Czym wynalazł jakieś nieznanne a podejrzane dokumenty? Ależ nie! Cytowałem po prostu ustępy z listów, wydanych przez... pietyzm dla wielkich pisarzy.

Ja sądzę, że trzeba właśnie o tych rzeczach mówić, że trzeba je oświetlać. Bo inaczej, cóż pomyśli nieprzygotowany czytelnik, gdy przeczyta dytyrambiczny żywot Mickiewicza, niemniej dytyrambiczny żywot Krasińskiego, a potem to, co jeden z nich mówi o drugim? Właśnie zadaniem historii literatury jest dyskutować, wyjaśniać, godzić sprzeczności, a nie wstydliwie ignorować to, co jest własnością publiczną.

Nie tykać poufnych szczegółów życia, powiada p. Lorentowicz, ale wgłębiać się w samo dzieło. Ale właśnie dla poznania tych poufnych szczegółów życia — jako nieoceniony komentarz do dzieła — wydaje się listy wielkich ludzi. Załóżcie panowie protest przeciw ich wydawaniu: ale nie, wydajecie je sami i poczytujecie to sobie za zasługę; a krzyczycie, kiedy ktoś robi właściwy użytek z waszej pracy.

Nie tykać szczegółów życia! Czy to żarty? Ależ od dziecka wbijano nam je w mózg, życiorysy wielkich ludzi stanowią w szkole połowę nauki literatury. Pół roku kulem drobniogowy żywot Mickiewicza! Co najwyżej tedy chodziłoby o to, aby powtarzać i przeżuwać wciąż te same uswiecone bajeczki, nie próbując ich oświetlać na nowo.

\*

Bardziej tolerancyjne stanowisko zajął p. Zdzisław Dębicki. Nie ma nic przeciw moim „wątpliwościom, rozciekawieniom i niepokojom”, ale uważa, że niewłaściwym dla nich terenem jest przedmowa do dzieł poety. „W przedmowie takiej (pisze) powinien on stać raczej jak posąg z brązu, po dawnemu”.

Po dawnemu; ale po jakiemu dawnemu? Bo ja sam pamiętam już tych dawności kilka. I posąg z brązu, ale jaki? Bo też było ich już więcej. Znany jest (prywatnie) historykom literatury fakt, że Stanisław Tarnowski, będąc w Paryżu, zaklinał Władysława Mickiewicza, aby zniszczył wszystkie dokumenty działalności ojca z epoki „Trybuny Ludów”. Dla Tarnowskiego były to dokumenty hańby; chodziło mu o to, aby Mickiewicz pozostał „po dawnemu jako posąg z brązu”. W imię tej samej zasady p. Adam Krzyżanowski protestował przeciw „wygrzebywaniu” zapomnianych pism poety. Ileż zresztą z pewnością naniszczono dokumentów w imię tej zasady! Znam list, w którym ktoś odmawia Władysławowi Mickiewiczowi powierzenia dokumentów, zarzucając mu ich fałszowanie. Przez pietyzm oczywiście. Ale co znaczy to słowo? Pamiętam czas, gdy socjaliści w Krakowie składali u stóp pomnika pierwsze wieńce; inni uważali to za bluźnierstwo, wówczas właśnie żądano niszczenia dokumentów pozwalających pomówić Mickiewicza o socjalizm. Było to kalaniem posągu z brązu. Sądzę tedy, że każdy fabrykował sobie ten posąg

z troszkę odmiennego brązu. I jeżeli nawet staniemy na stanowisku brązowniczym, możemy przyjąć, że od czasu do czasu posąg z brązu ulega przelaniu. Przypuśćmy, że obecnie jesteśmy w fazie takiego przelewania posągu.

Ciekawe jest, że gdy tyłu mniej lub więcej młodych zajęło stanowisko obrony tradycji (jakiej?), całkowicie po mojej stronie stanął sędziwy Czesław Jankowski. Głos jego jest tym bardziej dla mnie cenny, że wyszedł z samego serca drażliwego kultu Mickiewicza, z serca Litwy, z Wilna, z ust człowieka, który z pewnością nie mniej od innych kocha Mickiewicza „po dawnemu”. Otóż pisarz ten, który lekko dźwiga siedem z górą krzyżków na bankach, zaznaczywszy z góry, że „nie ma nad Boya-Żeleńskiego większego wielbiciela Mickiewicza”, osądziwszy łaskawie, że ta przedmowa jest to „trzydzieści kilka stronc najświetniejszych, jakie Boy napisał”, mówi:

Żaś panowie i panie... przyglądający się — dziś — owemu ciągnącemu ku narodowemu pomnikowi Mickiewicza pochodowi z busolami, sondami, nieoglądany dotąd nigdy narzędziami, proszeni są o nierozdzieranie szat i zachowywanie możliwie najheroiczniejszego spokoju. Żadna krzywda, dąlibóg, nie stanie się Mickiewiczowi. A wyładowanie krytyczno-analitycznej energii pokolenia poromantycznego, porozbiorowego, nastąpić musi.

Jest to jakby wiekuiście prawo natury, którego jeszcze nie potrafił złamać żaden z największych nawet nadludzi.

Oto ideowa kwintesencja mistrzowskiego *essai* Boya-Żeleńskiego o Mickiewiczu. Z solidnego jest dębu, z głębokiej znajomości Mickiewiczowskiego dzieła i żywota — tylko mieni się tu i ówdzie opalowo, jakby był gdzieś niedzie, dyskretnie i sugestywnie inkrustowany śmiałym, pełnym niespodzianek, a może irytującym modernizmem.

Tak, wyobrazić sobie możemy, będzie wyglądał — może już względnie niebawem — Mickiewicz w rozumieniu i kulcie powojennego naszego pokolenia. Nie „przewartościowany”, broń Boże, lecz przeciwnie, przez śmiałą „rewizję” na nowe dziesiątki lat odrodzony...

Niech mi czytelnicy darują, że pozwalam sobie przytoczyć tutaj te tak pochlebne i zaszczytne dla mnie słowa. Ale przyznam się szczerze, że po kubłach obelg, fałszów i perfidii, jakimi mnie tu i ówdzie ochlapano, przyjemnie mi jest oplukać się trochę w tych uczciwych i przyjaznych słowach starego Litwina.

\*

Wróćmy do naszego brązu. Ależ, aby zbrązować tak żywego człowieka jak Mickiewicz, trzeba by jak kalif Omar spalić wszystkie biblioteki, zostawić same posągi. Nie tylko jego własne listy, ale listy, pamiętniki współczesnych. Wziąłem przypadkiem do rąk w tych dniach pamiętniki Michała Budzyńskiego, powstańca z r. 1830, tułacza, przyjaciela całej emigracji. Wydał te pamiętniki Józef Ignacy Kraszewski: podnosi w swoim słowie wstępnym wartość tych zwierzeń człowieka „głębokiego przekonania, sumiennosci rzadkiej, dobrej wiary nienaruszonej”. Pamiętniki jego (pisze) mają tę „cechę szczerości, uczciwości, rzetelności, która im wielkiej ceny dodaje”. Otóż w pamiętnikach tych czytam następującą relację z epoki towianizmu (I, 289):

Podzielili się ci nowi wyznawcy na koła i odprawiali się sesje pełne mistycyzmu, gdzie bracia opowiadali sobie sny i widzenia. Na jednej z takich sesyj Mickiewicz zawołał: „Bracia! Dziś ukazał mi się duch Aleksandra I, cesarza Rosji, i prosił, aby bracia zanieśli modły do Boga na jego intencją”. Juliusz S., antagonistą Mickiewicza, i w którym odezwała się żyłka polska, podnosi głos po mistrzu: „A mnie, bracia, ukazał się duch Stefana Batorego i prosił, abym przestrzegł, iżby bracia za żadnym nie modlili się Moskałem!” Mickiewicz na to porywa silnie za ramię Juliusza Słowackiego, przywodzi do drzwi i wypędza go słowami: „Paszoł won durak!”

Wyobraźmy sobie czytelnika, nawykłego patrzeć na Mickiewicza „po dawnemu” jako na „posąg z brązu”, gdy znajdzie ten ustęp w pamiętnikach „rzetelnego człowieka” —

W głowie mu się pomiesza! I zdaje mi się, że nie przez pomijanie, eliminowanie faktu, czy — jak się wzgardliwie powiada — „anegdoty”, dojdzie się do pełnego wizerunku poety, ale przez ogarnięcie, zrozumienie i stopienie wszystkiego. Dla mnie właśnie te tragiczne nieporozumienia, te walki, te błędzenia po omacku, w rozpacznych<sup>1</sup> mrokach, te najświętsze pragnienia wyradzające się dziwnie, te tragiczne upiory emigracji, to są bodajże najciekawsze karty życia naszych poetów.

I jeszcze jedno. Czy wam się nie ściska serce, gdy czytacie ten opis, podany bez żadnej animozji, z zupełną prostotą, jak Mickiewicz wypycha za drzwi biednego Juliusza z rosyjskim wyzwiskiem na ustach? Mnie tak. Bo zważmy jedno: los tak splątał dzieje duchowe Mickiewicza i Słowackiego, że odlewanie olimpijskiego posągu jednego z nich odbywało się kosztem drugiego. Już za życia Mickiewicz zaciążył na Słowackim, można powiedzieć, całą wagą brązu; zaciążył też na nim i po śmierci. Aby wywyżżyć — i osłonić — Mickiewicza, stworzono ów obraz Słowackiego jako małego, zarozumiałego i zawistnego rywala, niejako negatyw Mickiewicza, satelitę jego geniuszu. Taki wizerunek długo pokutował; i dziś jeszcze coś z niego straszy czasami. Tak więc w aliaż posągu Mickiewicza weszło dużo fałszu i cudzej krzywdy: krzywdy pisarza, który dziś też upomina się o... posąg z brązu. Czy nie łatwiejsza byłaby ta sprawa do rozjaśnienia, gdyby się obu brało jako żywych ludzi — ludzi oczywiście natchnieniem swoim przerastających świat zwykłych istot — jako dwóch, dajmy na to, półbogów, tylko, przez litość, nie brązowych bożków?

\*

Na dowód, jak uparcie pewne rzeczy pokutują, pozwolę sobie przytoczyć osobliwą broszurę. Jest to dziełko p. Słuckiego pod tytułem *Prawda o Słowackim, pod kątem rywalizacji z Mickiewiczem*; broszura dość dziwaczna, zawierająca na czele... sonet do prof. Kleinera. Autor (w r. 1928!) uważa za potrzebne upominać się o krzywdy Słowackiego, który jest poniżany dla Mickiewicza, „jest poczytywany za heretyka i plugawca, za lichego jego naśladowcę, piszącego tylko to, co mu podyktowała nikczemna zazdrość talentu Adama” etc. Nie wchodzę w sens tej obrony, ale fakt, że mógł się urodzić jej pomysł i to w tej formie, wydaje mi się dość znamienny. To są bezpośrednie skutki „brązowości” Mickiewicza. Bo przecież w literaturze nikt nie jest odosobniony, wszystko się łączy z sobą. Jakże można sobie wyobrazić, aby jeden był z brązu, a inni z ciała? To wielka niesprawiedliwość: w takim razie ten z brązu musi na każdym kroku tym z ciała guzów ponabijać. Słowacki dotąd nosi takie sińce.

Co do mnie, nie tylko nie uważam, aby trzeba było zatajać te rysy anegdotyczne, dramatyczne, ale, wyznając szczerze, rozkoszuję się nimi. Dają wyczuć puls życia pod martwą abstrakcją. Kiedyż np. byłoby się ciekawym życia, atmosfery, jeżeli nie tam, gdzie chodzi o człowieka, który wyraził się cały w działaniu, jak Towiański. Zajrzyjmy do którejś z monografii o Towiańskim, znajdziemy piękne rozprawy o kolumnach duchów itd., ale jak wstydlive i ubogie traktowanie materiału życiowego! A teraz wróćmy znów do tych samych pamiątek:

Pułkownik Kamiński dziwne miewał halucynacje, które sprowadzał natchnieniem umysłu swego pobożnymi pieśniami. Miał zwyczaj, a raczej postanowił był sobie dwie godziny dnia każdego wyśpiewywać psalmy Dawida, każąc żonie towarzyszyć sobie na fortepianie. Wyobraził sobie, że wprzód nim był pułkownikiem Kamińskim, przepędził jedno życie na oborze i spełniał funkcje krowy. Toteż głos jego był tak ryczący, że żona wzbraniała się towarzyszyć mu fortepianem. Mąż sprowadził Mickiewicza, a mistrz powagą swoją wręczył Kamińskiemu laskę grubą, mówiąc: „Daję ci moc nieposłuszną żonę do uległości tym kijem przyprowadzić”. Były płacze w domu i aż krewny żony, p. Jakub Malinowski, musiał łagodnie pomiarkowywać męża...

(Przywodzi nam to na pamięć ów list Mickiewicza do Towiańskiego ze Szwajcarii o Druey’u, który, „powiedział raz w rozmowie, że może w przeszłym życiu był wołem”. — „Na koncept to dobre, ale na artykuł wiary, to ciężkie”, czyni uwagę Krasieński).

<sup>1</sup>rozpaczny — dziś: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

Oto mamy „kolumnę duchów” na co dzień. I ręczę wam, że sprawa towianizmu z pewnością jest ciekawsza i bardziej skomplikowana niż to, co nam z niej pokazują. Czy mamy przechodzić do porządku dziennego nad takimi świadectwami współczesnych, czy mamy uważać je za fałsz lub świętokradztwo? Nie sądzę. Nie znaczy to, aby zawsze wierzyć im dosłownie, ale nawet gdyby nie były ściśle, są cennym dokumentem, malują nam, jak współcześni na pewne rzeczy patrzyli. Czy są jakąś sprzecznością nie do pogodzenia? Też nie. Dla mnie przynajmniej, nawykłego do poufałego wglądania w sekrety literatury francuskiej, to pomieszanie rysów wzniosłych i szlachetnych z komicznymi jest czymś tak naturalnym! Życiorys takiego Jana Jakuba Rousseau da się napisać dwojako: komicznie i patetycznie i oba będą prawdziwe. Tuż przed towianizmem rozwijający się saintsimonizm jest wszak nieprzerwanym pasmem komicznych epizodów. Znow widzę, jak z niechęcią wzruszają ramionami i mówią: „anegdota!”. Ale czymże są oficjalne życiorysy, jak nie ekstraktem anegdot i świadectw współczesnych, tylko oklepanych i przyrządzonych pod kątem zbudowania młodzieży?

Nie przekonali mnie tedy nasi „brązownicy”. Przytoczyłem gdzie indziej opinię Kraszewskiego, wyrażoną w r. 1877 o świeżo wydanych listach Balzaka. Razi go, jako proza, jako trywialność, jako niedyskrecja wydawców to, w czym my dziś widzimy przemożną poezję życia tego pisarza. I tak ciągle. Dzisiejsze „błuznierstwa” będą jutrzejszym komunałem lub kanonem, tak samo jak — gloryfikowana dzisiaj — historia rzymskiego Legionu Mickiewicza była jeszcze za mojej pamięci skazą na „posągu z brązu” starannie osłanianą przez wczorajszych brązowników.

Cała ta polemika, prowadzona przez wielu krytyków z dobrą wiarą i z szacunkiem dla cudzego stanowiska, miała niestety i swoje strony szpetne, a tak znamienne, że godzi się je tutaj oświetlić. Istnieje cały koncern pism zbliżonych do siebie politycznie, w których krytyka rzekomo literacka jest tylko narzędziem; które do mistrzostwa doprowadziły taktykę wobec każdego, kogo uważają za swego wroga. Jedno pismo fałszuje cytaty, drugie powtarza już sfalszowane i wyciąga z nich wnioski, trzecie łyż, czwarte przychwała obelgom, piąte streszcza, pierwsze znow cytuje piąte i tak w kółko. Powstaje z tego taki splot złej wiary i fałszu, że go już sam diabeł nie rozpląta<sup>2</sup>. Te metody chciałbym tu — nie powiem „napiętnować”, bo to jest język moich napastników — ale po prostu zanotować. Zatem „Głos Narodu” ogłosił z powodu mojej przedmowy dwa felietony pt. *Czy Mickiewicz powinien zostać dla nas posągiem z brązu?* (Cóż, u licha, z tym brązem!). W tendencyjnym i nierzetelnym streszczeniu moich poglądów posunął się autor tak daleko, że podsunął mi cudzysłów, nie wiem skąd wzięty, jakoby „Mickiewicz, podobnie jak Słowacki, przed męką uciekł i godności nie miał”. Skąd to zaczerpnięto i kto tak powiedział, nie wiem; czytelnikom moim nie potrzebuję tłumaczyć, że nic podobnego w mojej przedmowie nie istnieje ani dosłownie, ani w przybliżeniu. Starłem się po prostu odmalować w niej stan duszy Mickiewicza, odbijający się zresztą w jego listach.

A oto konsekwencje tego urojonego cudzysłowu. Jakiś pólanalfabeta, który, jak sam powiada, nie czytał ani słowa z mojej przedmowy, ale przeczytał jej wyciąg w „Głosie Narodu”, pisze elukubrację, w której — powołując się na ten cytat — konkluduje, że „należałoby Boya wyróżnić w pysk i skierować do niego wszystkie te epitety, jakie Kmicic skierował do pułkownika Kuklinowskiego wiszącego w stodole na belce: »Ty rzezimieszku! ty podłoto! ty panie Szelmowski z Szelmowa! ty kutergębo! ty niewolniku!«”.

Na te obelgi — spowodowane fałszerstwem cytatu — rzuca się skwapliwie pan Miłaszewski w „Rzeczypospolitej” i poświęca im radosny felieton, porównując je do sceny w *Podfilipskim*, gdy stary Litwin powiada do Podfilipskiego: „Milcz acan, a to jak zacznę kuć w mor...”. I nie tylko zachwyca się tym, ale zagrzewa opętańca znaczącym zwrotem: „lekceważę niespełnione groźby”... A „Głos Narodu”, od którego wyszło całe to fałszerstwo, przedrukowuje z entuzjazmem głos pana Miłaszewskiego i tak w kółko...

Wszystko to, to powrót do epoki już nie brązowej, ale krzemiennej. Bo pozwolę sobie zwrócić uwagę zwolenników „brązu” na ujemne skutki tego metalu w dziedzinie literackiej. Odpadkami tego brązu nabijają pałki pałkarze; na tym brązie ostrzy swoją zatrutą broń świętoszek... I kiedy się patrzy na te orgie głupoty i nikczemności rozpętane w imię „pietyzmu”, wołaloby się, doprawdy, mniej „pietyzmu”, a więcej prostej uczciwości.

<sup>2</sup>rozpląta — dziś popr.: rozplącze. [przypis edytorski]

W każdym razie godzi się zanotować, jakie formy przybrał w Polsce w roku 1929 kult Mickiewicza...

\*

Z nieoczekiwanej strony przybył tej akcji mimowolny sukurs. Wyruszył w „Pamiętniku Warszawskim” p. Lechoń. Świetny poeta, przy tym autor *Rzeczypospolitej Babińskiej, Szopki* i redaktor „Cyrulika”, okazał się na nowym terenie zdecydowanym brązownikiem. W zapale swoim posunął się tak daleko w swobodzie streszczeń mojego tekstu, że musiałem przesłać do „Pamiętnika” pismo protestujące przeciw podsuwaniu mi podobnych zdań jak np. „Boy przedstawia to niepójście do wojska jako upadek Mickiewicza” itp. Skąd p. Lechoń to wziął? — chyba z „Głosu Narodu”, bo ja takich nonsensów nigdzie nie pisałem.

Oryginalny w istocie jest ten cały Mickiewiczowski „zajazd”! Na progu naszego nowego życia, gdy, zdawałoby się, możemy się wyzwolić z powijaków dydaktyki narodowej i zacząć patrzeć po literacku na sprawy literatury, rozlega się chór: „Nie tykać posągu z brązu!”. I w tym brązowym polonezie łączą się fantazyjne pary: pan Lechoń z panem Lorentowiczem (świetna rycina do „Cyrulika”: pan Lorentowicz jako Podkomorzy, pan Lechoń jako Zosia), senator Posner z panią Heleną Romer... Coś w tej zgodnej harmonii nie jest w porządku; trzeba nam będzie jeszcze powrócić do tego przedmiotu. Ale na razie muszę ochłonąć po zamęcie, jaki mam w głowie po przeczytaniu rozmaitych sądów: gdy np. Irzykowski uważa, że przedmowa moja jest „za mądra, za rewolucyjna”, p. Kolačzkowski orzeka, że jest „wywalaniem otwartych drzwi”. Czy jest za mądra, nie moją rzeczą sądzić; ale z krzyku, jaki się koło tych „drzwi” uczynił, nie zdaje mi się, aby były tak bardzo otwarte...

W ODLEWARNI BRĄZU

(Dzieje jednego dokumentu)

W przedmowie mojej do *Dzieł Mickiewicza* zaznaczyłem przyczyny, dla których Mickiewicz nigdy prawie nie należał u nas do „normalnej” historii literatury, a przynajmniej był w niej na odrębnych prawach. Jest to zupełnie zrozumiałe. „Trzeba było z Mickiewicza czynić świętego, to było w interesie narodu”, tak ujęto tę rzecz w toku świeżej dyskusji. W poprzednim artykule stwierdziłem z kolei reakcję, jaką wywołała ta moja przedmowa, oraz sprzeciwy, jakie padły z wielu i tak różnych obozów literackich. „Mickiewicz powinien pozostać dla nas posągiem z brązu”, orzeczono. Bardzo pięknie. Równocześnie jednak legion uczonych prowadzi drobiazgowe badania nad Mickiewiczem, szpera za najmniejszym strzępem dokumentu, etc. Jak pogodzić jedno z drugim, jak połączyć brąz z życiem, świętość ze swobodą badań i prawem krytyki? „Naród ubóstwił Mickiewicza... Nie można Mickiewicza jako człowieka brać pod mikroskop... Są ludzie, których czcimy, chociaż nie pojmujemy ich nigdy...” oto elokwencja iście „obchodowa”, dziwna cokolwiek w piśmie — jak „Pamiętnik Warszawski” — poświęconym literaturze. Bo jak połączyć to stanowisko z istotą nauki, która szuka jedynie prawdy i nie może przyjąć ani frazesowych uproszczeń, ani z góry narzuconych konkluzji?

Z tego stanu wynika, zdaje mi się, sprzeczność: mianowicie że jedną drogą idą oficjalne frazesy kultu, a drugą — dość nieśmiało — krytyczne badania; nie łączy się tych dwóch rzeczy razem, nie stapia się ich w jedno. Dokumenty zostają w zakrystii, a msza odprawia się przy ołtarzu. Dlatego ze wszystkich naszych pisarzy Mickiewicz jest postacią najmniej może znaną. Raz po raz, kiedy się trafi na współczesne świadectwa, uderzają rysy, niemające nic wspólnego z tradycyjalnym posągiem. Co jest pomniejszaniem, a co powiększaniem, co jest ożywianiem, a co utrupianiem poety, to kwestia, która niech pozostanie sporną, skoro nie możemy się co do tego pogodzić; na razie poprzestańmy na stwierdzeniu, że szereg przyczyn składał się na to, aby pisarz ten był najwięcej badany, a najgorzej poznany.

Dziś pozwolę sobie posunąć się jeszcze dalej i wskazać na szczególną okoliczność, dla której wiedza nasza o Mickiewiczzu już u samych podstaw musiała być skrzywiona i upośledzona.



Zważmy, jakimi kolejami idzie zazwyczaj poznanie człowieka i pisarza. Umiera wielki pisarz: dzieje się rozmaicie, puścizna jego — skupiona lub rozproszona — dostaje się w ręce mniej lub więcej powołane. Od tych rąk zależą często losy pośmiertne pisarza. Długi czas upłynął, zanim Norwid znalazł Miriama, który jeszcze nie uporał się ze swoją pracą. Słowacki trafił na Małeckiego, który jeszcze tyle zostawił do roboty swoim następcom. Stendhal miał Stryjeńskiego. Puścizna Balzaka rozproszyła się na cztery wiatry, trzeba było całego życia Spoelbercha de Lovenjoul — i jego środków — aby ją zgromadzić; a dzieło Lovenjoula prowadzi dalej z jakimś oddaniem Marceli Bouteron.

Ileż trudu, czasu, pochłania zebranie dokumentów, listów, współczesnych świadectw! Powstają całe „kluby” wielbicieli pisarza — Stendhal, Balzak, Goethe — dzielących między siebie ogrom pracy, powstają specjalne pisma. Tak np. wychodził we Francji długo „Le Moliériste”, aż wycisnęła wszystką wiedzę faktyczną, jaką można było zdobyć o pisarzu; tak wychodzą dziś „Cahiers balzaciens”. Ledwo Proust zamknął oczy, już powstały „Les Cahiers Marcel Proust”. I w miarę przybywania coraz to nowych faktów, rewelacji, oświeśleń, wstaje przed oczyma każdego pokolenia wciąż nowy i wciąż fascynujący — nie posąg z brązu, ale żywy człowiek.

Takie przygotowawcze prace i badania muszą mieć za przewodnią gwiazdę jedno: bezinteresowność naukową. Zebrać wszystko, nic nie uronić, ocalić to, co mogłoby ulec przeinaczeniu lub zagładzie, odkopać bezwzględna prawdę spod nalotów — oto ambicja, pasja każdego badacza.

Rzecz prosta, że przychodzą tu do głosu zrozumiałe względy. Są dokumenty, które nadają się do ujawnienia natychmiast; inne, których ogłoszenie zostawia się następnemu lub jeszcze dalszemu pokoleniu; inne, które zostaną może długo w archiwach, dostępne jedynie badaczom. Jedno musi być pewne: mianowicie, że żaden dokument nie będzie sfalszowany, przeinaczony. Badacz nie ma tu innego interesu niż prawdę.

Stąd częsta sprzeczność stanowiska badacza naukowego z rodziną pisarza. Matka Słowackiego, pani Bécu, powierzając wydawcy kopie listów do niej, przeprowadziła surową cenzurę, usuwając wszystko, co chciała. Miała prawo... Nawet na oryginałach starannie wymazywała niektóre nazwiska. Z czasem, posiadłszy autografy listów, L. Meyet wydał je w pełnym tekście. Też, wedle naszych pojęć naukowych, miał prawo. To są dwa różne prawa.

Otóż, gdy chodzi o Mickiewicza, te dwa prądy splątały się z sobą w osobliwy, a niebezpieczny dla historii literatury sposób. Zważmy bowiem, jak szły te rzeczy. Rychło po śmierci poety znalazł się człowiek, który całe życie poświęcił pracy zebrania wszystkiego, co tyczyło poety. Tym człowiekiem był jego syn, Władysław. Okoliczność ta miała zalety niezmiernie cenne: rzecz prosta, że syn, wychowany w atmosferze ojcowskiego domu, świadom tradycji, stosunków, znający ludzi i sprawy, lepiej niż kto inny mógł spełnić to wielkie zadanie. Ale musiało to mieć i swoje strony ujemne. Tendencje najbliższej rodziny a interes nauki są to — jak rzekliśmy — rzeczy często bardzo różne, często wręcz sprzeczne. Co przeważy, w razie gdy zajdzie kolizja między tymi stanowiskami, łatwo zgadnąć. Nie możemy wymagać od syna, aby był bezinteresownym badaczem, wiedzionym jedynie pasją poznawania prawdy; z natury rzeczy stanie się on tym, który chciałby tę prawdę kształtować. Rola syna daje mu zarazem prawa, których nie przyznaje sobie badacz literatury. Archiwum poety jest dlań archiwum rodzinnym, w którym wykonywa<sup>3</sup> nieograniczoną władzę. Gdy zwykły badacz wobec — przypuśćmy — drażliwego dokumentu, poprzestanie na tym, aby go nie ujawniać lub zachować do właściwego czasu, syn nie zawaha się takiego dokumentu zniszczyć; i działa w tym — w swoim rozumieniu — jako pełnomocnik nieżyjącego pisarza. Jest zatem ogromne niebezpieczeństwo, jeżeli włodarzem wiedzy o pisarzu jest jego syn; jeżeli on jest tym, w którego ręce wszyscy składają dokumenty. Komplikuje się jeszcze rzecz, jeżeli, jak w tym wypadku, działa on zarazem jako badacz naukowy.

Ale Władysław Mickiewicz był nie tylko synem i badaczem. Był to człowiek, który całą swoją treść złożył w wielkości ojca, na niej oparł wszystkie swoje ambicje; ojciec był jego dumą, jego istnieniem, jego — można by rzec — „karierą”. Zarazem był to wyznawca, Adam był jego religią. „Był u mnie Władysław; i cóż, widzę, on chce gwałtem ojca na

<sup>3</sup>wykonywa — dziś: wykonuje; sprawuje (władzę). [przypis edytorski]

proroka wykierować”, pisze w liście do szwagra Teofil Lenartowicz.

Pomiędzy nami mówiąc, drogi mój najserdeczniejszy — pisze znów do Darowskiego (1880) — roboty, chociaż ważne, Władysława za podstawę nie mają miłości, ale pychę i to jest źle... Podziwiam Adama jako poetę, ale go nie mam za Boga ani nawet za proroka; kocham jako patriotę, ale nie powiem, żeby był nieomylnym; oddaję cześć, ale nie upadam na kolana. Stąd, tolerowany przez pp.<sup>4</sup> Levy i Mick. Wł., nie szczyć się ich wyraźną przychylnością...

Nazwisko Mickiewicza było dla jego syna atutem politycznym, było Pismem świętym, było orężem w rękach tego ruchliwego i ambitnego człowieka, który wszak niecałe życie był owym dobrodusznym staruszkiem opowiadającym anegdota, jakiego znali wszyscy w Paryżu. I dodajmy jeszcze, że narodowe znaczenie poety umacniało jeszcze jego syna w tych naturalnych apologetycznych tendencjach. „Ja i Ojczyzna to jedno”, powiedział wszak wieszcz. Stąd wiedza o nim, wiara w niego stały się składową częścią patriotyzmu, a wiadomo, jak drażliwy musiał być patriotyzm w czasie niewoli.

Wszystko to są rzeczy zupełnie zrozumiałe, ale bardzo odległe od atmosfery badań naukowych. Dom Władysława Mickiewicza, jego pracownia, były kuźnią religii Mickiewicza raczej niż nauki o nim. Później, gdy nadzieje polityczne zamarły, salon sędziwego Władysława Mickiewicza w Paryżu był kryptą żalobną, gdzie paliło się wieczne światło przy ciele poety. Każdy, kto tam wszedł, miał uczucie czegoś grobowego. Charakterystyczne było, iż każdego nowego gościa uprzedzano, że byłoby wielkim nietaktem wymówić tam imię Słowackiego...

Otóż trzeba stwierdzić jedno, na co nie dość zwraca się, moim zdaniem, uwagę: mianowicie że ten warsztat Władysława Mickiewicza, tak odległy z natury rzeczy od czystych pojęć nauki, był przez długie lata centralą wiedzy o Mickiewiczu, był głównym jej archiwum. Władysław Mickiewicz rozporządzał nie tylko żywą tradycją, ale największą ilością dokumentów; on był tym filtrem, przez który przechodziło prawie wszystko.

Zaznaczam jeszcze raz, to wszystko, co mówię, to nie zarzut wobec zasłużonego człowieka, który tak godnie przepędził życie w służbie pośmiertnej wielkiego ojca. Przeciwnie, uważam za rzecz naturalną — mimo że skądinąd dla nauki jakże opłakaną! — jeżeli Władysław Mickiewicz stosował wobec dokumentów zasady rodzinne, dynastyczne, patriotyczne — w ówczesnym rozumieniu! — a nie czysto naukowe. I nie powinno nas zbytnio dziwić, jeżeli w niewydanym liście (rękopis Zakł. Nar. im. Ossol. III, 3656; z tegoż zbioru rękopisów wzięto listy Władysława Mickiewicza i pani Capelli) Artur Wołyński odmawia wręcz Władysławowi Mickiewiczowi użyczenia cennego dokumentu i pisze: „nikomu bym nie powierzył rękopisu, nawet kochanemu Panu, *bo cię ludzie obwiniają, że dokumenty fałszujesz przez obcinanie i przerabianie ustępów, które ci się nie podobają, że dokumenty pożyczone do odpisania zatrzymujesz, a właścicielowi oddajesz udatne fac-similia z nadwierzonym tekstem, że w swoich publikacjach naciągasz jedne fakta, inne zupełnie pomijasz milczeniem*”... Wszystko to, co byłoby najcięższą zniewagą dla człowieka nauki, jakże inaczej musi się przedstawiać, skoro ten piastun dokumentów i wiedzy o poecie jest jego rodzonym synem, a Mickiewicz nie zwykłym przedmiotem badań, ale świętą Arką narodu!

Ale trzeba nam bliżej przedstawić historię dokumentu, który wspomniałem, a historia ta może nam posłużyć za poważne memento. Dokument to w istocie pierwszorzędnej wagi; jest nim nieznany *Pamiętnik* Zofii Szymanowskiej, później żony Teofila Lenartowicza. Zofia Szymanowska, przyrodnia siostra Celiny Mickiewiczowej, spędziła w domu Mickiewiczów w Paryżu kilka lat i spisała pamiętnik, którego celem było — jak mówi — „zebranie wiadomości dotyczących wielkiego rodzinnego pisarza”, zwłaszcza „z pewnej zagadkowej epoki w życiu tego człowieka”. Po śmierci Zofii Lenartowiczowej pamiętnik dostał się do rąk J. I. Kraszewskiego; potem, częściowo czy w całości, znalazł się w rękach Artura Wołyńskiego, uczonego i działacza dla sprawy polskiej we Włoszech. Jakie zresztą koleje przechodził rękopis, który kilkakrotnie wędrował z rąk do rąk, trudno jest dziś ściśle określić. O istnieniu tego pamiętnika swej przyrodniej ciotki wiedział Władysław

<sup>4</sup>pp. — skrót od lm.: panowie; tu: panów. [przypis edytorski]

Mickiewicz i — zaniepokojony mocno jego domniemaną treścią — rozwinął wszelkie starania, aby go dostać do rąk. Miałem sposobność czytać i skopiować arcyciekawą korespondencję toczącą się dokoła tego *Pamiętnika*: widzimy tu niejako Władysława Mickiewicza przy robocie, widzimy jego usilność i zabiegliwość celem uzyskania dokumentów, nie zawsze — zdaje się — po to, aby je zachować i utrwalić...

Oto list Lenartowicza do Artura Wołyńskiego;  
Florencja, 1 październik 1889

Szanowny i kochany panie Arturze!

W tej chwili odbieram list od p. Wł. Mickiewicza, który zatrwożony wiadomością — nie wiem skąd powstała — o zamierzonym wydaniu przez drogiego Pana dzienniczka pozostawionego w papierach po śp. żonie mojej, Zofii, pozostałych, w którym obawia się, czy się jakie skandale ubliżające pamięci jego Ojca nie znajdują, prosi mnie i błaga, abym Szanownego i kochanego pana obliżował, abys z wydaniem się wstrzymał, dopokąd nie przejrzymy, czy tam nie ma nic takiego, co by pamięci Adama i jego rodzinie ubliżało.

Wątpię ja bardzo, abys dzienniczek ten, u siebie zatrzymany, równie jak i listy do niej czy do mnie pisane publikował, znam bowiem zanadto dobrze twoją delikatność, że gdybyś miał podobny zamiar, pewnie byś mnie zawiadomił. Bądź, co bądź, ponieważ p. Władysław tym jest zaalarmowany, zmiłuj się, napisz mi słówko.

Oczywiście, że ja z góry, bez odpowiedzi drogiego pana wieści ogłoszenia dzienniczka zaprzeczyłem". (Rękopisy Ossolineum).

W jakiś czas potem pisze wprost do Wołyńskiego sam Władysław Mickiewicz:  
Paryż, 7 rue Guenegaud, 25 listopad 1889

Kochany panie. Posiadasz części *Pamiętników* ciotki mojej. Serce miała dobre, duszę namiętną: widziała często rzeczy, które w rzeczywistości nie były; gdyby dłużej żyła, sąd jej o ludziach i zdarzeniach zmieniłby się. Chociaż jestem pieniądze w częstych tarapatkach, wynagrodziłbym chętnie Pana za koszta poniesione dla nabycia tego rękopisu. Wiem, że interesownym nie jesteś i że nie w tym trudność leży. Nie znając dobrze faktów dotkniętych w tym pamiętniku, sądzisz, że takowe przechowując, oddajesz usługę. Tak nie jest. Niemal lat i trudów poświęciłem biografii Ojca mojego i żaden szczegół godny potomności nie zatrę. Piszę teraz obszerne dzieło o moim Ojcu. Przyślij mi ten rękopis *recommandé*, napisz mi, co za niego lożyłeś, i to ci zwrócę. Kiedyś rękopis dostanie się, jak i inne pamiątki po Ojcu, do Muzeum Mickiewiczowskiego w Krakowie. Jeżeli tego wymagasz, rękopis ci zwrócę, a co do ustępów dwuznacznych i szkodliwych porozumiemy się razem. Jeżeli kochany pan inaczej postąpi, zaszkodzi pamięci nieboszczki, nas boleśnie dotknie i dla tak drobnej satysfakcji i zaspokojenia dziś czy jutro głupiej ciekawości ludzkiej. Chciało mi się wyrwać do Rzymu i z panem o tym rozmówić, ale Rzym tak daleko na moją kieszeń. Lenartowicz nierozważnie postąpił, wypuszczając ów *Pamiętnik* z rąk swoich; zdawałoby się, że pól biedy kiedy się do Pańskich dostał, a tu na list mój nie odpisał. Nie mogę, jak swoje zrobić, drugiemu zostawiając na sumieniu dalsze następstwa. Wspomniałeś mi, panie, że zdrowie twoje nadwężone, życzę ci długich lat, ale choroba zostawia długie godziny do rozmyślań i zdaje mi się, że sam na sam ważną tę kwestię rozważając, przyjdiesz do przekonania, że droga, którą wskazuję jest jedyną właściwą. Podobno inna część tych pamiętników błędzi gdzie indziej. Przykład pański byłby i wobec innych argumentem stanowczym.

Pozdrowienia łączę,  
Wł. Mickiewicz

Nie poprzestając na tym, trafia Władysław Mickiewicz do Wołyńskiego za pośrednictwem pani Capelli (z domu Dzieduszyckiej), która pisze do Artura Wołyńskiego 1 grudnia

(...) Odebrałam od pana Mickiewicza list, w którym błaga o udzielenie mu przez pana do odczytania resztę manuskryptu p. Zofii Lenartowiczowej, w którym zapewniano go, że znajdują się szczegóły skandaliczne, których ogłoszenie narazić by mogło rodzinę na niewypowiedziane przykrości.

Pan Mickiewicz razem z panem rad by się porozumieć co do usunięcia periodów drażliwych, jeśli się na to zgodzisz.

Manuskrypt pod słowem honoru w każdym razie zwróciłby panu; dodaje, że gdyby szło o kosztą podróży pańskiej do Florencji, dokąd by Mickiewicz przyjechał, to on gotów jest z góry pokryć. W ostatnim razie prosi o kopię powyższego manuskryptu, którego odczytawszy, z uwagami swoimi odesłałby panu, a za kopiowanie również kosztą opłaci. Ktoś mu powiedział, podobno pan Kallenbach, że manuskrypt podzielony znajduje się u p. Kraszewskiego i u pana, idzie więc jedynie o tę część, jaka się u pana znajduje.

Henryka Capelli

Z trzech stron zabiega tedy Władysław Mickiewicz, aż wreszcie po tym ostatnim szturmie decyduje się Wołyński odpowiedzieć mu obszernym listem:

Kochany Panie Władysławie!

Przykro mi bardzo, że nie mogę na razie uczynić zadość jego życzeniu i przesłać mu w odpisie te ustępy z pamiętników śp. Lenartowiczowej, które dotyczą śp. Ojca jego, bo *Pamiętniki* te wraz z innymi rękopisami powierzonymi mi do przechowania przez różne osoby, zostały darowane pewnej bibliotece pod warunkiem: 1) iż w obecnym stanie opakowania i opieczętowania będą zachowane do 1915 roku; 2) że wtedy dopiero będą oddane do użytku czytelników, którzy będą mogli z nich korzystać bez żadnego ograniczenia, tj. robić z nich wyciągi, odpisy częściowe lub całkowite; 3) że mnie będzie przysługiwać prawo raz do roku w miesiącu lipcu zrobienia rewizji pakietu czy to osobiście, czy też przez ad hoc upoważnioną osobę.

Trzeba będzie czekać do lipcowego protokołu, aby się dostać do pakietu, a i wtedy zachodzi pytanie, czy mi pozwolą otworzyć takowy, a zwłaszcza robić wyciągi, wbrew zawartej umowie i wypisanemu na pakiecie zakazowi.

Robię starania, aby od Kraszewskich wydobyć część rękopisu nieprawnie przez nich zatrzymanego i wystawionego na sprzedaż publiczną; a jeżeli mi się uda odczytać resztę literackiej spuścizny śp. Zofii, wtedy będę miał legalny i poważny powód do żądania otwarcia pakietu i uporządkowania rękopisu, a przy tej sposobności da się łatwo skutecznie odpis o stosunkach braterskich ojca Pańskiego z jakąś Litwinką, zagorzałą towianką. Stosunki te są opisane nie jako romans ojca Pańskiego z ową Litwinką, ale jako wynik towianizmu, którego wyznawcy uważali wszystko za wspólną własność. Bratu Adamowi przypadła w udziale owa Litwinka, tak jak inne siostry dostały się innym braciom. Dlatego to nasze Polki niechętnie przystępowały do towiańszczyzny i dlatego śp. Zofia nie dała się wciągnąć do niej, pomimo długich zachodów i namów...

Treść niniejszego listu powinna kochanemu Panu wytłumaczyć, dlaczego nie odpisałem na pierwszy list jego, i że pod naciskiem natarczywości jego muszę go jeszcze objaśnić, dlaczego nie powierzyłbym do rąk jego oryginału pamiętników śp. Lenartowiczowej, gdyby takowy znajdował się w moich rękach.

Ojciec Pański zajmuje podrzędne stanowisko, że tak powiem, jest objaśnieniem w nawiasie obszernego opisu nauki i praktyk towiańczyków, a zwłaszcza ich sposobu działania i kaptowania sobie zwolenników. Z tego więc względu pamiętniki śp. Zofii mają wielkie znaczenie dla naszej emigracyjnej historii i po zawodzie doznany od śp. Kraszewskiego, nikomu bym do rąk nie powierzył rękopisu, a nawet kochanemu Panu, bo cię ludzie obwiniają że dokumenta fałszujesz przez obcinanie i przerabianie ustępów

które ci się nie podobają, że dokumenty pożyczone do odpisania zatrzymujesz, a właścicielowi oddajesz udatne fac-similia z nadwerżonym tekstem, że w twoich publikacjach naciągasz jedne fakta, inne zupełnie pomijasz milczeniem, aby tym sposobem podnieść zasługi rodzica swojego, a do dziś dnia starzy patrioci włoscy nie mogą strawić twego *Histoire de la Legion polonaise en 1848* i dlatego to nie zgodzono się, aby w Bolonii znany napis inicjowany przez nas umieszczony był na domu Sancha, dlatego to tutaj w Rzymie chciano suprymować napis na Via del Povretto i przez dwa lata dreptać musiałem, aby takowy umieszczono na przeznaczonym domu w zmniejszonych choćby rozmiarach, dlatego to prof. Santagata — jak mam po temu pewne dane — opuścił nas, zawiódł i zdradził, a nawet, można powiedzieć, oszukał, rozporządziwszy samowładnie powierzonymi mu funduszami i biblioteką.

Treść niniejszego listu niech posłuży za objaśnienie, dlaczego na pierwszy list kochanego Pana nie odpowiedziałem i że teraz czynię to jedynie pod naciskiem natarczywości Jego i nalegań hrabiny Capelli i pana Lenartowicza, a w przekonaniu, że *dicta clara faciunt amicos*, odpowiadam z całą otwartością i zaufaniem, ściskam dłonie pańskie i łączę wyrazy serdecznego pozdrowienia.

Zauważyć tu należy jedno: cytowany przeze mnie list Artura Wołyńskiego jest to brulion pełen przekreśleń i poprawek. Widocznie ciężko szło Wołyńskiemu wobec Władysława Mickiewicza sformułować te zarzuty i dać odmowną odpowiedź na żądanie tak z punktu widzenia syna uprawnione, a tak słuszny budzące niepokój ze stanowiska nauki i prawdy. Nie wiemy, czy Wołyński ten list wysłał i czy w tej formie. W każdym razie istnieją dowody, że ostatecznie Wołyński uległ naleganiom Władysława Mickiewicza i że mu oddał szacowny dokument, jak o tym świadczą te urywki z trzech listów Władysława Mickiewicza do Wołyńskiego.

(Paryż, 22 lipca 1890)

Kochany Panie! Ucieszył mnie list pański, miałem żal do pana, miło mi się go pozbyć...

(Paryż, 22 lipca 1890)

Dzięki, kochany panie. Od początku naszych pertraktacji jedną rzecz wiedziałem, że nie działasz powodowany interesem osobistym, i dlatego przyszedliśmy do zgody. Syn Kraszewskiego stoi na gruncie czysto komercyjnym i dlatego trudno przyjąć z nim do ładu; odpisał mi, że nie może nawet udzielić rękopisu, ponieważ jest już ogłoszony w katalogu przedmiotów do nabycia po Ojcu...

(Paryż, 12 września 1890)

Prosił pan, abym o posiadaniu rękopisu nikomu nie wspominał. Lenartowicz pisze, że mu pan o tym fakcie doniósł; przypuszczam więc, że nie wchodząc w szczegóły, mogę się do jego posiadania przyznawać?

Zatem Władysław Mickiewicz wygrał partię; dostał do rąk upragniony rękopis? Co się z nim stało? Czy obawy Wołyńskiego okazały się usprawiedliwione? Tyle jest pewne, że słych o tym rękopisie zaginął; bezcenny dokument dla naszej wiedzy o Adamie Mickiewiczu i historii towianizmu przepadł. Chyba, żeby gdzie był w prywatnych archiwach rodzinnych? Ocalała tylko część, która pozostała w rękach Kraszewskiego i której Władysławowi Mickiewiczowi nie udało się dostać. Tę znaleziono w puściźnie po Kraszewskim, którą nabyła w całości Biblioteka Narodowa w Warszawie. A oto co o tych pamiętnikach żony (całkowitych wówczas) pisał Teofil Lenartowicz do Kraszewskiego, tuż po jej śmierci, blisko na dwadzieścia lat wprzód:

Florencja, 8 sierpnia 1870

Miesiąc od śmierci mojej drogiej Zofii.

Drogi panie Józefie! Rozczytując się w pamiętnikach, odnajduję całą tę najpiękniejszą duszę, której nikt oprócz mnie nie ocenił. Publikacja tej rzeczy nie pozostanie bez wpływu na naród — na kobiety nasze mianowicie. Ujrzą one obraz najcnotliwszej Polki i obraz cierpień duszy, jakiej żaden z poetów naszych nie opisał. Należy to drukować i wydrukuję się. Czytam, a miejsca w opisie domu Adama drażliwe wyrzucam, bo nie dziś takie rzeczy gadać, ale jak umrze to pokolenie, wtedy dopiero. Waham się nawet, czy całego opisu domu jako nieco skandalicznego nie wypadnie opuścić. Łotrostwo, jakie otaczało Adama, nie dziś powinno być ogłaszane. Żyjące figury podniosłyby wrzask, który by Adamowi chwały nie dodał. Ot, nieszczęśliwy człowiek; — o towianizmie ciekawe historie, ale niebudujące.

Wstęp do *Pamiętników* ja piszę, boć chyba do mnie należy ten krwawy obowiązek, a jak tylko skończę, prześlę.

N. B. Proszę Was, drogi panie Józefie, iżbyście z odbiteków książkę sprzedawali wyraźnie na korzyść: w nędzy zostających bez żadnego wsparcia starych artystów, jeżeli są tacy; a jeżeli nie, to na korzyść sierot po Sybirakach. Ja bowiem uważałbym taki dochód za najokrutniejszą obrazę mojego żalu, za dochód z trumny... Niechże mnie od tego Bóg najwyższy broni! Wojna, zdaje się, iż skończy się prędko... W czasie pokoju pismo takie jak żony mojej znajdzie czytelników...

Z umysłem jestem jeszcze jak człowiek uderzony obuchem; zdaje mi się wciąż, że odjeżdżam i wszystko w nieładzie leży i nie mam na nic głowy... (Rękopisy Ossolineum 3660).

Nie chodziło tu zatem o żaden pamflet, ale o szczerą i z dobrą wiarą przez jedną z najbliższych osób pisane wspomnienia. Autor entuzjastycznych *Listów o Adamie Mickiewiczu* jest tu chyba dość niepodejrzany świadek. Nasuwa się pytanie, co to są za „skandale”, których tak obawia się Władysław Mickiewicz, co to za „opis domu nieco skandaliczny”, który, znając pamiętniki, uważa za właściwe opuścić Lenartowicz, co to za „łotrostwo, które otaczało Adama i które nie dziś powinno być ogłaszane”? Razem z pytaniem znajdujemy w tej korespondencji poniekąd odpowiedź: to „historie o towianizmie, ciekawe, ale niebudujące”, jak je nazywa Lenartowicz; to — jak wynikałoby z listu Artura Wołyńskiego — rewelacje dotyczące ustroju towianizmu odnośnie do kobiet, słowem, strona obyczajowa towianizmu, do dziś dnia traktowana przez naszych badaczy tak nieśmiało i dziecinnie.

Powróć jeszcze do tej sprawy. Na razie chciałem ujawnić fakty świadczące wymownie o tym, że wiedza o Mickiewiczu od samego początku szła innymi torami, niż się tego dla wszelkiej wiedzy wymaga. Widzimy tu — powtarzam — Władysława Mickiewicza; widzimy, jak dla zdobycia dokumentu nie szczędzi trudów i starań, w każdej chwili gotów odbyć nawet dalekie podróże. Po śmierci Lenartowicza pierwszy zjawił się we Florencji (mimo że za życia odnosił się doń raczej chłodno), ale celem, jaki mu przyświeca, może być równie dobrze dokument ocalić jak zniszczyć. „Niemal lat i trudów poświęciłem biografii Ojca mojego i żaden szczegół godny potomności nie zatrzę”, pisze w liście do Wołyńskiego: — w słowach tych jasno postawiona jest zasada *cenzury*; gdyż o tym, co jest „godne potomności”, pojęcia jakże są względne i zmienne! Z Władysławem Mickiewiczem nigdy nie można wiedzieć, kiedy działa syn, członek dynastii, kiedy wyznawca i dziedzic idei, a kiedy badacz. Nie byłoby w tym nieszczęścia, dopóki chodzi o interpretację świadectw, ale kiedy chodzi o same dokumenty, musimy się zapytać, jak rozległą była działalność tej cenzury? Oskarżenie w liście Artura Wołyńskiego jest poważne, a mamy raczej powody sądzić, że usprawiedliwione. I z tego punktu widzenia trzeba było przypomnieć, że ta „odlewnia brązu” na posąg Adama to była przez pół wieku centrala wiedzy o poecie, przez którą przechodziła większość dokumentów.

Chodziło mi zatem o to: w wiedzy naszej o Adamie oprócz cenzury wynikłej z jego przebóstwienia, z tego, że zawsze był czymś odrębnym w naszym piśmiennictwie, a studia nad nim czymś pośrednim między hagiografią a historią literatury, weszła w grę jeszcze i cenzura faktyczna, tycząca samych źródeł i dokumentów. I jeżeli biografowie Mickiewicza skarżą się, że całe epoki w jego życiu są tak mało znane, tak zagadkowe, czy

przyczyny nie trzeba by szukać w tej właśnie przez dziesiątki lat metodycznie wykonywanej cenzurze? Ile ona szkód wyrządziła, w jakim stopniu da się je naprawić, byłoby dziś pilną rzeczą do rozpatrzenia. Co znajduje się w prywatnym archiwum Mickiewiczowskim? Czy niepożądane świadectwa zniszczono, czy tylko je chowano — oto doniosłe pytania.

Chodziłoby tylko o ustalenie zasadniczego stanowiska. Jeżeli bowiem idzie o zachowanie „posągu z brązu” w takim razie może i tę cenzurę powinno się uznać za zbawienną i pożądaną! Niszczenie dokumentów byłoby naturalną konsekwencją tego stanowiska. Łączenie natomiast tego „brązownictwa”, jak je nazwałem, z prawami krytyczno-literackich badań zawsze wyda coś bardzo niepełnego, coś zakłamanego, fałszywego. Albo — albo. Nauka, której się odmawia prawa do „mikroskopu”, nie może być nauką; nauka, której się z góry chce narzucić uświęcone konkluzje, też nie może być nauką. Trzeba się zdecydować, czy się chce beczec godzinami pod pomnikiem Mickiewicza, czy też naprawdę poznawać ten największy i najciekawszy fenomen, jaki był w polskim życiu.

#### TAJEMNICE PAMIĘTNIKA ZOFII SZYMANOWSKIEJ

Przedstawiłem starania Władysława Mickiewicza około zdobycia pamiętnika ciotki, który wedle pogłosek miał zawierać „skandale” o Adamie Mickiewiczu, wedle świadectwa Lenartowicza szczegóły o towianizmie „ciekawe, ale niebudujące”, wedle zaś listu Artura Wołyńskiego szczegóły „stosunku Mickiewicza z jakąś Litwinką”, „jako wynik towianizmu, którego wyznawcy uważali wszystko za wspólną własność”. Rzecz prosta, iż pamiętniki te muszą być i dla nas niezmiernie interesujące i jedynie „brązowości” Mickiewicza można przypisać fakt, że się nimi do dziś dnia nikt nie zajął. Wszakże to jest sprawa sięgająca w najbardziej tajemnicze mroki towiańszczyzny!

Jak wspomniałem, *Pamiętnik* ten znalazł się po śmierci Zofii z Szymanowskich Lenartowiczowej w dwóch rękach, jedna część dostała się po jej śmierci Kraszewskiemu, który wziął pamiętnik do przejrzenia i — jak to było podobno w takich razach jego zwyczajem — nie zwrócił; druga część — nierównie ważniejsza — była u Artura Wołyńskiego. Pierwszą część nabyła po Kraszewskim Biblioteka Narodowa w Warszawie i ten rękopis jest dziś ogólnie dostępny. Mówmy zatem o tej pierwszej części, którą miałem sposobność czytać i oglądać w rękopisie. Najpierw parę słów o autorce. Zofia Szymanowska była przyrodnią siostrą Celiney Mickiewiczowej, gdyż ojciec Celiney i Heleny (Małewskiej), a mąż Marii, słynnej pianistki, rozwiódłszy się, ożenił się powtórnie z panną Młodzianowską. Zofia była małym dzieckiem, kiedy straciła ojca. Starannie chowana, raczej zdradzająca talenty do sztuk niż do nauk, Zofia kształciła się w muzyce i malarstwie. Jako młodą pannę matka zawiozła ją do Dreżna dla dokończenia edukacji. Mając lat dwadzieścia, straciła matkę; po czym postanowiła wyjechać zagranicę celem poświęcenia się malarstwu. Osiedła w Dreźnie w r. 1848, niebawem przeniosła się do Paryża, gdzie zamieszkała w domu Mickiewiczów. Dłuższy czas spędziła we Włoszech jako towarzyska i opiekunka córki Mickiewiczów, Marii. Z Marią też — już po śmierci obojga Mickiewiczów — mieszkała w Rzymie, gdy ją poznał Teofil Lenartowicz. „W Rzymie jest tu panna Szymanowska, zacna dusza, do której na emigranczką pogawędkę czasem zachodzę; jeśli mi kiedy zabrzdąka na fortepianie, to cała moja radość...” pisze poeta do Kwiatkowskiego 1 stycznia r. 1860. Małżeństwo to, żyjące o głódzie i chłodzie, było zrazu przyjaźnią brata i siostry, jak wiemy to z listów poufnych poety; w r. 1863 wszakże przyszedł im na świat synek, rychło zmarły. Zofia Lenartowiczowa pracowała w tym czasie wiele jako malarka, pomagając swymi zarobkami niezasobnemu i niepraktycznemu życiowo poecie; wyrażano się z uznaniem o jej talencie i charakterze. Zmarła w r. 1870.

Otóż Zofia Szymanowska, natura zamknięta w sobie, skłonna do refleksji i do smutku, pisała *Pamiętnik*. Pisała go nawet na parę zawodów. Istniejący pamiętnik datowany jest z Warszawy roku 1854, dokąd widocznie Zofia na jakiś czas z Paryża przybyła. Wspomina, że zaczęła pisać pamiętnik przed pięciu laty, ale że „dosyć już sporą książeczkę” zniszczyła; „powodem do tego było dziecinne jakieś uczucie, z którego sobie teraz sprawy zdać nie umię”. Cel tego nowego pamiętnika jest inny i ściśle określony: to, co powie o sobie, „stanowiąc będzie mały tylko ustęp”; natomiast

celem moim obecnie jest zebranie wiadomości dotyczących wielkiego rodzinnego pisarza; wiadomości te, tak szacowne dla każdego dobrego Po-

laka, nie będą dosyć dokładne, by całkiem wyjaśnić pewną zagadkową, że tak powiem, epokę w życiu tego człowieka; nie dosyć wcześnie poznałam go, nie dosyć też długo bawiłam w jego kole domowym, ażeby wszystkie pozbiierać dowody na poparcie własnych spostrzeżeń i wiadomości ubocznie zasięgniętych; wszakże to, co powiem, użytecznym być może jako opowiadanie szczerze naoczne a bezstronne świadka. Ze względu na ważność przedmiotu, chcę sama dać miarę mojej bezstronności, bo człowiek o tyle tylko bezstronny być zdoła, o ile działa i sądzi bez osobistych wyrachowań; zawsze jednak zapatruje się na świat z oddzielnego, sobie właściwego stanowiska...

Ponieważ ten „mały ustęp”, w którym Zofia mówi o sobie wynosi przeszło czterysta stronic jej dość szerokiego pisma, można z tego wnosić, jak obszerna była część odnosząca się do Adama Mickiewicza, owa część, niestety, z wyjątkiem paru stronic, zaginiona.

W części, w której mówi o sobie, kreśli swoje dzieciństwo, stosunki rodzinne, zastanawia się nad swoim charakterem, opisuje pierwsze dziecinne wrażenia i myśli, miłość do matki i zawód doznany w pierwszej przyjaźni. Była zawsze skłonna do zadumy i melancholii:

Nigdy nie znalazłam owej dziecinnej wesołości; zwłaszcza odkąd myśleć zaczęłam, umysł mój zajmować się lubiał przedmiotami poważnymi, smutnymi; rozwinęła się przez obserwację ludzi mizantropia, mimo że nie doznałam krzywd od nich. Wcześniej zrozumiałam ucisk rodzinnego kraju z rozmów starszych, odtąd miłość dla ojczyzny stała się głównym bodźcem dążeń moich.

Niezatarte wrażenie sprawiło na niej powieszenie dwóch młodych ludzi porwanych blisko granicy w czasie „ruchu krakowskiego”.

Pamiętam i czuję dotąd ból, jaki mnie przejął na odgłos bębnów ogłaszających godzinę egzekucji; chciałam była schować się pod ziemię, by nie słyszeć, uciec gdzieś na koniec świata, aby nie oddychać tem samem co kaci nasi powietrzem; była to chwila, w której pewnie bliska byłam wariacji...

Najsilniej (pisze w dalszym ciągu) poruszyły mnie dzieła Mickiewicza; jeszcze w kraju słyszałam wymawiane ze czcią jego nazwisko i przejęłam się dla samego nazwiska czcią ogólną, wiedząc o Mickiewiczu tyle tylko, że wielkim jest pisarzem i potępionym u rządu: ten ostatni względ szczególnie dostatecznym był, ażeby obudzić u mnie instynktowne dla Mickiewicza uwielbienie...

W domu mało mówiono o Mickiewiczu, już i tak lękając się, iż powinowactwo z poetą może ściągnąć na rodzinę podejrzenie u władz; kiedy Zofia zaczęła czytać jego utwory, lektura ta wprawiała ją w stan egzaltacji; nie utwory miłosne, bo w tych, jak pisze, nigdy nie znajdowała upodobania: „Miłość kochanków, gdy się po raz pierwszy nad tem uczuciem zastanawiać zaczęłam, wydała mi się rodzajem szaleństwa”; natomiast utwory patriotyczne Adama przejmowały ją do głębi. Jego samego osobiście nie знаła; siostrę zaledwie że pamiętała z epoki swego dzieciństwa.

Obszernie opisuje swój pierwszy pobyt z matką w Dreźnie i postanowienie wyjazdu zagranicę po śmierci matki, i następny pobyt w Dreźnie. Po jakimś czasie znawcy, oglądając jej prace, radzili jej, aby opuściła Drezno, gdzie już więcej niczego się nie nauczy, natomiast aby udała się do Paryża i do Włoch. Skoro kilka osób wyraziło to zdanie, uwierzyła, że „to musi być słuszne”, i po pewnym namyśle zaczęła się starać o paszport do Francji, mimo że miała wrodzoną niechęć do Paryża i raczej byłaby skłonna udać się do Włoch.

Tu zaczynają się karty, na których dziennik wchodzi w istotną materię swego przeznaczenia: styczność z domem Mickiewiczów. Niestety natychmiast się urywa, a raczej brak nam dalszego ciągu. Te karty przepiszę z dziennika w całości. Opisuje tedy Zofia Szymanowska, jak



pomimo tę niewytłumaczoną do Paryża antypatię, postanowiłam tam jechać jako do ogniska wszelkiego ruchu intelektualnego, a mając tam siostrę, pomimo iż jej właściwie nie znałam (gdyż ona, opuszczając kraj dla zaślubienia Mickiewicza, odjechała mnie dzieckiem małym), przecież osądziłam za rzecz najprostszą przy siostrze w Paryżu zamieszkać. Gdy objawiłam ten zamiar życzliwym mnie znajomym, zaczęli mi najmocniej odradzać; powiadali, że gdy się znajdę pośród żywiołów dziwnych, niewytłumaczonych, jakie towianizm w domu Mickiewicza zaszczeplił, utracę wszelką swobodę, zaniecham nauki, jakiej się poświęciłam, co gorsza, zobaczę i usłyszę tam niejedną osobę, której nowe niby i wyższe idee do najniemoralniejszych czynów prowadzą. To mi mówiły kobiety starsze, godne ze wszech miar szacunku i wiary; miałam dowody ich dla mnie życzliwości, więc mogłabym była im zaufać, a przecież nie poszłam ślepo za ich zdaniem. Udałam się po radę tam, gdzie czerpałam od roku siłę do życia; wywołałam wspomnienie Matki, ona ganiła mi zbytnią łatwowierność co do złego, jakie na świecie wydarzać się może. Więc powiedziałam sobie, że przecież u siostry znajdę opiekę, gdyby nawet znaleźli się tam tacy, którzy by chcieli spokój mój zakłócać; zresztą pomyślałam jeszcze, skoro nie mam ani chęci, ani usposobienia, aby się zajmować temi jakimiś nadzwyczajnymi rzeczami, które są (to jest wówczas były) nad moje pojęcie, łatwo o tem przekonam każdego, bo zajmować się będę tylko nauką moją, a w nic innego wdawać ani o nic pytać się nie będę. Było to bez wątpienia postanowienie dosyć egoistyczne, ale usprawiedliwia mię po części przekonanie, jakie wówczas miałam, że siły moje nie po temu, aby się zajmować rzeczą, o którą, jak słyszałam, rozbiła się niejedna wyższa inteligencja. To wszystko rozważywszy, postanowiłam ostatecznie zamieszkać w Paryżu u siostry; ale wprzód chciałam wiedzieć, czy jej to będzie po myśli, boć jak ja jej, tak ona mnie nie znała; a jeśliby tak być miało, jak niektórzy mówili, że nauka Towiańskiego zobojętniała każdego do związków rodzinnych, to i cóż by znaczył u Mickiewiczów mój tytuł siostry? A miałam pewne powody wierzyć temu, gdyż wiedziałam od osób z rodziny, że od czasu jak Towiańskiego duch opanował dom Mickiewiczów, Celina, co dawniej z rzadka wprawdzie (by nie kompromitować u rządu) pisywała jednak do bliższych krewnych, następnie zerwała całkiem stosunki listowne z rodziną. Rozsądną więc z mej strony rzeczą było napisać do siostry z zapytaniem, czy mogę wprost do niej zjechać; i uczyniłam to. Bardzo rychło odebrałam serdeczną od Mickiewiczowej odpowiedź, co mię naturalnie utwierdziło w powziętym zamiarze.

Ale pozostała jeszcze do przełamania trudność o paszport: niechętnie, prawie wyjątkowo udzielał wtedy rząd rosyjski paszportu do Paryża: od chwili, gdy zrobiłam o to podanie, schodził tydzień za tygodniem, aż do paru miesięcy zeszło, a nie miałam żadnej odpowiedzi. Wtedy dziwny jakiś opanował mnie niepokój; ja, co przedtem nie tylko obojętnie, ale niechętnie o Paryżu myślałam, teraz czułam się jakąś niewidzialną siłą tam pociągana. Nie było to uczucie zwykłe niecierpliwości, które każde oczekiwanie i niepewność wywołują; nie był też to głos serca, obudzony listem serdecznym siostry, nie, to nie było żadne z tych uczuć; było to coś jakby głos przyzywający mię tam, jakby wołanie; a szłam za tym głosem jak z konieczności — z obowiązku. Sama sobie naówczas nie umiałam zdać sprawy z doznawanego uczucia, a udręczona się czułam: raz na przykład, patrząc na portret matki (co zwykłam była czynić w chwilach smutku i walki moralnej), nagle ze łzami w oczach i załamawszy ręce, zawołałam: „Boże, czego ty chcesz ode mnie?”. Wkrótce potem, nie doczekawszy się urzędowego pozwolenia, wyjechałam do Paryża; zabrałam się z pewną rodziną niemiecką, do której się przyłączyłam dla przebycia granicy i tak dostałam się do Paryża. Pierwsze wrażenie odebrane w nieznanem miejscu są zwyczajnie (dla mnie przynajmniej) stanowcze, nieomyślne: otóż na wstępie do domu Mickiewiczów, uderzył mię jakiś nieład powszechny, zaniedbanie, rozprzężenie jakieś. To

pierwsze wrażenie było, wyznaję, przykre dla mnie; ale mię nie zniechęciło, tylko umocniło w zamiarze, by się pośród wszystkiego, co mię otoczyć miało, odosobnić niejako, by zachować własną swobodę i sposób życia sobie właściwy. Po tem ogólnem pierwszym wrażeniu doznałam następnie wrażeń pojedynczych; główne były następujące: Mickiewiczowa, którą widziałam wtedy jakby po raz pierwszy, miała na całej swojej osobie głównie cechę zaniedbania, przygnębienia, co na mnie wywarło jakiś obawliwy smutek, a wyznaję szczerze, nie obudziło zaufania do nieznaney mi siostry; bo w jej wejrzeniu, ruchu i całej postaci znalazłam potwierdzenie zdania ogólnego, jakoby umysł jej pozostawał błędny od owej pamiętnej choroby; przecież radość, z jaką mnie powitała, okazała mi braterskie jej dla mnie uczucia i pociągnęła mnie ku tej biednej siostrze.

Widok Mickiewicza na razie też nie obudził bezwarunkowej u mnie sympatii; pierwsze spojrzenie, jakie na mnie zatrzymał, uderzyło mię jakąś siłą badawczą, egzaminującą; zdało mi się, jakby mię on chciał na wskroś przeniknąć; i w tej chwili powstało we mnie drażnione uczucie własnej niejako wartości; postanowiłam w duchu mieć się na baczności, by zachować we wszystkim wolę, zdanie i czucie własne — nawet wobec tego człowieka, którego wielkość uznawałam, a poświęcenie dla ojczyzny czciłam w nim i byłabym chciała naśladować, gdybym miała siły i pole po temu. Pośród dzieci Mickiewiczów najstarsza córka Marynia jedna zrobiła na mnie odrębne a miłe wrażenie: wyczytałam w jej jasnym spojrzeniu sympatię szczerą, dziecięcą; reszta jej rodzeństwa, tj. siostra i bracia, wydali mi się całkiem zaniedbani; zdało mi się w nich widzieć jakby dzieci natury — ale natury jakiejś dzikiej, mętnej, tutaj znów stanęło mi na myśli, co słyszałam przed przybyciem do Paryża, jakoby Mickiewiczowie, idąc za teorią Towiańskiego, zostawiali dzieci swoje na łasce bożej, jak to mówią — nie zajmując się wcale rozwinięciem ich umysłu ani jakimkolwiek kształceniem; że jednak obok reszty dzieci widziałam Marynię, pomyślałam, iż to przecież musi pochodzić w znacznej części i z usposobienia indywidualnego dzieci samych: zresztą byłam postanowiła zawczasu najszczerzej, nie sądzić tutaj o czemkolwiek z samego pozor; czułam, że przybyłam niekorzystnie uprzedzona — a że obok tego wrodzona mi była nieufność, miałam się na baczności przeciw samej sobie, bo matki mojej w tym względzie przestrogi wyryte miałam zawsze w myśli i sercu, tak jak wszystkie rady od niej odebrane i wszelkie od niej wspomnienia. Powtarzam więc, iż pomimo tych pierwszych nie miłych wrażeń, zamiar mój pozostania przy siostrze nie został zachwiany; ale wyznaję, że po tych spostrzeżeniach powstało we mnie jakieś uczucie osamotnienia moralnego, graniczące z obojętnością na wszystko, co mnie otaczało. Obok tych pierwszych wrażeń, o których wyżej mówiłam, wspomnieć muszę o jednym najsilniejszym może; to wrażenie wywarła na mnie kobieta obca, tj. nienależąca do rodziny Mickiewicza — a jednak zajmująca w jego domu jakieś odrębne a poufne stanowisko: zwano ją Ksawerą. Opiszę tutaj szczegółowo pierwsze moje z nią spotkanie, bo zejście się z tą kobietą w domu Mickiewicza uważam za fakt ważny: z mojego bowiem chwilowego z nią zbliżenia się wynikły wszystkie dalsze okoliczności. Pomimo wstrętu, muszę tutaj wywołać to, i wiele innych wspomnień; idzie o objaśnienie smutnej przeszłości.

Po pierwszych z rodziną Mickiewicza powitaniach, siostra moja poprowadziła mię do przeznaczonego dla mnie pokoju; był on na górze, nad jej pokojem. Mając iść na schody, rzuciłam okiem w górę i zobaczyłam na przedsiönku stojącą kobietę z dzieckiem na ręku; spotkałam wzrok tej kobiety, utkwiony we mnie z siłą tak przenikającą, że uczułam niepokój jakiś, ze wstrętem dla tej kobiety połączony. Jednej chwili stanęły mi na myśli przestrogi owych starszych kobiet: „Zobaczysz tam i usłyszysz ludzi, których idee, niby nowe i wyższe, do najniemoralniejszych czynów prowadzą”: — to ostrzeżenie przypomniał mi pierwszy widok Ksawery — a świadczę

się sumieniem moim, że nikt mi przed przybyciem do Paryża o Ksawerze nie mówił; nie tylko więc nie wiedziałam, że ją u Mickiewicza zobaczę, ale niewiadoma mi była egzystencja tej kobiety na świecie. Tutaj najlepiej dowiodę, jak dalece bezstronną i ostrożną w sądzeniu być chciałam; pomimo wstrętu, jaki obudził we mnie widok Ksawery, gdy siostra przedstawiła mi ją jako przyjaciółkę domu, podałam jej rękę szczerze, serdecznie i z pewnym wewnętrznym wyrzutem postanowiłam zatrzeć pierwsze uczucie niechęci mimowolnej. Uderzyło...

Na tym dziennik się urywa: dalszy ciąg jego — nie wiemy, jak obszerny — posiadał w depozycie Artur Wołyński; i ta część przeszła do rąk Władysława Mickiewicza. Czy ją zniszczył? Bardzo być może. Uważał, że na posągu z brązu nie może być skaz. Był konsekwentny.

Jeżeli nas zajmuje ta sprawa i jeżeli musimy gorąco żałować, że nie posiadamy tego ważnego dokumentu o Mickiewiczu, pochodzącego od osoby, która spędziła kilka lat w jego domu, to z pewnością też nie dlatego, aby szukać skaz na posągu, ale dlatego, że odgadujemy w tym pamiętniku rewelacyjny komentarz do zagadki towianizmu! Ale i tych kilka stron pobudza nasze refleksje. Imię *Ksawera*: to imię nie jest nieznanne: byłaby to ta sama Ksawera, o której jest mowa w cytowanych przez Kallenbacha (*Towianizm na tle historycznym*) notatkach Januskiewicza? Owa demoniczna i niebezpieczna siostra Ksawera Deyblówna? Oczywiście!

„Najwięcej trosk duchowych w najbliższym otoczeniu sług sprawy sprawiała »siostra« Ksawera Deyblówna. Wywierała ona urok niebezpieczny swym wdziękiem, a zwłaszcza swym wzrokiem”, tak podaje Kallenbach, a wedle notatek Januskiewicza Towiański mówił o niej tak:

Z siostrą Ksawerą kiedy mówiłem, to miała oczy zakryte: inaczej z nią widzieć się nie mogłem; Ksawera, księżniczka izraelska, do wielkich przeznaczeń gotowana, dziś w spółce z Piekłem na zabicie chrześcijaństwa. Magnetyzmem kusi, podbija. Ferdynand (Gut, szwagier Towiańskiego) przed rokiem nie pisał o tem (z Paryża), jak pismo Mistrza w Kole przyjęto, tylko arkuszowe listy pisywał o blasku oczu Ksawery. Anna (Gutowa) i Karolina (Towiańska) po odczytaniu listów tych dostawały cielesnych boleści.

A gdzie indziej:

...ów żąda medalika od Ksawery, ten jej uśmiechu, a brat Zan, który wiedząc, czym jest siostra Ksawera, uległ jej, chciał się z nią żenić, a ona go za brata nie zna.

Kiedy przez pięć miesięcy Ksawera zostawała w domu moim, kiedy siostry (Karolina i Anna) pokazały jej w najdrobniejszych szczegółach, jak trzymać ton Chrystusowy przy igle, rondlu, w każdym kroku, a potem gdy wszystko odrzuciła, szatanem została. Cudownie potem dotknięta od Ducha świętego w Einsiedelu... Odprawiam ją do Paryża. Tam ledwie stanęła, Adam i Seweryn połączyli się z sobą, zabili w niej ten ogień zapalony w Einsiedelu, zatrzymali w niej życie...

Rubaszniej o tych sprawach pisze dobry Teofil Lenartowicz: „Adam grzązł także w nieprawościach z jakimiś Żydówkami” notuje w liście do T. Moszczuńskiej (odpisy Biegeleisena), czyniąc sceptyczną uwagę, że „już to polscy prorocy więcej w ogóle do Dawida są podobni niż do Jeremiasza albo Izajasza. Przepadają za plemieniem niewieściem, z czego się robi morowe powietrze i inne przypadłości”. I notując „nieprawości” Adama „z Żydówkami”, dodaje w nawiasie „Dajbel”.

Zaciekawiony tymi relacjami, przepatrzyłem korespondencję Mickiewicza z epoki towianizmu, zwłaszcza ustępy, w których mowa jest o kobietach. Dość trudno się jest zorientować, jak różne osoby często są oznaczane literą X.<sup>5</sup> albo trzema gwiazdkami. Kto wie przeszła, jaką ta korespondencja przeszła cenzurę!

Zatem w liście do pani Gutowej, 23 października r. 1842:

<sup>5</sup>X. — skrót od daw. pisowni imienia: Xawera. [przypis edytorski]

...Stefan oświadczył się był \*\*\*! Z tych zamiarów Stefana pochodziło pewnie wiele jego fałszywych ruchów. Odmowę \*\*\* zdaje się, że przyjął do-  
brze i uspokoił się...

Do Towiańskiego, dnia 3 listopada 1842 r.:

Żona z wolna, ale coraz lepiej idzie. Dziaćki zdrowe. X. pięknie stoi, lubo<sup>6</sup> jej nie psują pochwałami. Wszyscy nogi twoje całujemy.

Wreszcie w r. 1845 (ten sam rok, z którego pochodzą notatki Januszkiewicza), cały szereg raportów Mickiewicza do Mistrza:

\*\*\* szczęśliwie wyszła z matu. Jest u mnie znowu, i w lepszym stanie niż kiedy. Wszakże to nastąpiło po długich walkach, z wielką z mojej strony stratą sił i uszczerbkiem zdrowia. Ja od początku czułem \*\*\* w złym stanie. Ferdynand mnie o to obwinał, poszły z tym wielkie zamieszania. Seweryn w chwili łaski i mocy rozbił więzy, których czułem ciężar na \*\*\*. Ona mi się wydała po przyjeździe w tym stanie, w jakim była żona moja przed chorobą. Dzięki Bogu, że to się skończyło.

Seweryn to Pilchowski, Ferdynand to Gut. Ten Ferdynand odgrywał w tych „zamieszaniach” znaczną rolę. Już w kwietniu 1844 w raporcie do Mistrza Mickiewicz pisze:

Ferdynand mi potrzebny do wielu pojedynczych zdarzeń, w których zaradzić sobie nie umiem i światła dostatecznego nie mam. Np. stosunki braci z kobietami etc. etc. Bóg tylko mnie dźwignął — że wśród tylu kłopotów i ciśnięć jeszcze trwam zdrów.

Do Andrzeja Towiańskiego, 22 lipca 1845:

Siostra \*\*\* przysłała uwiadomić, że brat Seweryn oświadczył jej, że jej drogę ułatwił i wezwał ją, aby mu poświadczyła, że życie zabite u niej obudził. \*\*\* odłożyła odpowiedź na później; mnie wynurzyła się, iż w bracie Sewerynie iskry budzącej życie Chrystusowe nie czuje...

Ojciec i panie!

Uradujmy się w Panu. Zło zwalczone. Pisałem do ciebie, Panie, obszernie raporty i przesłałem protokół ostatniej schadzki. Ten pakiet poszedł do Zurich; nie wiem, czyś go odebrał. Powtórzę w krótkości, że brat Seweryn zrozumiał był twoje pismo w ten sposób, że wymagasz, aby on \*\*\* więcej uczył, mnie ohydził, a braci cisnął... Wielu braci to jego uczucie dzieliło. Zaczął się chaos, jakiego nigdy nie było. Bóg mnie trzymał. Wyszli i już na ulicy rozerwali się. Kilku zaraz grzech poczuło, inni strwożyli się. Brat Seweryn mocno napadł \*\*\*; ale jej nie skusił. Przesyłam tu kartkę o ich widzeniu się zawczorajszem... Wczora Bóg miłosierdziem swoim ruszył na koniec brata Seweryna.

...Brat Ferdynand duchem stał przy mnie, od spółki wiele wycierpiał, a milczeniem i skupieniem więcej dobrego zrobił, niżby mógł dokazać największym wysileniem. Bogu dzięki i za to. \*\*\* w dobrym stanie i wiele pomogła silnym a pokornym oporem Sewerynowi. Będzie miała jeszcze z nim i z bracią wielkie Służby.

\*\*\* jest w Nanterre. Przed wyjazdem zostawiłem ją w lepszym niby porozumieniu z \*\*\*: wszakże powiedziałem, że jeśliby przyszło między niemi do wielkich zatargów, w takim razie \*\*\* lepiej zrobi, oddalając się z domu aż do mego przyjazdu. Tak się też stało. Karol widział zirytowaną, dostrzegł, że dzieci krzywdziła i sama zaniedbywała się, chciał ją nawet sam z domu mego oddalić. \*\*\* przyznawała się do win; przyznała się, że dzieci moich nie

---

<sup>6</sup>lubo (daw.) — choć. [przypis edytorski]

lubi, że wiele kłamała, że nawet przed mistrzem prawdy całej nie powiedziała. Przynęcała poprawę, starała się w ostatnich dniach pobytu łamać siebie, ale wtenczas właśnie \*\*\* irytacja doszła najwyższego stopnia i brat Karol nie mógł więcej z \*\*\* stosunku bratniego i urzędowego zachować. To słyszałem od Karola i mam za prawdę. \*\*\* skarży się, że ją nadto gnębiono. \*\*\* jeszcze nie widziałem. Mam nadzieję, że to zło da się zwalczyć. Celinę znalazłem znacznie lepiej i pogodniej, i nieco czulej usposobioną...

Ciężko będzie z Zygrydem. Całkiem jeszcze siedzi w ziemi. Był u mnie z różnemi pretensjami do braci, a na koniec padł na kolana i błagał ze łzami, abym siostry \*\*\* nie uciskał, i żądał mieć z rąk siostry \*\*\* sznureczek do medalu! Kalinkowski również siostrą \*\*\* zajął się i nazywa ją aniołem...

Nad żoną wiele pracowałem. Stara się z wolą jak nigdy. Wycisnęła na sobie przeproszenie dla \*\*\* i dopełniła z ruchem jakimkolwiek, ale z ruchem przeciw...

Brat Seweryn zawczora oświadczał, że poczuwa się do grzechów przeciwko mnie; mówił Karolowi, że w te grzechy Ferdynand go zaciągnął. Mnie przeproszał. Wzywałem, aby z Bogiem i tobą godził się. Ja nic nie mam przeciw niemu. Wczora znowu w złym stanie. Oświadczył, że dla restytucji chce z \*\*\* żenić się; pytał o radę. Radziłem znowu, aby z Bogiem i z tobą na-przód rachunek kończył... Brat Seweryn znowu w chaosie; groził, że życie sobie odejmie, a razem mówił, że on jeden jest w spółce z tobą, że ja i Koło w tej spółce nie jesteśmy etc. etc.

W tym okresie przypada zatarg Mickiewicza z Mistrzem. Doszło do tego, iż Towiański mówi do Januszkiewicza, że *Adam jest gorszy niż car Mikołaj*... Mówi dalej Towiański, wedle tej relacji (i. e.), że

rękę moją lewą dam chętnie na spalenie, byle tylko furie trapiły dziś Adama... Jedno dotknięcie furii zrobi niczym Adama, strąci go z posady jego ziemskiej. Adam na drogę Ferdynanda (Guta) wchodzi. Czterej królówie fałszywych tonów, wrogowie Nieba, są wam znajomi w Kole; to są kamienie probiercze dla braci: na nich pokażą bracia, czy przenoszą ziemię nad Niebo: Adam, Seweryn, Ferdynand, Ksawera są, jak powiedziałem, królami tonów przeciwnych tonowi Chrystusowemu.

Cóż za ponura dostojewszczyzna! I oto działanie niwelacyjne nauki towianizmu: Adam, Ferdynand, Ksawera, wszystko to równorzędne przed obliczem Mistrza! Oto niesamowity komentarz do rozdźwięków w Kole. W pięć lat potem spotykamy Ksawerę w domu Adama. I czy to wejście Zofii Szymanowskiej w dom Mickiewiczów, te jej pierwsze wrażenia, ta pierwsza scena, którą w kilkunastu wierszach szkicuje, nie trącą w istocie pierwszym rozdziałem jakiejś powieści Dostojewskiego?

Czy mamy więc tę kobietę oznaczoną trzema gwiazdkami utożsamiać z Ksawerą Deyblówną? Z treści listów zdaje się to nie ulegać wątpliwości. Ten sam splot osób. Faktem jest, że cała ta „siostrzana” strona towianizmu traktowana bywa niezmiernie półgębkiem. Nie chodzi tu o plotki; ale mam wrażenie, że nie możemy dobrze zrozumieć wielu przejawów towianizmu, jeżeli obok jego tendencji mistycznych nie będziemy się starali przetłumaczyć na ludzki język jego stron obyczajowych, jego, że tak powiem, „psychoanalizy”. Wszelki ruch mistyczny — aż do naszej „Reduty” włącznie — ma swoją podskórną żyłę erotyzmu. Kiedy czytamy listy Mickiewicza z tej właśnie epoki, kiedy czytamy zeznania Januszkiewicza, odnosimy wrażenie jakiejś gromadnej hysterii, jakiegoś splotu mistycznego sadyzmu. Byłoby niezmiernie ważne wszechstronne poznanie udziału kobiet w towianizmie<sup>7</sup>. Wszak nie był on zjawiskiem odosobnionym, wszak w tej samej dobie,

<sup>7</sup>Byłoby (...) w towianizmie — Interesującym jest że w ostatnich czasach księża mariawici starają się nawiązać swą naukę do towianizmu. Kiedy odwiedzałem księży mariawitów w Felicjanowie, ujrzałem przy łóżku arcybiskupa Kowalskiego pełne wydanie turyńskie *Pism Towiańskiego*. Świeżo wprowadzoną instytucję kapłanek wywodzą mariawici z koncepcji Mickiewicza. [przypis autorski]

w tym samym Paryżu skupiają się w *Rodzinie* saintsimonicznej fanatyczne wyznawczynie „Ojca Najwyższego”, Prospera Enfantin. Jest coś w powietrzu: to chwila, gdy Enfantin ze swoim kościółkiem puszcza się do Egiptu na poszukiwanie „żeńskiego Mesjasza”! I jakże pokrewne proklamacjom owego Ojca jest to oświadczenie Mickiewicza w kwestii kobiecej:

...Wam Polkom wiedzieć trzeba, iż epoka dzisiejsza jest dla Was bardzo ważną; jest to epoka wyzwolenia kobiet. Mistrz wyraźnie objawił, iż to jest istotną częścią Sprawy. Kto tego nie uzna i nie poczuje, ten nie jest w Sprawie. Kobiety są powołane do równości; duchy nie mają płci, są sobie równe i stosownie do różnic organizacji wezwane do czynów odpowiednich. Wy byliście dotąd niewolnicami, dawano wam rolę podrzędną, najdogodniejszą dla męża, etc.

Jest całkiem naturalne, jeśli towianizm i w tej dziedzinie szukał nowych form i nowych rozwiązań; jak i to, że idealne formy wykrzywiały się poczwarnie w praktyce życia. Toteż w tym opętaniu, które odbija się w ówczesnej korespondencji Mickiewicza, zrozumiałym jest, że kobiety musiały odgrywać ważną rolę. To, co pisze Wołyński o opinii, jaką miał towianizm, nie było zapewne tak wyssane z palca. Narzeczona Chodźki zwróciła mu pierścionelek, dowiedziawszy się, że przystał do towianizmu (Władysław Mickiewicz, *Pamiętniki*).

Tego wszystkiego nasi uczeni nie bardzo widzą. Raczej nie chcą widzieć. Jest teraz moda na towianizm, na jego gloryfikację. Też z ducha „brązownictwa”: wszystko, co zetknięło się z Mickiewiczem musi być wzniosłe i piękne. Do czego dochodzi to załganie, ta neotromtadracja naukowa, może służyć za przykład zdanie, które świeżo wyczytałem w artykule o Mickiewicz: „Od Mickiewicza do rozwiązania zagadki Boga (!) bodaj już tylko krok jeden”. Ale doprawdy, kto nieuprzedzonym okiem na świeżo przeczyta listy Mickiewicza z tej epoki, te raporty zdawane Mistrzowi — ten nie może się oprzeć bezgranicznemu przygnębieniu; ma się uczucie zupełnego — chwilowego zresztą — upadku wielkiego ducha, który się szamota w oparach jakiegoś zaczadzenia, szpiegowania się wzajemnego, prześladowania. Jest to po prostu oglupienie takie, że uczuwamy wstyd i ból, czytając korespondencję Mickiewicza z pewnej fazy towianizmu. I jeżeli się mówi o „połudzie ducha” Towiańskiego, nie godzi się zapominać o tych nizinach, na jakie wpływ jego ściągnął na chwilę naszego naprawdę najpotężniejszego ducha.

I jeszcze jedno: Towiański i jego tajemnicza siła to sprawa przede wszystkim życiowa. Dla zrozumienia jej działań najważniejsze jest poznanie atmosfery, aury jego wpływu. Tymczasem pisze się mnóstwo o nauce Towiańskiego, wydaje się i komentuje bez końca jego pisma, dość dla nas nieinteresujące i obojętne, pisze się tym tonem, jakby co najmniej połowa naszych badaczy literatury składała się z żarliwych towiańczyków, nie tyka się zaś prawie zupełnie tego co tu jest najistotniejsze: — życia. „Nie uchodzi! Nie uchodzi!” — jak mówi kapelan u Fredry.

W każdym razie osobliwe jest, aby sprawa, która na lata całe na Mickiewicz zaważyła, była tak dokładnie przemilczana; aby kobieta, która zagadkowo magnetyzowała życie poety w jego najbardziej tajemniczym okresie, była nam tak starannie ukrywana! Porównajmy to z płachtami papieru, które zaczerniono „Marylą” albo jakąś Marią Wodzińską, będącą raczej pretekstem do poezji Juliusza.

Nawiasem wspomnę, że pewne faktyczne szczegóły o Ksawerze Deybel znajdujemy w broszurze Władysława Mickiewicza pt. *Moja matka* (Kraków, 1926). Broszura ta stanowi jakby replikę na zatracony *Pamiętnik* Zofii Szymanowskiej (mógł wszak gdzieś istnieć ich odpis!), jest niejako jego sparowaniem. Władysław Mickiewicz mówi tam wiele o Zofii Szymanowskiej, starając się z góry osłabić wagę jej świadectwa. Ale jakże sprzecznie z przytoczoną przeze mnie korespondencją i wiadomościami, jakie mamy dziś o tym *Pamiętniku*, brzmi już ten odsyłacz Władysława Mickiewicza:

Na moje życzenie pani Lenartowiczowa napisała o domu rodziców. W papierach później znalazłem wydartych kilkanaście stronic (?), które Artur Wołyński złożył podobno (?) w jednej z bibliotek publicznych. Po zgonie

Lenartowicza pospieszyłem do Florencji na życzenie Stanisława Leszczyńskiego, jego spadkobiercy, który nie mógł natychmiast tam wyruszyć. Już znajomi Lenartowicza dobrali się do jego papierów i może tą drogą ten urywek wspomnień Lenartowiczowej dostał się Wołyńskiemu.

Otóż wiemy, że Władysław Mickiewicz miał ten rękopis u siebie już w r. 1890...

Wedle relacji Władysława Mickiewicza Ksawera Deybel była od 1841 roku nauczycielką dzieci w domu Mickiewicza. (Zofia Szymanowska zastała ją tam w r. 1850). „Jakiś czas — pisze syn — spełniała dobrze swoje obowiązki, aż wir perturbacji zachodzących w kole uczni<sup>8</sup> Towiańskiego porwał ją: wyniosła się wówczas z domu poety. Znalazła inne zajęcie, nie przestając mięszać się do spraw zachodzących wówczas w gronie towiańczyków”.

O wszystkich tych sprawach pisze Władysław Mickiewicz bardzo mgliście, częścią zacierając fakty, częścią spowijając je ogólnikami; — rzecz w danej okoliczności zrozumiała i godna uszanowania. Ale jeżeli w ten sposób wszędzie obchodzi się z niedogodną prawdą w swoim czterotomowym dziele o wielkim ojcu, w takim razie dzieło to jest wszystkim, tylko nie źródłem historycznej wiedzy. Potwierdza to tylko moje uwagi o niebezpieczeństwach, jakie grożą, jeżeli historykiem i archiwariuszem wiedzy o pisarzu jest jego własny syn.

Wedle mnie są to rzeczy pierwszorzędnej wagi, mogące poniekąd rzucić nowe światło na sprawę towiańszczyzny, która wszak cała stoi do dziś udziałem Mickiewicza! Toteż powrócę jeszcze do tej kwestii.

A oto przykład, jak odnosi się „poważna nauka” do tych spraw i jakie są jej zadziwiające „metody”. Gloryfikując cnoty Towiańskiego, prof. Kallenbach pisze:

Tym więcej razić nas muszą próby dawniej już usiłujące rzucić cień na zasady mistrza. W pamiętnikach Zofii Komierowekiej (żony autora broszurki *Moje stosunki z Towiańskim i towiańczykami*) znalazł się ustęp taki o mistrzu: „Mówiąc o małżeństwie mojem, powiedział mi (Towiański), że z powodu zbyt wielkiej różnicy wieku między nami (małżonkami) uwalnia mnie zupełnie od wierności małżeńskiej, której zresztą ani Bóg, ani Kościół od nikogo (!) nie wymaga; mam tylko uważać, aby duch tego, który zajmie w sercu moim miejsce męża, był czysty i wolny; co powiedziawszy, zrobił znak Krzyża św. na mojem czole, *absolvo te* dodając i gorący pocałunek na twarzy mojej składając”.

Opowiadanie to musiało się od razu wydać co do wiarygodności wątpliwym (dodaje Kallenbach), skoro redakcja „Bluszczu”, drukując pamiętniki Z. Komierowskiej w r. 1889, cały powyższy ustęp opuściła. Po latach kilkudziesięciu, widocznie autorce *Pamiętników* nie dopisała pamięć, na co też i z innych względów zwrócił uwagę Władysław Mickiewicz. Tęgo rodzaju anegdoty nie mogą się ostać wobec poważnych świadectw współczesnych o stałości zasad Towiańskiego.

Nie wchodzę w krytykę ustępu pamiętnika<sup>9</sup> jakkolwiek rzecz wydaje mi się dość prawdopodobna; ale jak wam się podoba ta metoda naukowa? Opuszczenie ustępu przez redakcję „Bluszczu” — osławionego już w owym czasie dla swojej pruderii (patrz listy Żmichowskiej!) wystarczy uczonemu profesorowi do unicestwienia zeznań bezpośredniego świadka!! O metodo!

Drugi argument — opinia Władysława Mickiewicza; tego samego, który najbardziej zainteresowany jest w przeinaczeniu prawdy i który traktowaniem niewygodnych dokumentów ściągą wręcz na siebie zarzut niszczenia ich i fałszowania; zarzut potwierdzony niestety zniknięciem tych *Pamiętników*. I jakże charakterystyczny jest ostatni zwrot prof. Kallenbacha: gdy coś jest niewygodne dla „brązowości”, nazywa się to „anegdotą”; gdy wygodne, nazywa się poważnym świadectwem, mimo że anegdota podaje zawsze fakt, a „poważne świadectwo” poprzestaje na ogólniku. Doprawdy można mieć wrażenie, że

<sup>8</sup>uczni — dziś: uczniów. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>krytykę ustępu pamiętnika — Patrz: *Przypisy (Co opuścił „Bluszcz”?)* [w dalszej części tej publikacji; red. WL]. [przypis autorski]

nasza historia literatury to stara guwernantka, która raz po raz przewraca po parę kartek, mówiąc: „To nie dla was, dzieci, tego nie czytacie, tego nie potrzebujecie wiedzieć”.

Zbyt obszerny i ważny to temat, aby go tutaj wyczerpać. Na razie pragnę jako konkluzję moich trzech artykułów sformułować jeszcze raz te wnioski:

Wiedza nasza o Adamie Mickiewiczu była w samych źródłach sparaliżowana przez cenzurę „brązowniczą”, uprawianą metodycznie, a sięgającą aż do usuwania dokumentów.

Wobec tych dokumentów, które istnieją, oficjalna nasza nauka raz po raz powoduje się tchórzliwą pruderią i stosuje metody, które muszą budzić uśmiech.

Zamiast tedy nawoływać o to, żeby Mickiewicz pozostał „posągiem z brązu”, raczej, sądzę, powinniśmy się starać, aby stał się dla nas żywym człowiekiem i aby nareszcie wiedza nasza o nim weszła na tory odważnych badań, nie pod znakiem licytacji na pokłony, frazesy i superlatywy, ale pod znakiem szlachetnej pasji poznania.

KSAWERA DEYBEL

Kiedy przez fragment dziennika Zofii Szymanowskiej zetknąłem się z tajemniczą postacią „Ksawery”, której roli w życiu Mickiewicza nikt dotąd nie oświetlił, zacząłem się przepytować tu i ówdzie, co o tej Ksawerze jest wiadomo. Ze zdziwieniem przekonałem się, iż ludzie uczeni, którzy dobrze znają niejedną podszewkę oficjalnej historii, zgoła ci, którzy specjalnie zajmowali się Mickiewiczem, nie słyszeli nawet jej nazwiska. Uderzyło mnie to jako coś niezwykłego, aby można było tak zakonspirować osobę i istnienie kobiety, która, jak się okazuje, tak długo — dziesięć lat a nawet więcej — żyła tuż obok Mickiewicza i która w historii towianizmu odgrywała bardzo czynną, a nawet chwilami — w dobie pamiętnego rozłamu w Kole — wpływową rolę. To są w istocie rzeczy bardzo osobliwe! Zacząłem tedy na własną rękę czynić zestawienia, i pozwolę sobie zwierzyć tu naprędce to co mogłem znaleźć i wywnioskować. Oczywiście to ledwie początek; sądzę, że gdy uwaga zwróci się w tym kierunku, uda się może rozświetlić tę kartę dziejów Mickiewicza; przynajmniej w pewnej mierze; nie licząc bowiem trudności wżycia się w ową tak bardzo swoistą atmosferę, nie licząc tych, jakie przedstawia zapuszczenie wzroku w otchłań duszy genialnego człowieka, przypuszczam, że „pietyzm” postarał się o dokładne zatarcie śladów.

Najpierw tedy sprawdziłem, co mówi o tej sprawie Władysław Mickiewicz, autor *Żywota Adama Mickiewicza*. O Ksawerze Deybel nie znalazłem ani słowa. Dzieło to — cztery wielkie tomy — komentuje obszernie najdrobniejszy szczegół z życia poety; przemilczenie zatem osoby, która mieszkała szereg lat w domu Adama i która brała tak żywy udział w towiańszczyźnie, ma swoją wymowę. Mają swoją wymowę i pewne niedomówienia, zwłaszcza jeżeli je zestawimy z późniejszą o lat trzydzieści parę broszurą Władysława Mickiewicza pt. *Moja matka*.

W cytowanym liście Władysława Mickiewicza do Artura Wołyńskiego w sprawie pamiętnika Zofii Szymanowskiej, wspomina on, że pisze właśnie żywot ojca; zapewnia, iż „żadnego szczegółu godnego potomności nie pominię”. Widocznie istnienie Ksawery Deybel wydało się synowi wieszczą niegodne potomności i tym musimy sobie tłumaczyć jej nieobecność. Kiedy jednak, znalazłszy w urywku pamiętnika Szymanowskiej jak gdyby klucz do pewnych ustępów *Żywota*, przewertowałem na nowo jego karty, mam wrażenie, że w niedomówieniach i omówieniach można wyczytać dość dużo.

O ile nie ma tam ani słowa o Ksawerze, znajdujemy dużo o Zofii Szymanowskiej. I odnoszę jedno wrażenie. Władysław Mickiewicz uzyskał od Wołyńskiego rękopis pamiętnika swej ciotki; ale po pierwsze nie była to całość (reszta, jak wiemy, była u Kraszewskiego), po wtóre nie mógł mieć pewności, czy nie istnieje gdzieś kopia tego pamiętnika. Całe ustępy w *Żywocie* robią na mnie wrażenie jak gdyby odpowiedzi na ten pamiętnik; są zarazem jak gdyby dyskretnym odsunięciem pewnych kwestii, których syn poety nie chce poruszać.

Zatem, wedle *Żywota*, Zofia Szymanowska, przyrodnia siostra Celine Mickiewiczowej, przybyła do Mickiewiczów w marcu r. 1850. „Przyjechała — pisze Władysław Mickiewicz — na czas dłuższy, aby poznać panią Celinę i kształcić się w zawodzie malarskim. Była to bardzo przystojna i wykształcona osoba, ślicznie śpiewała i grała na fortepianie. Rzadkiej energii i poświęcenia, zbyt szybko sądziła ludzi i gdy raz kogo potępiła, to walczyła z nim namiętnie. Nieprzygotowana do roli, której się podjęła, nie była też w stanie



sprawiedliwie ocenić otoczenia poety”.

Tłumaczy się wszystko jednym: Zofia Szymanowska nie była towianką. Otóż, z towianizmem nie było pośredniej drogi; albo trzeba było być z nim, albo było się poza nawiasem. „Język Sprawy był jej najzupełniej obcy”.

Ale do Zofii Szymanowskiej powrócę w innym artykule. Tutaj chodzi mi o Ksawerę Deybel. Otóż wszystkie te karty, w których *Żywoć Adama Mickiewicza* potrąca konflikty Zofii z towiańczykami, innego nabierają światła, kiedy się je czyta mając w myśli pamiętnik Zofii Szymanowskiej i owo jej pierwsze spotkanie z tajemniczą „przyjaciółką domu”, Ksawerą. We wszystkich tych niedomówieniach synowskich czujemy obecność Ksawery.

Sam Władysław Mickiewicz utwierdza nas w tym wrażeniu. W trzydzieści dwa lata po wydaniu *Żywota*, ogłosił on broszurę *Moja matka* (Kraków 1926), w której wyraźniej mówi o tych sprawach i w której nazwisko Ksawery Deybel pojawia się wielokrotnie. Co było jego pobudką? Dość jasno mówi o tym we wstępie. Przyszli biografowie wielkiego ojca zaczęły szperać w tajemnicach jego życia; syn woli więc odsłonić pewne kwestie, a raczej podać ich wersję wedle swojej myśli, niż zostawić je domyślności.

Jakoż w istocie, w r. 1922 wyszła książka Kallenbacha pt. *Towiański na tle historycznym*. W książce tej pojawia się kilkakrotnie osoba Ksawery Deybel. Otóż Władysław Mickiewicz w jednym ustępie *Żywota* dość szczerze czyni wyznanie swojej polityki. Opowiadając o ślubie, jaki Mickiewicz dał małżonkom Łąckim, mówi, że „opowiada ten fakt, raz dlatego, że wzięwszy za zasadę podać wszelki, jaki posiada, materiał do życia ojca, nie ma prawa przemilczać o żadnym fakcie, po wtóre, że piśmienne dokumenty odnoszące się do rzeczy, o której mowa, znajdują się może w ręku innych i mogłyby być ogłoszone kiedyś z takim lub owakim komentarzem”... Zdaje mi się, że jedynie ten drugi wzgląd był dla Władysława Mickiewicza decydujący w kwestiach, które mu się wydawały drażliwe.

Przed wszystkim jednak cała ta broszura tym więcej robi wrażenie ciągłej repliki na ów nieznany mam pamiętnik Zofii Szymanowskiej. Wszak tymczasem część tego pamiętnika z puścizny po Kraszewskim przeszła na własność Biblioteki Narodowej; kto wie, czy i z tamtej części nie leży w ukryciu jakiś odpis? Władysław Mickiewicz decyduje się więc wyraźniej poruszyć pewne sprawy, ledwie zaznaczone w *Żywocie*. Ujrzymy jednak, że biograf wielkiego ojca ma na celu nie tyle przekazanie prawdy, ile kształtowanie jej. Powtarzam, że nie myślę go o to wniść; notuję tylko fakt potwierdzający jeszcze raz, że trudno jest synowi być dziejopisem ojca.

Zatem, w liście Celiny Mickiewiczowej do siostry Heleny, pisanym 18 grudnia (było to już w kilka miesięcy po zjawieniu się Towiańskiego w życiu Adama) znajdujemy następujący ustęp:

Wierzaj mi, moja droga, że mój sposób życia nie jest tak trudny, jak ci się zdaje; dziś nawet niepodobna by mi wrócić do dawnego po łaskach, które Bóg zesłał na nas. Ksawera mi jest wielką pomocą, ale nade wszystko zmiana w życiu i w gustach zniewoliła mnie do tego, żeby szukać szczęścia tam, gdzie ono jest istotnie, a nie tam, za czym świat się ubiega.

Władysław Mickiewicz opatruje ten list następującym komentarzem:

W liście poprzednim matka moja nadmienia o pannie Ksawerze Deybel. Wrócimy później do tej nauczycielki dzieci Mickiewicza, która przez jakiś czas dobrze spełniała swoje obowiązki, aż wir perturbacyj zachodzących w kole uczni Towiańskiego porwał ją: wyniosła się wówczas z domu poety. Znalazła inne zajęcie, nie przestając się mieszać do spraw zachodzących wówczas w gronie towiańczyków.

Zestawmy daty: grudzień r. 1841; Zofia Szymanowska zastaje Ksawerę w domu Mickiewiczów w r. 1850, po latach dziewięciu. Zobaczmy skądinąd z raportów Mickiewicza i z gromów Mistrza, jak wydatna była jej rola w życiu *Kola*, bodaj prywatnym. Przypomnijmy wreszcie wyznanie samego Mistrza, iż kiedy mówił z „siostrą Ksawerą, to miała oczy zakryte”; „inaczej z nią widzieć się nie mogłem!”. Zdaje mi się, że ta wzmianka bagatelizująca jej obecność i sprowadzająca „księżniczkę izraelską” do nieznaczącej roli nauczycielki, która się potem zaniedbała w obowiązkach, jest mocno tendencyjna.

W czerwcu r. 1844, w przytoczonym znów w tej broszurze liście Celiny znajdujemy zdanie:

Marynia często już mi jest pomocą w pilnowaniu dzieci i krzątaniu się koło gospodarstwa. Panna Dajbel zupełnie trudni się jej wychowaniem.

W lipcu r. 1845 pisze Celina do siostry, że „panna Dajbel już u nas nie jest”. Data ta zwraca naszą uwagę, gdyż właśnie w tym czasie zachodzą owe przełomy w Kole, a Mistrz rzuca klątwy na Adama, Ferdynanda, Seweryna i Ksawerę. Komentarze do tej nieobecności Ksawery znajdziemy zresztą w raporcie Adama Mickiewicza do Mistrza.

Oto jak objaśnia te rzeczy Władysław Mickiewicz:

Panna Dajbel początkowo pilnie się zajmowała starszą moją siostrą. Wkrótce kwestie poruszane na zebraniach towianistów, tyle chwil jej zabierały, iż zaniedbała się do tego stopnia, że Karol Różycki doniósł o tym Towiańskiemu. Kobiety wielkie perturbacje wywołały w Kole. Wedle chwilowego popędu, przechodziły one z jednego obozu do drugiego, wymagając, żeby uważano za natchnienie wszelki poryw ich fantazji. W imieniu wolności ducha występowały hałaśliwie na prelekcjach Mickiewicza. Podobne zawiłkiania trafiały się i u pierwszych chrześcijan. Panna Dejbel była jedną z najruchliwszych siostr w Kole, w rozterkach którego popierała to jednych, to drugich. Był czas na przykład, że matka moja trzymała bardziej za zdaniem Towiańskiego niż męża, a panna Dejbel przeciwnie. Stąd nastąpił okres, w którym matka moja okazywała nadzwyczajną wyrozumiałość. Ponieważ przesadna gorliwość panny Dejbel<sup>10</sup> nie tylko matce mojej dawała się we znaki, Towiański wystosował do niej list z naganą. Jedni wierzyli w szczerść jej egzaltacji, drudzy nie...

Ostatecznie — pisze Władysław Mickiewicz — te gwałtowne demonstracje minęły, z panią Dajbel ożenił się Francuz Mainard<sup>11</sup>.

Znów musimy zwrócić uwagę na zbagatelizowanie chronologii; te rzeczy dzieją się w r. 1845, Zofia Szymanowska zastaje zaś Ksawerę u Mickiewicza w r. 1850.

Wiele jeszcze uwag poświęca Władysław Mickiewicz Zofii Szymanowskiej, komentując niechęć jej do towiańczyków. Powrócimy do tego stosunku. W końcu, zdawszy relację ze zgonu matki, rozważa to gorzkie zdanie, jakie wyrwało się Adamowi o zmarłej żonie w liście do Konstancji Łubieńskiej:

„Przyrzekła, że będzie duchem mnie pomagać i być ze mną. Czemuż tego nie było za życia?”

Dlatego — odpowiada syn — że niezupełnie przystać mogła na szczególny tryb życia ustalony pod jej dachem od zjawienia się Andrzeja Towiańskiego. Matka moja powrót do zdrowia zawdzięczała Towiańskiemu i nigdy tego nie zapomniała; ale daleko więcej znosić musiała od niektórych jego uczniów, niż mój ojciec mógł się domyślać, miała bowiem za zasadę nigdy nie skarżyć się, ograniczała się na stronienu od osób, które o pierwszeństwo w jej domu dobijały się...

Początkowo te dyskusje toczyły się o mistyczne zagadnienia. Ale później *ta siostra, która była uznana jako lepiej pojmująca naukę Mistrza*, przewagę miała nad innymi. Nigdy matka moja nie przestała biernie się w takich zdarzeniach zachowywać. Jej niechęć dla pewnych osób niemniej razila ojca mojego. Uniesienia zaś, budujące jednych, nie zdawały się szczerem innym... Podobne zjawiska powtarzały się zresztą na zebraniach pierwszych chrześcijan i są nieuniknione, ile razy otwierają się nowe drogi, po których jedni kroczą powolniej, drudzy spieszniej, każdy wymagając, aby sąsiad szedł

<sup>10</sup>*Dejbel* — nawet w jednym tekście jednego autora zdarza się, że nazwisko to bywa różnie pisane: Deybel, Dejbel, Dajbel itp. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Francuz Mainard* — Mowa o Edmundzie Mainard, młodym przyjacielu Mickiewicza, który pod pseudonimem Pontile napisał po francusku entuzjastyczną broszurę (1862) o poecie. Ale panna Deybel wyszła za Mainarda dopiero po latach od wypadków, które tu Władysław Mickiewicz opisuje. [przypis autorski]

w jego ślady. Ojciec mój mało przywiązywał wagi do tych zatargów, matka zaś moja krzywo patrzyła na żarliwe towianistki, które dobijały się o pierwszeństwo w jej domu, bez żadnej zresztą zachęty ani Mistrza, ani Różyckiego. Jeden i drugi wystąpili piśmiennie przeciw pretensji pyszałkowatych sióstr...

Pod koniec swojej broszury Władysław Micikiewicz pisze:

Jeżeli nadmieniam o tych wewnętrznych zatargach w Kole, to, jak to wyżej powiedziałem, jedynie dlatego, że krytyka i do tych drobiazgów się weźmie, a z tych dawnych zdarzeń z trudnością dobrze zda sobie sprawę.

Krytyka i do tych drobiazgów się weźmie... Z pewnością, że się weźmie, i dziw nawet, że tak późno. I nie wydaje mi się to wszystko bynajmniej drobiazgiem. Odkąd miałem sposobność wejrzeć w kwestie towianizmu, zawsze uderzało mnie, że tak mało nasi badacze poświęcają bacności udziałowi kobiet w życiu *Kola* i w rozwijaniu się tej nauki. Udział kobiet w sprawach każdej sekty jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia, zwłaszcza zaś w owej epoce, gdy sprawa kobieca, przebudowa stosunku płci (Fourier, *Enfantin* itd.) były na porządku dziennym. I nawet te zatargi wewnętrzne, domowe, muszą nas interesować. Bo powiedzmy sobie wręcz: sprawa towianizmu — to przede wszystkim udział w niej Mickiewicza; któż by się zajmował dziś rojeniami Mistrza, gdyby nie sposób, w jaki odcisnęły się one na życiu i twórczości naszych największych poetów? Nie dziw zatem, że szukamy klucza do jego tajemnic.

Jak wspomniałem, przed broszurą Mickiewicza wyszła książka Kallenbacha *Towianizm na tle historycznym*, ujawniająca nieco dokumentów, ale niewyciągająca z nich wniosków. Dziwi mnie np., że Kallenbach nie zestawia notatki Januskiewicza z listami Mickiewicza z tego momentu. Dokumenty te odsłaniają rąbek tajemnicy. Inaczej tam wygląda ta Ksawera, którą syn poety tak prozaizuje i zasuwa w cień. Przypomnijmy z relacji Januskiewicza to, co mówi sam Mistrz o „magnetyzmie” Ksawery, o jej wpływie na najwybitniejszych braci, o zamęcie, jaki powodowała w Kole, jak zbywszy się „tonu Chrystusowego”, została szatanem... Czytamy tam żale Mistrza do braci, w szczególności do Adama i Seweryna, że w niej „zabili ogień”, że w niej „zatrzymali życie”; czytamy straszliwe klątwy Mistrza, który „lewą rękę da chętnie na spalenie, byle tylko furie trapiły Adama!” Grozi Mistrz, że „jedno dotknięcie furii zrobi niczym Adama, strąci go z posady jego ziemskiej”... I to wszystko dzieje się na szczycie opętania towianizmu tuż przed przesileniem, które oderwie Adama od Mistrza.

I jakżebyśmy mogli dobrze zrozumieć to wszystko, gdybyśmy pominęli — jak zwykle czyniono — udział kobiet w towianizmie!

Skonfrontowałem następnie tę relację Januskiewicza z listami Mickiewicza, którego to trudu, zdaje mi się, nikt sobie wprzód nie zadał. Nie mam wielkiego zaufania do wydania tych listów. Sądzę że już w samych początkach zostały gruntownie przetrzebione. W kilka lat po śmierci poety, w r. 1861, pisze Klaczko w broszurze *O korespondencji Mickiewicza*, że przy wydawaniu takich „tajnych dokumentów” z życia wielkich ludzi<sup>12</sup> wydawca musi mieć na pierwszym miejscu „dobro i w dobrem utwierdzenie” duszy ludzkiej, a w takim celu „poświęci on wówczas niejeden dokument, jakkolwiek ciekawy i cenny, i niejedną odrzuci anegdotę niewątpliwej nawet autentyczności, ale wątpliwego pożytku. Bo nie wszystko, co zaszło godne jest zachowania dla przyszłości”. Zważywszy, że głównej pracy przy rewizji dokumentów dokonywały tu ręce syna, możemy sobie wyobrazić, ile tu poświęcono dla „utwierdzenia w dobrem”! Co więcej, wydano te listy tak, aby niejako zaciemnić pewne sprawy, w szczególności wszystkie wzmianki o kobietach w epoce rozłamu w Kole. Oznaczono je trzema gwiazdkami; ale ten sam znak stosowano dla osób najwyraźniej różnych. Co więcej, gdy wchodzi w grę dwie osoby, oznaczono trzema gwiazdkami i jedną, i drugą. Dla powierzchownego czytelnika powstaje stąd zagadkowy hieroglif. Otóż zdaje się oczywistym, że prawie wszędzie pod trzy gwiazdki

<sup>12</sup>Nie mam wielkiego zaufania do wydania tych listów (...) — Ciekawą notatkę przytacza za „Ruchem literackim” (z r. 1875) w swojej *Kronice* mickiewiczowskiej W. Belza. Mianowicie Konstancja Łubieńska, zmarła w r. 1866, „na trzy lata przed zgonem, chcąc ocalić część listów otrzymanych od wieszczki, z obawy, aby krewni dla uniknięcia zgorzelenia nie skazali ich na spalenie, ogłosiła je drukiem i trzymała w bezpiecznym ukryciu, a poleciła puścić w obieg księgarski dopiero po swej śmierci”. [przypis autorski]

trzeba podstawić imię Ksawera. Będziemy tedy czytali w raportach Adama do Mistrza, że „Ksawera wyszła szczęśliwie z matu”; że „siostra Ksawera przyszła uwiadomić, że brat Seweryn oświadczył jej, że jej drogę ułatwi, i wezwał ją, aby mu poświadczyła, że życie zabite w niej obudzi”; że „Seweryn mocno napadł na Ksawerę, ale jej nie skusił”; że „Ksawera w dobrym stanie i wiele pomogła silnym a pokornym oporem Sewerynowi”. A wreszcie ta relacja Adama zupełnie zgodna z aluzjami Władysława Mickiewicza:

Nad żoną wiele pracowałem. Stara się z wolą jak nigdy. Wycisnęła na sobie przeproszenie dla Ksawery i dopełniła z ruchem jakimkolwiek, ale z ruchem przecież.

A ten długi raport Adama z 14 lipca z Nanterre, gdzie wyraźnie chodzi o dwie osoby oznaczone trzema gwiazdkami, jak odczytać? Jedna to Ksawera:

Ksawera przyznała się do win, przyznała się, że dzieci moich nie lubi, że wiele kłamała. Przed wyjazdem zostawiłem ją w lepszym niby porozumieniu z \*\*\* (tutaj trzy gwiazdki zdają się oznaczać Celinę Mickiewiczową), wszakże powiedziałem, że jeśliby przyszło między nimi do wielkich zatargów, w takim razie Ksawera lepiej zrobi oddalając się z domu aż do mego przyjazdu.

(Niech mi wolno będzie zrobić nawiasowo uwagę: kiedym się zetknął bliżej z listami Mickiewicza, nie mogłem się oprzeć zdumieniu na widok strasznego zaniedbania tej dziedziny. Co robili nasi „mickiewiczologowie”, że dziś, po 74 latach od śmierci poety, nie mamy, już nie mówię — krytycznego, ale dobrego wydania jego listów, listów największego naszego pisarza? Tyloma zajmowano się drobiazgami, młócono je do znużenia, do przesyty, a w tej tak ważnej sprawie nie uczyniono nic! Tak jak wydano listy w krótki czas po śmierci poety, tak się je przedrukowuje dziś. Nie mówię już o samym tekście, z pewnością przesianym przez rodzinne sito, ale o sposobie wydania. Zamiast koniecznych objaśnień do nazwisk i do osób, mamy litery, gwiazdki, co najwyżej imiona, co razem tworzy, powtarzam, istny hieroglif. Nawet tam, gdzie są pełne imiona, któż odgadnie bez objaśnienia, kiedy „Seweryn” oznacza Pilchowskiego, a kiedy Goszczyńskiego? Mam wrażenie, że kiedy Władysław Mickiewicz wydawał pierwszy raz listy ojca — zwłaszcza z epoki towianizmu, raczej chodziło mu o to, aby pewne sprawy zostawić w cieniu; te sprawy, w miarę jak odchodzą pokolenia zbliżone tradycjami, coraz trudniej będzie rozjaśnić i oto nie uczyniono nic, aby to uczynić, raczej przeciwnie...)

Nie myślę bynajmniej rozłamu w Kole sprowadzać do sprawy kobiecej; ale jasne jest, że kobiety maczały tu swoje paluszki i że z tego całego zamętu wyziera Ksawera Deybel, owa Ksawera, przed której blaskiem oczu sam Mistrz musiał oczy spuszczać, „Ksawera, księżniczka izraelska, do wielkich przeznaczeń gotowana, dziś w spółce z piekłem, na zabicie chrześcijaństwa”. Dokoła niej trzech odszczepieńców: Adam, Ferdynand i Seweryn; z zazdrości o hymny śpiewane na jej cześć „dostają cielesnych boleści” siostry Anna i Karolina (Towiańska i Gutowa); ona musi z powodu zatargów z Celiną opuścić dom Mickiewicza, dom, w którym Zofia Szymanowska zastanie ją w pięć lat potem...

Kallenbach (I. c.) cytuje z epoki przed rozłamem w Kole bardzo znamienne pismo Mistrza do Ksawery (4 marca 1845). Mistrz wyrzuca jej zaniedbanie: „Ogień *ducha* twojego bez hory, bez karbów, na swawolę *ducha*, w *duchu* i ziemi puszczonej. Prawa *ducha* i ziemi podeptane. Ślub twój w *duchu* twym i w ziemi twej zgwałcony. Niewinność twa w *duchu* i w ziemi utracona. *Duch* (siódmy raz *duch* w tych kilku wierszach!!) skalany — pierwotną jasnością dla Boga i dla brata twego nie zabłysnął, w ofierze od Boga wymaganej nie stanął. Naznaczona sługa Boża w Sprawie ratunku człowieka, w pętach, pod mocą złego, w zakłęciu, w Urzędzie swym do ratunku nie stanęła, cechy zwierzęce w śmierci *ducha* swego jawiła, piekło w tryumfie było”.

W dalszym ciągu listu wzywa ją, aby „medal splamiony powróciła wielkiej Pani na niebie i na ziemi”... itd.

Oto atmosfera „ducha”, w jakiej żył pod obuchem Mistrza Adam i w której nie dziw, że nie wytrzymał. I choćbyście mieli mnie ukamienować, powiem, że Mickiewicz układający swoje drobiazgowo raporty do Mistrza i pracujący nad „duchem” swojej „siódemki” nie wydaje mi się — och, na tę krótką chwilę! — nie wydaje mi się wielki...

A oto jak, podstawiając imię Ksawery zamiast trzech gwiazdek wydawcy, znajdziemy komentarz do tej relacji Mistrza w raporcie Mickiewicza z 1 kwietnia 1845:

Ksawera szczęśliwie wyszła z mątu. Jest u mnie znowu i w lepszym stanie niż kiedy. Wszakże to nastąpiło po długich walkach, z wielką z mojej strony stratą sił i uszczerbkiem zdrowia. Ja od początku czułem Ksawerę w złym stanie. Ferdynand mnie o to obwinił, poszły z tym wielkie zamieszania. Seweryn w chwili łaski i mocy rozbił więzy, których czułem ciężar na Ksawerze. Ona mi się wydała po przyjeździe w tym stanie, w jakim była żona moja przed chorobą. Dzięki Bogu, że to się skończyło.

Gdybyż to wszystko przetłumaczyć na ludzki język! Wówczas może niejedna ze spraw „ducha” stałaby się nam jaśniejsza i zyskalibyśmy inną perspektywę na ów słynny rozłam w Kole. A nie jest to rzecz błaha; jakże to wszystko zaciążyło na życiu i na twórczości Mickiewicza! To fakt, że po tych kłótwach, po tym zatargu między Ksawerą a Mistrzem — jak się zdaje po prostu o wpływ na Mickiewicza — Ksawera wróciła do domu poety, Adam pozostał przy Ksawerze, a poświęcił Mistrza. Nie chcę przez to powiedzieć, aby to było wyłączne tło zatargu w Kole, ale trzeba by być bardzo naiwnym i bardzo... uczonym, aby tego rodzaju przyczyny nawet w największych sprawach ducha ignorować.

W tym oświetleniu dość jasna stałaby się i inna okoliczność: mianowicie, że w pewnym okresie Celina Mickiewiczowa staje się bardziej prawowierną towianką od Adama<sup>13</sup>; gdy Adam odstępuje Mistrza, ona udaje się do Szwajcarii. Czy i tu nie Ksawera siedzi na dnie? Czy Celina nie czuje instynktem w Mistrzu sojusznika przeciw tej hardej „siostrze”?

Przed Celiną sam Adam udał się jeszcze do Mistrza, który polecił poecie trzydniową rekolekcję. Sprawy, które go tam pchały traktuje *Żywoł Adama Mickiewicza* mglisto. „Hetmanic dalej stało mu się niemożliwe (pisze Władysław Mickiewicz), ponieważ niektórzy bracia sami popełniali nadużycia gorzko wymawiane przez nich duchowieństwu, udawali egzaltację, nakazywali innym praktyki podobne do demonstracji dzisiejszych Salutystów; co gorsza narzucali się innym, *naruszali wolność domowego ogniska*. ...Mickiewicz miał do czynienia z osobami szczycącymi się zaufaniem Mistrza, donoszącymi, że pan Andrzej ich popiera... Obiecana swoboda zamieniała się w upokarzające jarzmo”...

Towiański (wciąż relacja Władysława Mickiewicza) łagodzi Adama: „Zostaw, bracie, powiada mu, siostra Anna (Gutowa) może być bardzo grzeszna, inni także, ale ty, bracie, cudzymi grzechami się nie zajmuj, bo masz swoje”...

O wszystkim tym mówi Władysław Mickiewicz, zwykle tak dokładny, niesłuchanie ogólnikowo; ale czujemy tu splot spraw kobiecych, można powiedzieć babskich, które jątrzą Koło. W rezultacie Adam zrywa z Towiańskim. Mimo że — nie chcąc sobie zadać kłamu — wyznaje dalej Mistrza, związki stają się bardzo luźne. Towiański ubolewa, że brat Adam „w dawną noc odpadł”, próbuje go wstrząsnąć szalbierycznym objawieniem Karoliny<sup>14</sup> — ale na próżno. Potem — jak rzekliśmy — pielgrzymuje do Szwajcarii pani Celina, próbuje wpłynąć na Adama i (pisze syn) „przez rok przeszło zasępienie było nieco pożyacie domowe”.

Ileż tu zagadek, ileż tu nierozświetlonych jeszcze mroków! Może te rozważania staną się pobudką do zbadania na nowo tej epoki życia Adama; może znajdą się jeszcze po archiwach dokumenty zdolne ją rozjaśnić. A może znów odpowiedzą mi z lekceważeniem: „plotki, anegdoty”, niech wszystko stoi „po dawnemu, jak posąg z brązu”? To, com zestawiał dotąd, jest zbyt szczupłe, aby się można było pokusić na odtworzenie tego okresu wewnętrznego Adama, nieszczęśliwego poety i tragicznego człowieka, szamocącego się w ciemnym zaułku nieokreślonej „Sprawy”, żyjącego pomiędzy żoną, której umysł — zdaniem Zofii Szymanowskiej — pozostał błędny od pamiętnej choroby, a Ksawerą, która przebywała stany przypominające Adamowi „stan Celiny przed chorobą”... Jaka była jej rola w życiu poety? — wydaje się pewne, że duża; ale jaka — to pozostaje dotąd

<sup>13</sup>w pewnym okresie Celina Mickiewiczowa staje się bardziej prawowierną towianką od Adama — Bardzo intrygującą jest „ustna” tradycja naukowa, oparta na korespondencji Celiny Mickiewiczowej z Towiańskim... Nie śmiem jej powtórzyć... [przypis autorski]

<sup>14</sup>wstrząsnąć szalbierycznym objawieniem Karoliny — Karolinie Towiańskiej miała się objawić matka Adama, która przepowiedziała, że do trzech dni poeta umrze. Mickiewicz mężnie czekał spełnienia się proroctwa. Tragikomiczna scena! [przypis autorski]

zupełną tajemnicą. Część tej tajemnicy zagrzebano z pamiętnikiem Zofii Szymanowskiej. Fakt, że potrafiono nam zataić tę kobietę aż do nazwiska, dowodzi, jakie musiano w tym celu spustoszenie uczynić w dokumentach.

Może, powtarzam, uda się to i owo odbudować; na razie poprzestanę na zestawieniu tego, co o Ksawerze Deybel napotkałem. W *Żywocie* pisanym przez syna nie ma o niej mowy, ale nazwisko Deibel znajduje się w tomie pierwszym (I, 156), gdzie mówi o śledztwie Tomasza Zana w Wilnie. Zeznał tam ktoś „między innymi, że dając lekcje historii w pensjonacie panien Deibel<sup>15</sup>, uczniom wpajał myśli patriotyczne, co się pannom Deibel nie podobało”.

W jakim stosunku były te panny Deibel (piszą to nazwisko najrozmaiciej) do Ksawery — nie wiem. Tyle zdaje się pewne, że pochodziła z Wilna. W relacji Semenienki o towianizmie (sprawozdanie z broszury Ks. Semenienki, „Przegląd Poznański” 1858) czytamy, że „w tych czasach pokazał się w Paryżu główny agent Towiańskiego Gutt... Przybyli także do Paryża malarz Wańkowicz oraz panna Deybel”.

Ponieważ Gutt i Wańkowicz byli już w Wilnie najwierniejszymi uczniami Mistrza, możemy wnosić, że i panna Deybel należała tam do jego małej gminy i że zyskawszy w Paryżu grunt pod nogami, Mistrz ściągnął za sobą swoich zwolenników. Tuż po jej przyjeździe, w roku 1841, w kilka miesięcy po przyjęciu przez Mickiewicza nauki Mistrza, widzimy Ksawerę Deybel w domu Mickiewiczów. Z raportu Mickiewicza do Mistrza dowiadujemy się, że opuszcza ten dom (czasowo) w r. 1845 z powodu nieporozumień domowych.

Znajdujemy dalej relację o Ksawerze Deybel w dziele *Kilka aktów i dokumentów odnoszących się do działalności Andrzeja Towiańskiego* (Rzym 1898). Jest ona matką chrześną Gerszona Rama (w połowie r. 1842); a okoliczności, w jakich się to dokonało, są interesujące i dowodzą, że Ksawera Deybel głęboko była przeniknięta duchem Sprawy. Oto notatka spisana z opowiadania Rama i Romualda Januszkiewicza:

Ram, rodem z Wilna, syn zamożnego w mieście tym kupca, wyparty z kraju równie gwałtowną potrzebą Ducha własnego, jako też dziwnym zbiegiem okoliczności zewnętrznych, przybył do Paryża na krótko przed wyjazdem Andrzeja Towiańskiego do Belgii i poznawszy w Nim z objawienia „Bramę zbawienia dla Izraela”, przyjął Sprawę bożą. — W kilka miesięcy potem, złożony nagle śmiertelną chorobą, poczuł on gwałtowną potrzebę chrztu św. W tej samej chwili Romuald Januszkiewicz, który wcale nic o tym nie wiedział, zaszedłszy do kościoła Notre Dame des Victoires, otrzymuje tam w modlitwie przed wizerunkiem cudownej Matki Boskiej silne poczucie, aby pośpieszył co najprędzej do Rama dla udzielenia jemu chrztu św. Objawionym mu przy tym było, aby kupił w tym celu krzyż u kobiety w przedsiönku tegoż kościoła sprzedającej nabożne przedmioty i że matkę chrześną mającą towarzyszyć jemu w spełnieniu tej św. powinności spotka w drodze idąc do Rama. Jakoż zaledwie wybiegł on z kościoła i zaopatrzył się w krzyż i święconą wodę, spotyka na Place des Victoires Ksawerę Deybel (późniejszą małżonkę Edmunda Mainard), która ulegając silnemu budzeniu wewnętrznemu, przybyła tam, nie wiedząc po co. Ogień wiary i czci najgłębszej obudzony w tej słudze Sprawy dla objawienia otrzymanego przez Romualda, zaświadczył im obojgu, że ona to jest matką chrześną naznaczoną dla Rama; pośpieszają więc oboje, zastają Rama już prawie konającego, ale palącego się żądzą otrzymania chrztu świętego.

Widzimy z tej relacji, że ta „nauczycielka dzieci Mickiewicza” była od samego początku głęboko wrosnięta w sprawy towianizmu; że była może jedną z czynnych agentek Mistrza. Pozwolę sobie tu przytoczyć plotkę, jaką z dawna słyszałem, bo uważam, że i plotki mają swoje znaczenie, byle je brać tak, jak należy. Mianowicie istnieje legenda, że Towiański, chcąc tym pewniej pozyskać Mickiewicza, „nasłał na niego kobietę”. Umieszczenie w domu Mickiewicza Ksawery, kobiety o niezwykłym uroku, a żarliwej towianki usprawiedliwiłoby powstanie tej legendy. Towianizm miał zresztą opinię, że gdy

<sup>15</sup>w pensjonacie panien Deibel — O tym pensjonacie pojawiły się po moich artykułach szczegółowsze relacje. [przypis autorski]

chodziło o pozyskanie dla Sprawy, nie cofa się przed żadnym środkiem. „Gdziekolwiek mu idzie o dopięcie tegoż celu (sprawy), rozwolnione ma sumienie, gotów wszelkiego środka użyć” — pisze Skrzynecki. Kallenbach (i. c.), streszczając list Krasieńskiego do Delfiny Potockiej, podaje:

W tym czasie (1848) interesuje się Krasieński nawet blahemi plotkami z Litwy, o tym, jak to zwolenniczka towianizmu, panna Deybel, z porady Mickiewicza starała się w Paryżu wszystkimi pokusami pozyskać dla Sprawy młodego Dymkę.

Zewsząd tedy wycierają ku nam „niebezpieczne” oczy Ksawery Deybel...

Jeszcze jeden ślad: znalazłem w rękopisach Biblioteki Rapperswilskiej pismo wystosowane do Seweryna Goszczyńskiego przez prawowiernych braci po rozłamie w Kole: proszą, aby udzielił tego pisma innym braciom, a w liczbie tych siedemnastu braci figuruje „Ks. Deybel”. To świadczyłoby, że Ksawera należała niejako do „sztabu” i miała inne stanowisko niż zwykłe siostry. (Podobnie pisze Mistrz do Towiańskiej i Gutowej, najwyżej stojących w hierarchii: „Bracia moi Karolino i Anno”). Oto ostatni ustęp pisma:

Wzywam cię, bracie Sewerynie, abyś pismo to zakomunikował braciom (tu wyliczenie 16 braci i Ksawery), a razem oświadczył im, żeśmy gotowi w każdej chwili do bliższego z wami zetknięcia się, bylebyście tylko z waszej strony w miłości swej dla Boga, Mistrza, Ojczyzny i Braci ułatwienie w tej mierze okazali...

(24 maja 1846, Paryż)

(Zwracam uwagę na porządek hierarchii: Bóg, Mistrz i Ojczyzna...)

Pod petycją do ministra w sprawie uwięzienia Towiańskiego (1842) widnieją wśród 45 podpisów nazwiska dwóch kobiet: Celiny Mickiewiczowej i Ksawery Deybell. Adres Ksawery (rue d'Amsterdam 1) jest adresem domu Mickiewiczów.

W liście Krasieńskiego do Augusta Cieszkowskiego z 23 stycznia 1846 znajdujemy wzmiankę o zatargach w towiańszczyźnie, o Pilchowskim i o nadużyciach, jakich się dopuścił:

Pilchowski-Biberstein, pierwszy chłop, co miał iść daleko na wędrowną, pozostał na miejscu. Tylko 5 000 franków otrzymanych od Chodźki i innych na pielgrzymstwo roztrwonił na wino szampańskie. Za to od Mistrza zdegradowany — panna Deybel też zdegradowana.

Przyznaję, że mnie ta wzmianka uderzyła; czemu Krasieński łączy te dwa fakty i te dwa nazwiska: czyżby Ksawera też umaczała usteczka w tym szampańskim? Bo ów *Seweryn*, którego imię tak często powtarza się w owej epoce w raportach Mickiewicza do Mistrza i który taką rolę odgrywa w zamęcie spowodowanym czwórką Adam — Seweryn — Ferdynand — Ksawera, to nie — jak podaje Kallenbach i jak ja za nim w pierwszej chwili powtórzyłem — Goszczyński, ale Pilchowski, ów narwany i mętny Pilchowski, który najpierw zapisał się formalnym aktem w poddaństwo Mistrzowi, później, jak się okazuje, przepił pieniądze, za które miał jechać, aby doręczyć słynny list carowi Mikołajowi, a w końcu chciał przejść na schizmę! Coraz bardziej tajemnicze stają się „grzechy” Ksawery...

Nawiasem mówiąc, gdy chodzi o ploteczki, nie ma jak Krasieński. Oczekujemy też z niecierpliwością pełnego wydania listów jego do Delfiny Potockiej, gdzie znajdziemy może klucz do niejednej zagadki. Ale idźmy dalej.

W *Aktach Sprawy* nr 79, przepisanych przez Seweryna Goszczyńskiego (Biblioteka Rapperswilska), znalazłem odpis następującego dokumentu:

Na pulariesie siostry Ksawery.

Po manowcach trzechletnich na zbieranie co Łaska podarować raczy na nowej drodze dziś otwierającej się siostrze Ksawerze ofiaruje Brat A. T.

Mistrz miał obyczaj rozdawać takie pulariesiki z dedykacjami siostronom.

Wreszcie w *Dzienniku Zofii Komierowskiej* („Bluszcz” 1889), którego wiarygodność silnie zresztą atakuje Władysław Mickiewicz, znajdujemy opis jej bytności w domu Mickiewiczów. Píše tam: „Nie grając podobno na żadnym instrumencie, jest Mickiewicz tak muzykalnym, że sam muzykę do swych wierszy podkłada. Jedną z takich arii *Słowiczku mój* śpiewała dziś panna Daibel, a ja jej akompaniowałam”. Relacja ta ma swoje znaczenie bodaj jako data (1853).

Jeszcze jedna rzecz dość ważna, jak sądzę: pochodzenie Ksawery. Czy była Żydówką? Towiański nazywa ją „księżniczką izraelską”; Lenartowicz, dobrze zapewne poinformowany w tej mierze przez żonę, wymienia ją wręcz w nawiasie, gdy mówi w liście do Teodory Moszczuńskiej, że „Adam grzął w nieprawościach z Żydówkami”. Czy była przechrzczona, skoro była matką chrzestną Rama? Jaką rolę odgrywała, gdy Mickiewicz zerwał z mistrzową zasadą bezczynu, „niesprzeciwiania się” i pracy wyłącznie duchowej nad sobą, nie wiemy: tyle wiemy, że w r. 1848 widzimy ją (relacja Krasieńskiego) czynnie pracującą z ramienia Mickiewicza. Ksawera z polecenia Adama zyskuje adeptów dla sprawy, gdy Adam „kobietom Włoszkom o emancypacji gada i zawraca im mózgi” (Krasieński do Cieszkowskiego 23 czerwca 1848). Jakie mogły być stosunki Ksawery, jaki udział w tym, co Krasieński nazywa słowami Wrońskiego „*la bande infernale*”, wszystko to jest tajemnicą, można snuć do woli na tym tle romans fantastyczny, dopóki badania nie rozjaśnią mroków. Zważywszy tak wyraźne „judaizowanie” towianizmu — tak dalece, że Krasieński mówi o nim, że to judaizm, — byłoby ciekawe, czy ta „księżniczka izraelska, do wielkich przeznaczeń gotowana” stała już u samej kolebki towianizmu, ile wpłynęła na jego kształtowanie? O ile dalej ta Egeria Sprawy miała wpływ na owo „judaizowanie” Mickiewicza, tak wyraźne w jego działalności? Chodźko np. namawiając Adama, aby przez teatr starał się działać na Francuzów, podnosi, że „największą aktorką francuską jest Izraelitka”. Pocziwy Bohdan Zaleski pisze do Goszczyńskiego w lipcu 1842, przeciwstawiając mesjanizm własny, narodowy, plemienny, ideom Mickiewicza: „Mesjanizm Mickiewicza jest inszy; po prostu jest to apoteoza judaizmu, nauka arcytwarda, mianowicie dla Słowian tak serdecznie chrześcijańskich... Wyższość nad sobą duchową Żydów nieprędko jeszcze uznają Polacy i w ogólności wszyscy Słowianie”. Rzecz prosta, że później, w miarę odlewania „posągu z brązu”, całe to judaizowanie starannie zasłanianie. Dziś byłoby dla nas interesujące wiedzieć, w jakim stopniu mogła się na tych rzeczach odciąsnąć indywidualność „księżniczki izraelskiej”. Czy dowiemy się kiedy? Ileż tu ciekawych, doniosłych kwestii! Czy nie miałem racji twierdząc, że ze wszystkich naszych poetów Mickiewicz jest najbardziej nieznanym? To jest istny dziewiczy las! Sam przekonałem się, jak zyskawszy światelko w kilku stronicach pamiętnika Zofii Szymanowskiej, zupełnie innymi oczami czytałem całe ustępy z dzieła Władysława Mickiewicza, jak zupełnie innego tonu i znaczenia nabrały dla mnie pewne listy Adama i akty towianizmu. A wszak te wiadomości, które pozwoiliem sobie zestawić tutaj, to tak niewiele! Przypuszczam, że, skoro uwaga zwróci się w tym kierunku, uda się — mimo spustoszeń, jakie niewątpliwie poczyniono — zdobyć znacznie więcej. Niech ten mój artykułek stanie się niejako literackim „listem gończym”. Zginęła Ksawera Deybel! Co kto o niej wie? Niech przemówią ci, co wiedzą, a którzy sądzą — najfalszywiej — że obłudne tajenie prawdy niezbędne jest do kultu naszego największego poety. Wówczas zdoła może „nauka” rozjaśnić ten ciemny zakamarek duchowego życia Mickiewicza, w który dziś nie ośmieliłbym się wdzierać.

#### LITERACKI LIST GOŃCZY

Natknąwszy się w studiach moich nad Mickiewiczem na istnienie kobiety grającej przez szereg lat w życiu poety znaczną rolę, a najzupełniej przez jego dziejopisów przemilczanej; zestawivszy naprędce wszystko, co mogłem w tym przedmiocie znaleźć po archiwach, książkach i dokumentach, rozpisalem literacki „list gończy”: co kto wie o Ksawerze Deybel, niechaj powie. Uczynilem to w przekonaniu, że niepodobna, aby istnienie jej tak dokładnie zostało pogrzebane; tylko że ci, co mają jakieś wiadomości, kryli je, czy dlatego że były zbyt ułamkowe, czy że obowiązujący do niedawna — do dziś jeszcze — kurs „brązowniczy” oniesmielał do ujawnienia prawdy nie dosyć... wybrązowanej. Bo istnieją u nas dwie wiedze, dwie nauki: jedna oficjalna, druga, którą panowie uczeni zwierzają sobie na ucho. Ale to znów inny temat; wróć do niego jeszcze.



Niechaj nikt nie powiada, że to jest niedyskretne szperanie w zakamarkach życia poety. Szpera się w nich dosyć, tylko przeważnie dość tępo i kłamliwie. A przy tym to nie jest rzecz błaha ani „prywatna”. Wszak tych dziesięć czy piętnaście lat, o które chodzi, to u Mickiewicza najbardziej tajemniczy, najtragiczniejszy, najmniej rozjaśniony okres. I zważmy rolę tej zagadkowej kobiety. To nie jest jakaś tam miłostka: to najczynniejsza agentka towianizmu; pełno jej w listach Mickiewicza z epoki rozłamu w Kole; czy to nie wystarcza, aby obudzić nasze zainteresowanie? aby uprawnić — gdyby potrzeba było jeszcze tego uprawnienia — do badań w tym kierunku, badań zaniedbanych najzupełniej — przypadkiem czy z umysłu — przez legiony naszych mickiewiczologów? Mamy uczone rozprawy o gatunkach grzybów w *Panu Tadeuszu*, o astronomii Wojskiego, o „wpływach” wszystkich utworów świata na każdą literę Mickiewicza; o tej sprawie głębokie milczenie. A wszak ona wprowadza nas poniekąd w serce towianizmu!

Jak można było przewidzieć, ta moja akcja spowodowała atak. To znaczy... ogół specjalistów dotąd zachował głuche milczenie. Może ta kwestia wydaje się im nie dość ważna, może nie dość dojrzała? Nie wiem. Na razie wyskoczył jeden uczonek, ale nie wiem, czy nauka przyznałaby się do jego troszkę filipo-konopiastego wypadu.

Kiedy robiłem uwagę, że należałoby znaleźć życiową podszewkę różnych ciemnych punktów tej sprawy<sup>16</sup>, powiadał uczonek: „Boy nie rozumie języka towianizmu”.

Kiedy przedstawiłem nieznaną pamiętnik — a raczej jego ocalały fragment — Zofii Szymanowskiej, siostry Celiny Mickiewiczowej, osoby, która spędziła kilka lat w domu poety, powiadał uczonek: „Ona nie orientowała się w niczym” (nawet w dziecku...).

Kiedy zestawiałem świadectwa mogące rozjaśnić rolę Ksawery Deybel w życiu Mickiewicza, odpowiadał uczonek ubolewaniem, że ze stosunku tego nie zostało „materiału z pierwszej ręki”, a radością, że zaginęły o nim „plotki”... Dlaczego pamiętnik Zofii Szymanowskiej, który byłby co się zowie „materiałem z pierwszej ręki”, obwołano z góry, na nieznane, „plotką”, to już jest tajemnica „metod naukowych”, z którymi próbowałem dyskutować, ale na które w końcu musiałem po prostu wzruszyć ramionami. Wnet zresztą ściągnięto sprawę na klasyczny teren demagogiczno-denuncjatorski, a bezmyślne nakrzykiwania pewnej grupy dzienników pozwalają wnosić, że z Ksawery Deybel zdołano już uczynić kwestię „polityczną”. Bóg z wami, głuptasy.

Ale równocześnie mój „list gończy” sprowadził relacje, które przekonały mnie, że idąc po nitce do kłębka, nie bylibyśmy może tak zupełnie pozbawieni „materiału z pierwszej ręki”, jak się naszemu niedouczonemu uczonkowi zdaje. Do redaktora „Wiadomości Literackich” nadszedł następujący list:

Odpowiadając na końcowe wezwanie artykułu p. Boya-Żeleńskiego pt. *Ksawera Deybel* („Wiadomości Literackie” nr. 285) pozwałam sobie donieść.

W rękopiśmiennych zapiskach pamiętnikowych Seweryna Goszczyńskiego, przechowywanych do niedawna w Muzeum Rapperswilskim i skopionych przeze mnie w r. 1913 znalazłem następujące szczegóły dotyczące Adama Mickiewicza i Ksawery Deybel.

1) Pod datą 20 czerwca 1847 r. zanotował Goszczyński w swym pamiętniku: „Adam od kilku dni wyjechał na wieś — ma być także słaby. Nie wiedzą, dokąd wyjechał — mnie się zdaje, że jest w Nanterre, bo pozawczoraj widziałem tam Ksawerę Deybell, która, jak mówią, w Nanterre odbywa pológ”.

Dodam nawiasowo, że Zygmunt Wasilewski, który „dla użytku biografów Mickiewicza” ogłosił drukiem wzmianki o twórcy *Dziadów*, zawarte w pamiętnikach Goszczyńskiego (por. „Pamiętnik Literacki” t. IX, przedruk w książkach Wasilewskiego *Śladami Mickiewicza i Seweryn Goszczyński*) — powyższej zapiski nie cytuję.

2) W „notatach z życia” (teka rękop. V) zapisał Goszczyński pod r. 1858 (na karcie 42), że „Ksawera Menard żądała od Wł. Mickiewicza 2 000 fr. »na wychowanie dziecka twojego ojca«” (Jak wiadomo, panna Deybell wyszła za mąż za Edmunda Mainard).

Mieczysław Świerż (Katowice)

<sup>16</sup>robiłem uwagę (...) sprawy — Patrz *Przypisy* [dalej w tej samej publikacji; red. WL]. [przypis autorski]

Zajrzałem skwapliwie do rękopisów Goszczyńskiego w Bibliotece Rapperswilskiej, nad którymi właśnie ślęczałem. Pierwszy zapisek nie od razu znalazłem z powodu oczywistej pomyłki w dacie. Goszczyński w roku 1847 bawił od 11 czerwca do listopada w Szwajcarii u Mistrza i nie mógł być 18. w Nanterre. Jakoż znalazłem tę jego relację w podanym przez sz. informatora brzmieniu, ale pod datą: 20 czerwca 1849.

Natomiast co się tyczy drugiego punktu, znalazłem na wskazanej 42 karcie notat Goszczyńskiego nawet obszerniejszą zapiskę jego pióra. Oto ona:

21 lipiec 1858

Wczoraj słyszałem od Łęckiego, że Ksawera (Deibel, a dziś Menardowa) pisała do Wł. Mickiewicza w tej treści: „Mąż mój jest bez miejsca, jesteśmy w niedostatku, mamy troje dzieci, żądam od ciebie 2000 fr. na wychowanie dziecka twojego Ojca”. Miała ona to dziecię w r. 1847; rozpuszczano, że ojcem jego był Mickiewicz; to pewna, że jakiś czas chowało się w domu Mickiewicza. Bądź co bądź, bezczelność tej niegdyś naszej Siostry jest rzadka. Nie darmo czułem do niej stały wstręt w najlepszych jej chwilach, kiedy dla niektórych uchodziła niemal za świętą.

W tych samych rękopiśmiennych notatkach Goszczyńskiego znalazłem jeszcze parę zapisków dotyczących Ksawery:

14 października 1842

„Schadzka bratnia” u brata Adama: obecne z kobiet Adamowa i Deybel.

22 lipca 1843

Służba z dwoma siostrami (dzieło Miłosierdzia), odbyły ją siostra Adamowa i Ksawera i brat Zan.

21 sierpnia 1843

Siostra Deybel czytała mi list od Berarda (adwokata). Uwiadamia ją, że tworzy Siódemkę świętą z kobiet i wzywa ją, aby chciała należeć do siódemki. W całym liście nic duchowego — dążenie do obudzenia miłości własnej kobiecej. Czułem, że Siostra Deybel może mu odpisać z odmową, jako już znająca w naszym kole wszystko, co człowiek pracujący w Sprawie boskiej mieć może. Resztę zostawiłem jej własnej pracy.

23 sierpnia 1843

Miałem długą i ważną rozmowę z siostrą Mickiewiczową. Z jej strony był rodzaj spowiedzi. Wyznała, że dopiero po usłyszeniu ostatniego pisma Mistrza uczuła i przyjęła Sprawę, i jak dotąd nie miała odwagi i siły mówić w Sprawie: jak dotąd nie знаła tonu, który w domu jako gospodyni domu trzymać winna. Nie tała dysharmonii, jaka była dotąd między nią a siostrą Deybel, której duchową nad sobą wyższość wyznaje. W ostatnich czasach obie tym zawiniły, że nie odbyły pracy przepisanej przez siostrę Annę. W całej rozmowie czułem wielką pokorę i silne postanowienie nad osiągnięciem zupełnej czystości duchowej. Dla umocnienia jej powiedziałem, że mi w tym czucie Bóg podał...

16 kwietnia 1845

Mistrz rozwiązał brata Adama ze wszystkich win, które lub on sam, lub inni mu zarzucali; wiele win nie znalazł winami; za to wykrył mu takie, do których ani się poczuwał w swoim sumieniu. Bo wiedza sumienia jest ograniczona i dlatego wiele złego może mu być zakrytym; postrzeże je dopiero wtedy, kiedy targnięcie ducha podniesie sumienie na wyższy szczebel. Brat Adam zobaczył swoje złe tajemne, kiedy Bóg mu dopomógł drgnąć wyższym drgnięciem ducha. Z jednego tylko grzechu powinien zrobić Kołu restytucję, to jest z grzechu względem Siostry Ksawery. A ten grzech cały jest, że brat Adam nie poczuł stanu jej ducha błogosławionego, w jakim przybywała od Mistrza. Powinien był to widzieć, powinien to odgadnąć, nie widząc

nawet Siostry Ksawery. „Powiedziałem wam (słowa Mistrza), że nieraz dam wam rozkaz we dwu słowach, a wy powinniście z nich dojść, co macie zrobić. Jak wam daleko do tego, kiedy ty (Adam) nie mogłeś poczuć ducha siostry przybywającej ode mnie”. Mistrz nie wchodził nawet w szczegóły tej sprawy, w drobniejsze przewinienia; wszystkie były tylko następstwem tego, że brat Adam Siostrę przybywającą od Mistrza powitał po ziemsku, tym sposobem zniżył ją i wprowadził w ton ziemski, skąd poszły wszystkie potem grzechy.

Bratu Sewerynowi nie był pokazany list Mistrza dotyczący się siostry Ksawery; bo brat Adam, nie mogąc zrozumieć przypisku, nie chciał dawać bratu rzeczy niezrozumiałej przez siebie.

Co się tyczy pisma dla siostry Ksawery, Mistrz nie nastawał już w jednym z późniejszych listów na urzędowe jego ogłoszenie braciom.

Mistrz nie znalazł żadnego brata gotowym, nie wyłączając nawet brata Adama...

Oto co można z łatwością znaleźć w szacownych, a tak zdumiewająco mało dotąd wyzyskanych rękopisach Biblioteki Rapperswilskiej. Odsłania się nam rąbek życiowych spraw *Koła*: bo przecież ci ludzie żyli, żyli i to co dzień... I to jest dopiero pełny towianizm: splot rzeczy ważnych, które zresztą dzieją się najczęściej nie z natchnienia Mistrza, i drobiazgow, w których lubi on widzieć rzeczy najważniejsze.

Oto macie, jeżeli chcecie, inną relację Goszczyńskiego, inną próbkę doniosłych Spraw, jakie zaprzętały Mistrza:

15 września 1847

Dzień straszny: ogromny atak złego na braci przez Marię i Ernesta.

Około 8-mej rano Służba Mistrza z nimi: oboje wygnani przez Mistrza; ona jako szatan wcielony, on jako niewolnik jej piekła.

Około 9-ej rano Amelia podała mu rękę w rozmowie. Mistrz nadszedł na to i zgromił ją w gniewie, w jakim go jeszcze nigdy nie widziałem. „Jak to! podałaś rękę braterską niewolnikowi piekła? Ty chcesz zbawić Polskę, a łączysz się z Piekłem? Kiedy mu dałaś rękę swoją, to ja ci mojej nie podam. Jesteś nikczemna. Precz! Idź natychmiast do kościoła i przebłagaj Boga”.

Cały ten czas do wyjazdu Mistrz był nadzwyczaj groźny. Wyjeżdżał po 10 rano. Siedział w powozie, kiedym go żegnał i to mi powiedział:

„Powiedz Ernestowi, że Maria nie wyjdzie z piekła, dopóki on jest jej niewolnikiem. Ona nie tęskni do nieba, bo mając niewolnika, ma niebo w swoim piekle. Jego duch, nie jego ciało, jest w niewoli: jako człowiek może ją bić, ona pozwoli na to, byle tylko ducha w niewoli zatrzymać. Ernest jest największą przeszkodą zbawienia dla niej”.

Tak pisze z całym przejęciem o „groźnym” Mistrzu nieustraszony zdobywca Belwederu, Seweryn Goszczyński! To jest towianizm na co dzień. W tę atmosferę sili się Mistrz wtłoczyć Adama, wmówiwszy weni, że wobec tych Spraw dawniejsze jego zatrudnienia pisarskie były niegodnym padłem „próżności”.

I „święta siódemka” kobiet (na której „świętość” jakże sceptycznie patrzy nieposzlakowany Goszczyński), i spowiedź Celiny, i reprimenda dana Adamowi, to wszystko — aż do żądania alimentów, które się zacnemu Goszczyńskiemu wydaje tak bezczelne — to są równie składowe części towianizmu, jak pismo do cara Mikołaja lub podróż Mistrza do Rzymu. I mam poszlaki, że jeżeli Koło się wykoleiło, to co najmniej tyleż z powodu tych małych spraw, ile z powodu wielkich. Tymczasem co czynią nasi badacze, lub, mówiąc ściślej, nasi brązownicy? Wybierają sobie z mnóstwa dokumentów to, co im się wydaje odpowiedniejsze, „brązowsze”; ignorują tendencyjnie resztę i tym samym dają najfałszywszy obraz towianizmu. A te wszystkie akta leżą wszak od dawna w publicznej bibliotece.

Jeszcze pozwolę sobie z notat Goszczyńskiego przytoczyć parę szczegółów dotyczących Adama Mickiewicza. W czasie rozmów z Goszczyńskim, skrzętnie przez tegoż notowanych (październik 1847), powiadał Mistrz o Adamie:

Brat Adam nikomu nie dał swego braterstwa. Niczym go nie skusisz, odepchnie tron, pieniądze, wszystkie wielkości ziemskie, ale go weźmie niewiasta magnetyzmem.

(W języku Towiańskiego „magnetyzm” oznacza pokusę fizyczną). Po czym Mistrz dodał:

Jedno tylko przeszkadza mu przybyć tutaj: siostra Anna — nie śmie jej w oczy spojrzeć. Dlatego powiada mi: będę ci służył, tylko poślij do piekła Fe...wą. (Anna Ferdynandowa Guttowa)

W tej samej rozmowie mistrz rzekł:

Kobietę niczym nie oszukasz. Poczuję w tobie najmniejszy brak charakteru i już cię ma za nic. Nikt tak nie gardzi Adamem jak Celina (Mickiewiczowa), bo go zna lepiej niż kto inny. Używa go tylko za narzędzie swojej dumy, swego górowania.

Wreszcie Mistrz rzucił — jakby dla konkluzji — tę sentencję:

Trzeba szukać mądrości w naszych przysłowiacz, tam ją znajdziemy, szukajmy tylko, jak trzeba szukać. Jest przysłowie, które powiada: „Gdzie diabeł nie może, tam pośle babę”. Wielka to prawda.

Bądź co bądź, mimo klątw rzucanych na Ksawerę, stosunki jej z Mistrzem nie urwały się zupełnie. 30 maja r. 1848 czytamy w zapiskach Goszczyńskiego, że Mistrz przybył do Paryża i przyjmował braci pojedynczo: ogółem przyjął tego dnia dziewięciu braci i „pracował z nimi od 12 do 9 bez przerwy”. W liczbie tych dziewięciu Ksawera była przyjęta w ciągu dnia dwa razy.

Już tylko jedną notę przepiszę z tych arcyciekawych zapisków Goszczyńskiego, które pozwalają niejako dzień po dniu oglądać kulisy towianizmu — w zakresie, który naiwne i czyste spojrzenie tego zbyt świętego człowieka pozwala mu ogarnąć:

21 października 1849

Święte konwulsje w Kole. Falszywe prace braci.

Zdaje się, że już to, co pokazałem tutaj, dostatecznie przekona czytelnika, iż aby wniknąć w istotę towianizmu, nie wystarczy zdawkowy „pietyzm”...

Na szczęście są jeszcze w Polsce ludzie, którzy umieją patrzeć na świat otwartymi oczami. Pod tym względem przykład żywości zainteresowań i młodości spojrzenia daje Litwin, Czesław Jankowski, niepodejrzany chyba o chęć „bezczeszczenia” Mickiewicza! Podejmuje on w felietonie wileńskiego „Słowa” (*Po zatartych śladach*) mój apel. Stwierdza wraz ze mną, że

w oficjalnej biografii Mickiewicza panuje mrok, mrok, mrok... bynajmniej nienaturalny, ale sztucznie zaaranżowany *ad usum Delphini*, jawnie i oczywiście dlatego, aby pozostały niewyjaśnione i niezgłębione „na wieki wieczne” niektóre strony i szczegóły tej istnej zmyry zwanej popularnie i ogólnikowo towianizmem, co zaciążyła tak fatalnie na całym sporym okresie życia i działalności Adama Mickiewicza...

Zaczem wydaje Czesław Jankowski nowy „list gończy” od siebie do wilnian. Co kto wie o Ksawerze Deybel? I mówi:

Co kto o niej wie? pyta Boy-Żeleński, zwracając się do wszystkich, którzy nie podzielają opinii, że obłudne tajenie prawdy jest rzekomo niezbędne dla kultu naszego największego poety. Co kto o niej wie, powtarzam i ja, wsłuchując się w rezonans o wiele ciałniejszego widnokregu, ale nie byle jakiego, bo naszego Wilna.

I wzywa po kolei, po imieniu i nazwisku, „świadomych” wilnian:

Odezwił się, najszanowniejszy panie Lucjanie Uziębło! Może miałbyś cokolwiek w tej materii nam do powiedzenia, skrzętny zbieracz wszelkich wileńskich pamiątek, osobliwości, druków etc., panie Bronisławie Umiasowski? A czyliż nie odezwie się pan Michał Bernsztejn albo p. Ludwik Abramowicz? A prof. Kłos, a Ferdynand Ruszczyc? Czyżby nie mieli ochoty z latarką wielkiej swojej znajomości dawnego Wilna zstąpić do ciemnego labiryntu, po którego wertepach majaczeje widmo — istne widmo! — Ksawery Deybel?

Ta inwokacja nestora wilnian ma w sobie coś pocieszającego: jeszcze nie same zakute łby i nie samych świętoszków mamy w Polsce! Ale stary Litwin zachował sobie na koniec filuterne przymrużenie oka. Oto co mówi:

Prawie chciałoby się rękę w ogień włożyć, że tak znakomity mickiewiczolog jak rektor profesor Stanisław Pigoń więcej, o wiele więcej wie, niż... chciałby powiedzieć...

Trafieś, przeczacny panie Czesławie, w sedno. Oni wszyscy wiedzą, dużo wiedzą: tylko ubrdali sobie, że aby „ocalić” wielkość Mickiewicza, jest tylko jeden sposób: taić, przeinaczając, lakierować! Otóż sądzę, że ten ich pogląd, to omyłka... Kto podziela moje zdanie?

#### SFINKS TOWIANIZMU

Pisząc tę moją serię artykułów „mickiewiczowskich”, dzielę się po prostu z czytelnikami faktami i refleksjami, jakie mi się kolejno następują; raczej stawiam pytania, niż odważam się je rozwiązywać; mam uczucie, że po prostu razem się zastanawiamy, dopuszczamy wątpliwości, konfrontujemy dokumenty, szukamy klucza do jednej z najbardziej drażniących zagadek, jakie kiedykolwiek stawiało życie i historia literatury. A tym, co nas w tej zagadce przykuwa, jest nie tyle sam towianizm, ile jego wpływ na największych naszych poetów, przede wszystkim na Mickiewicza, który udziałem swoim po prostu go stworzył. Powiedzmy szczerze: gdyby się Towiańskiemu nie udało zdobyć i opanować Mickiewicza, czy by się nasi historycy literatury głowili dzisiaj nad orędziami Mistrza, czyby dociekali sensu każdego słowa *Biesiady*? Ale wszystko, co może się przyczynić do rozjaśnienia tajemnicy tych kilku lat życia Mickiewicza, musi nas pasjonować.

Kiedy jednak stykam się z naszą nową literaturą tyzącą towianizmu, mam uczucie, że raczej oddalamy się, niż zbliżamy do celu. Nie umiem podzielić entuzjazmu, jaki mieści się w tym zdaniu jednego z uczonych:

Badania towianizmu wyszły już ze stanu przebijania się przez drożyny wiejskie, grząskie, kiedy to koła z trudem obracały się, oblepione błotem lepkich plotek, insynuacyj, podejrzeń. Zdaje się, że wydostaliśmy się na szosę, budowaną z materiałów trwałych, obrobionych naukowo.

Zapewne: jeżeli się oderwie tę „Sprawę” od życia i postawi ją jedynie na gruncie teozoficznych formuł; jeżeli się przyjmie za świadectwo życia Towiańskiego jedynie to, co on mówi sam o sobie; jeżeli się pominie wszystkie współczesne relacje lub obejmie je ryczałtem wzdardliwym mianem „plotek” — wówczas istotnie można nie tylko jechać „szosą”, ale nawet bujać w powietrzu aeroplanem. Ale narażonym się jest na to, że może się ujawnić fakt, który ściągnie z tych przestworów na ziemię.

Bo jakie stanowisko zajmują historycy towianizmu wobec innych „plotek”? Bardzo proste: przemilczają je. A jednak niektóre z tych „plotek” godne są uwagi, choćby owo *Wspomnienie o Andrzejku Towiańskim* spisane przez Edwarda Wołodkę, a ogłoszone przed dwudziestu z górą laty przez prof. Mościckiego (*Biblioteka Warszawska* 1907). Autor *Wspomnienia* (będącego po prostu kilkunasturowym zapiskiem) był to b. rejent aktowy, cioteczny brat głośnego orientalisty, Józefa Sękowskiego. Towiański był bliskim sąsiadem jego matki, był jego opiekunem urzędowym; majątek Towiańskiego, Antoszwince, znajdował się niespełna o półtorej mili od majątku Wołodków. Osobista styczność Wołodki z Towiańskim była niewielka, ale „dobrze pamięta to, co od dzieciństwa ustawnie o nim słyszał jako o bliskim sąsiedzie”.

Otóż, między innymi szczegółami, autor *Wspomnienia* pisze:

W Antoszwiniću, oprócz dawnego sadu i ogrodu, Towiański założył rodzaj parku spacerowego, poprzerywał i wyźwirował; ścieżki, wpośród dzikich drzew i krzewów zasadził aleje, pourządzał altanki, kanapki darniowe, ławeczki lub też wprost duże płaskie kamienie. Wszystko to nosiło nazwy symboliczne. Z tych tylko jedna utkwiała mi w pamięci: *świątynia dumania*. Zaś świątynią *tout-court* nazywano kaplicę na niewielkim pagórku pośród parku. Prowadziło do niej siedem dróg: *Prawdy, Cnoty, Wiary* itp. Był to drewniany budynek w kształcie nieco wydłużonego czworoboku. Front, zwrócony ku domowi mieszkalnemu, ozdobiony był czterema kolumnami, również drewnianymi. Wyglądało to na grecką świątynię; krzyża jednak na owej świątyni, o ile pamiętam, nie było. Wewnątrz za całe umeblowanie służył tylko stół, przy którym powiadano, że Towiański „msze odprawiał”. Opowiadano przy tym w Wilnie, że podczas tych obrzędów stawała na owym „oltarzu” kobieta w stroju Prawdy jako święta Filomena; uważam jednak, że to była jedna z licznych podówczas plotek kursujących w Wilnie o Towiańskim, utkana, być może, na tle obchodów rewolucyjnych w Paryżu. Na czym atoli polegały owe „msze” i nabożeństwa, objaśnić nie umiem.

Towiańskiego nie zaliczano w Wilnie do umysłów wybitnych. Posiadał on jedynie zwykłą inteligencję; obdarzony był wielkim darem słowa i bujną, entuzjastyczną imaginacją. Ożenienie się jego świadczy, że mało dbał o przesady kastowe i tradycje szlachecko-obywatelskie. Pani Towiańska była mieszczańką ze spolszczonej niemieckiej rodziny Maksów. Jako nawrócona otrzymała imię Filomeny, zamiast swego dawnego Karoliny. Pamiętam dobrze, jak żartowano w Wilnie, że Towiański przezwiał tym imieniem swą żonę. Ojciec jej był siodlarzem i posiadał sklep w Wilnie przy ulicy Trockiej. Dostatni i wykształcony, dał córkom swym wychowanie staranne; siostra pani Towiańskiej była za doktorem Guttem, również spolszczałym Niemcem, a uczniem i przyjacielem p. Andrzeja.

Zasady Towiańskiego znane były powszechnie w Wilnie, uważano je za rodzaj saintsimonizmu zmodyfikowanego w myśl jasnowidzeń nowego apostoła, którego sławę głosił nade wszystko wspomniany wyżej dr Gutt. W nauce Towiańskiego za czasów wileńskich była też zasada wspólności kobiet, która podniosła krzyk przeciw nowatorom. Opowiadano na ten temat mnóstwo skandalicznych anegdotek. Osobliwie dał się im we znaki bliski sąsiad Antoszwinića, Jan Gacewicz, były kapitan wojsk polskich, przezwany kapitanem Zawieruchą, nadzwyczaj żywego i energicznego charakteru, dowcipniś, członek *Towarzystwa Szubrawców*. Bodaj czy nie on głównie przyczynił się do tego, że Towiańskiego poddano badaniu. Pamięć mnie teraz zawodzi i nie wiem, jakiego rodzaju były te badania, czy z punktu jurydycznego jako sekciarza, czy patologicznego jako psychopaty. Wprawdzie uznano Towiańskiego jako nieszkodliwego, badania te jednak zabiły sprawę towiańszczyzny w oczach Wilnian.

Co sądzić o tym fragmencie? Nie można oczywiście uważać każdego takiego świadectwa za rozstrzygające; bądź co bądź, ma ono swoją wagę, co najmniej jako wyraz współczesnej opinii. „Zasady Towiańskiego znane były powszechnie w Wilnie, zasada wspólności kobiet krzyk podniosła przeciw nowatorom” — wszystko to opowiada człowiek mający wszelkie dane, aby być bodaj o tych krążących sądach wybornie poinformowanym. Prof. Mościcki, cytując te fakty, czyni uwagę, że „szczegół ten, nader charakterystyczny, pozostaje jednak w zupełnej zgodzie z wyobrażeniami ówczesnej epoki, hołdującej zasadom saintsimonizmu i innym teoriom reformatorsko-społecznym”... Po czym dodaje: „Ciekawe światło na poglądy Towiańskiego w sprawie wolnej miłości rzuca ustęp z pamiętnika Zofii Komierowskiej” (tu cytat owego ustępu usuniętego przez cenzurę redakcyjną „Bluszczu”, co, jak wspomniałem, wystarczyło prof. Kallenbachowi, aby przejść nad nim do porządku).

Ale w ogóle monografiści Towiańskiego przeszli do porządku nad wszystkim! Poważnie się komunały o „świętości jego życia”. Prof. Pigoń (*Z epoki Mickiewicza*), cytując

literaturę o Towiańskim i głosy za i przeciw, ujmuje rzecz jedynie od tej strony: „herezja czy nie herezja”. Skarży się, że mało wiemy o Towiańskim: mówi, że pamiętnikarze współcześni „nie zwrócili po prostu na niego uwagi, a jeżeli co zapisali, to wyłącznie niemal wiadomości anegdotyczne, jowialne kawały sąsiedzkie lub — co gorsza — złośliwe plotki”. I tu można obserwować, jak straszliwy jest w naszej nauce ucisk pruderii obyczajowej. Historyk towianizmu opowie nam np. bez wahania, że ten „święty” człowiek przeczył bóstwu Jezusa Chrystusa, i to mu daruje; ale kiedy ten sam badacz znajdzie się przed relacją, że Mistrz pozwolił się puścić pani Komierowskiej, wówczas, wobec takiej potworności, staje oniemiały i... powołuje się na cenzurę „Bluszczu”. To są już dla niego rzeczy nie do wiary!

„Kawały sąsiedzkie lub — złośliwe plotki”! Co bądź by sądzić o świadectwie Wołodki, trzeba stwierdzić, że te „złośliwe plotki” utrzymują się szczególnie długo i w najrozmaitszych kołach. Wspomnienie Wołodki odnosi się do lat trzydziestych; w r. 1848 „kobiety starsze, godne ze wszech miar szacunku i wiary” przestrzegają Zofię Szymanowską przed tym, co ujrzy w Paryżu i w domu Mickiewiczów („Zobaczysz tam i usłyszysz ludzi, których idee, niby nowe i wyższe, do najniemoralniejszych czynów prowadzą”), a paroletni pobyt w domu szwagra i siostry potwierdził — w jej oczach — słuszność tych sądów. W r. 1870 pisze Lenartowicz do Kraszewskiego o „łotrostwie, jakie otaczało Adama”; wspomina „historie o towianizmie ciekawe, ale niebudujące”. Wreszcie w r. 1889 Wołyński w liście do Władysława Mickiewicza pisze wręcz o stosunkach Adama „z jakąś Litwinką, zagorzałą towianką”, a stosunki te miały być „wynikiem towianizmu, którego wyznawcy uważali wszystko za wspólną własność”. Tym tłumaczy się — wedle Wołyńskiego — dlaczego „nasze Polki niechętnie przystępowały do towianizmu”.

Zważmy list Wołyńskiego: wszak to nie jakiś anegdociarz rzuca słowa na wiatr, ale poważny człowiek, uczony, mówi to wręcz, całkiem serio, do syna poety!

Widzimy tedy, że te plotki — dziwnie zgodne w treści — powtarzają się uporczywie na przestrzeni lat sześćdziesięciu; że obiegają równie dobrze w Wilnie jak Paryżu, w Dreźnie i we Florencji; że głoszą je osoby o ile nie bezpośrednio stykające się z towianizmem, to bardzo bliskie jego tradycji. Można próbować je odeprzeć lub zwalić; ale — trzeba zająć jakieś wobec nich stanowisko. Tymczasem nasi „brązownicy” obrali najwygodniejszą drogę: licząc, że to są rzeczy dawne i zapomniane, ignorują je, nie chcą wiedzieć o nich. Nie mówię już o wspomnieniu Wołodki, które było drukowane: ale takie dokumenty jak list Wołyńskiego, jak listy Lenartowicza, leżą wszak od dziesiątków lat w publicznych bibliotekach, wszystkim dostępne, wielu z pewnością dobrze znane. I te pierwszorzędne świadectwa pomija się zupełnie; obchodzi się je starannie, aby ich nie zauważyć. A przypuszczam, że takich nietykanych papierów jest mnóstwo, o ile ich nie zdołano poniszczyć.

W stosunku nauki do Towiańskiego uderza mnie parę rzeczy. Przede wszystkim jest u nas zwyczaj brać wszystko od strony idei czy poglądów, a nie od strony ludzi. To tak jakby widzieć w „Reducie” teorie Limanowskiego, a nie „magnetyzm” Osterwy. Bierze się Towiańskiego jako oderwaną całość; komentuje się i objaśnia jego naukę. Tymczasem, jeżeli się go ujmie od strony człowieka, jasne jest, że ten człowiek, który dożył osiemdziesięciu lat, nie był ciągle jednaki, że trzydziestoletni reformator wileński nie był tym samym, co dobrotliwy staruszek szwajcarski; że i nauka jego, i życie musiały przejść różne fazy i ewolucje. Wszystko to są rzeczy do rozjaśnienia. Jeżeli, niewątpliwie, współczesnym na wiele spraw brakło perspektywy, to znów nam straszliwie brak jest faktów. Istotnie mają słuszność biografowie, że o życiu Towiańskiego wie się mało; ale zdaje mi się, że oni sami starają się pilnie, abyśmy wiedzieli jak najmniej...

Jasnemu spojrzeniu na tę sprawę przeszkadza jedno. Za Towiańskim stoi Mickiewicz; a Mickiewicz — wiadomo — to „posąg z brązu”. Towiański, nawet na dziesięć lat przed swoim zetknięciem się z Mickiewiczem, musi być „bez skazy”. Do tej konkluzji dociąga się wszystko. Stąd, postawieni w obliczu niedogodnych świadectw, odpowiadają nasi uczeni: „To niemożliwe! Napięcie religijne Towiańskiego, świętość jego, są dostatecznym odparciem takich posądzeń”. Zdaje mi się, że to jest bardzo naiwne rozumowanie. Trzeba by mieć bardzo banalne pojęcia o istocie mistycyzmu, aby nie pojmować, jak bardzo może on stapiać w sobie różne elementy. Kto patrzył z bliska na Przybyszewskiego, ten mógł śledzić, jak na przestrzeni lat, z wiekiem, „czarna magia” przechodziła u niego

w białą: jak różnokształtne cienie mógł rzucać ten szczerzy niewątpliwie płomień ducha religijnego palący się w nim całe życie. Zbożny staruszek, któregośmy znali w Warszawie, czyż zniweczył rzeczywistość jego okresu berlińskiego? Kto przed ćwierć wiekiem patrzył na działalność Wincentego Lutosławskiego w Krakowie, mógł obserwować, jak nawet ruchy „czystościowe” mogą być maskaradą erotyzmu. A wreszcie fenomen mariawityzmu, na który patrzymy współcześnie, też pozwala nieco zapuścić wzrok w tajnie nowo tworzących się wiar i ukazuje, ile i jak różnych może w nie wchodzić elementów.

Klepie się z powodu Towiańskiego o „psychologii świętości”; to samo klepało się z powodu matki Makryny Mieczysławskiej; i cóż się okazało? Wystarczy potknąć się o fakt, aby wykoleić się na tej „szosie”. A wciskanie towianizmu — przynajmniej w pewnej jego fazie — w ramy zdawkowej „moralności” wydaje mi się takim samym fałszem, jak forsowne „zgodzenie” z katolicyzmem tego człowieka, który jeszcze w r. 1870 na zebraniu „sług sprawy Bożej” mówił: „Złe Kościoła obecnego dochodzi już do ostatniego kresu swego... wielki grzech, noszący w Apokalipsie nazwę Bestii, staje u szczytu i sprowadza ciężką karę bożą”.

Ileż wpływów musiało się krzyżować w towianizmie! Okropna rzeczywistość polska i prądy wiejące z Zachodu, i sąsiedztwo Rosji z jej mnóstwem sekt i „świętych”, i ogólna tęsknota za nowym światem, i przede wszystkim tak ciemna i mało nam znana osobistość Mistrza. Bo człowiek — powtarzam — to rzecz główna. Mamy tego przykład na saintsimonizmie. Tworzą ten kościółek po śmierci Saint-Simona Enfantin i Bazard i niedługo przychodzi do rozłamu: bo Enfantin, wspaniale piękny i ubóstwiany przez kobiety samiec, widzi w nowej religii przede wszystkim sprawę kobiecą, gdy Bazard, mniej uposażony przez naturę, chce w niej widzieć kwestię polityczną. Przez wzgląd na pokrewieństwo z towianizmem, przypomnę kiedyś koleje tej zajmującej „Rodziny” saintsimonicznej, zwłaszcza, że pojawiło się sporo dokumentów oświetlających jej dzieje; tu zaznaczę tylko, że w saintsimonizmie (za taki uważano w Wilnie naukę Towiańskiego), a przynajmniej w saintsimonizmie Prospera Enfantin, dominował feminizm. Nawet Boga-Ojca rozszczepiono na Boga-Ojca i Matkę władających w niebie. Na ziemi on, Enfantin, był Ojcem: trzeba było znaleźć Matkę; cóż za emocja dla każdej z wyznawczyń: a może właśnie ona? Tę matkę trzeba znaleźć — na jej poszukiwanie puści się Ojciec ze swymi wyznawcami aż do Egiptu, aby stworzyć parę mającą przynieść ludzkości radość i światło.

„Kobiety, jak my, jesteście w Bogu! Pochodzicie od Boga! Waszym prawem jest wolność. Objawiajcie się, dajcie się poznać, uszanujemy wasze słowa i wasze czyny” itd. — takie i tym podobne orędzia skupiły dokoła Enfantina przede wszystkim rzeszę kobiet. Któraś z wyznawczyń opowiada, że kiedy usłyszała te słowa, uczuła olśnienie, wypełniła ją olbrzymia radość. Wierzą, jak towiańczycy o swoim Mistrzu — że w Enfantinie objawił się Jezus. On sam porównywał się do Jezusa. Ale nauka jego głosi raczej wolność niż ascezę; niesie rehabilitację zohydzonego przez chrystianizm ciała. Reforma małżeństwa w duchu wolności. Kto kogo nie kocha, może go opuścić i iść za tym, kogo kocha: proste zerwanie węzłów za wspólną zgodą. Nauka, w początkach zwłaszcza, głosi wyzwolenie, życie wedle serca i zmysłów, bez kłamstwa i innych obowiązków oprócz żarliwej miłości bliźniego.

Ten początek rodziny saintsimonicznej upojeniem swym przypomina początki towianizmu: wyznawcy prowadzą wspólny stół w wielkiej sali zwanej... *Reduta*. Na zebraniach tych pełnych entuzjazmu tłoczą się adepci wierzący w złoty wiek ludzkości i nową ewangelię. Dodajmy, że wyznawcy Enfantina, przysięgający na kobietę-Mesjasza, to byli przeważnie ludzie nader niepospolici, którzy później zajęli wybitne stanowiska i istotnie pod wieloma względami przeculi nowe formy świata.

W praktyce jednak zasady te wywołały rychłe dysonanse. *Ojciec Najwyższy* (taki tytuł przybrał Enfantin) postanowił regulować sprawy miłosne Rodziny: stosunkami męczyzny i kobiety miała kierować wybrana para złożona z kapłana i kapłanki. Kapłani ci rozłączaliby pary, skoro im się wyda, że harmonia znikła. I tu zaszły nieporozumienia między Enfantinem a innymi wodzami rodziny saintsimonicznej. Olinde Rodrigues, też uczeń Saint-Simona, żąda, aby każde dziecko w Rodzinie mogło znać swego ojca, gdy Enfantin zostawia tę rzecz tylko kobiecie, uznając niejako — jak mu to zarzucał Rodrigues — „religijną wspólność” kobiet (*promiscuité religieuse*). Na tym tle przyszło też do rozłamu



w Rodzinie, której część potępiła naukę Enfantina jako niemoralną.

Dlatego mówię tu obszerniej o saintsimonizmie, że o ile stosunki życiowe towianizmu są ciemne, o tyle sprawy saintsimonizmu są dość dobrze zbadane; przytaczam tedy te rysy dla oświecenia epoki. Jest w powietrzu tęsknota za nowymi formami życia. Nowe ujęcie stosunku płci, przebudowa małżeństwa w duchu prawdy, jest na dnie każdego systemu i — powiedzmy wprost — stanowi nieraz główną siłę jego atrakcyjną.

Jeszcze jedną przytoczę tu relację, oświeclającą wileńskie refleksy saintsimonizmu. Oto ustęp ze wspomnień dr Stanisława Morawskiego (*W Peterburku*, str. 8) dotyczący jednego z pierwszych adeptów towianizmu, malarza Wańkowicza:

Wańkowicz, póki był w Wilnie, i cichy, i skromny, i chłodny, ożeniwszy się z Ordzianką, malutką, ale dziwnej rafaelowskiej piękności panienką, w Petersburgu wmówił w siebie, szturchając się kulakami pod boki, że jest i że być musi natchnionym artystą-poetą. Ciągłe sobie różnymi najdziwaczniejszymi wyobrażeniami mózgi podsmalał, aż na koniec bez nauki, bez przygotowania w jakiegoś mistyka przeszedł i tysiące głupstw w życiu potocznym i domowym narobiwszy, z dobrą i piękną żoną swoją się rozstał i na towiańszczyźnie zakończył. Chciało mu się koniecznie wspólności z żoną, a na to właśnie jego żona, choćby zapewne lepiej wyjść mogła, zgodzić się nie chciała i jak wariatowi pięknymi swoimi oczyma patrzyła mu w oczy. Pamiętam, że kiedy nieprędko potem, wracając z Paryża wpadłem na dni kilka do Wilna i tam się przed kimś z toku rozmowy przyszło mnie wygadać, żem lekcyj saintsimonistów i bucheristów, i Furiera słuchał, Wańkowicz, powziąwszy o tym języka, wpadł do mnie natychmiast jak szalony o jedenastej w nocy i całą noc spać nie dał, żądając, żebym mu koniecznie w treści zasady tych dotąd przynajmniej marzycieli wyłożył.

Niech mi nikt nie zarzuca, że ja widzę wszędzie kobietę. Wręcz przeciwnie: to nasi „brązownicy” zamykają oczy na jej istnienie; nie da się zaś zaprzeczyć, iż sprawy płci istnieją i grają w świecie pewną rolę...

I czy to nie jest uderzające: gdziekolwiek zetknąć się ze świadectwami współczesnych, wszędzie prawie z nazwiskiem Towiańskiego łączy się sprawa kobiet; kiedy natomiast czytać naszych towianologów, sprawa ta absolutnie nie istnieje! Przyczyniła się może do tego okoliczność, że Towiański z późnych lat życia, jako najbliższy tradycją, przesłonił Towiańskiego z wcześniejszego okresu. Ale przede wszystkim objawia się tu nasza pruderia obyczajowa, aby nie powiedzieć obluda.

Przejdźmy kolejno. *Wspomnienie* Wołodki z epoki towiańszczyzny w Wilnie cytowałem. Dodajmy do relacji Wołodki to, że zarówno Karolina Towiańska jak siostra jej, Anna Gutowa, odznaczały się niepospolitą urodą.

O Karolinie Towiańskiej krążyły różne legendy. Gadano, że Towiański magnetyzuje ją dla porozumiewania się z duchami. „Żona Towiańskiego jest somnambulką, ona wszystko widzi, nie on” — pisze Krasieński w liście do Delfiny, a gdzie indziej mówi: „Ile razy się rozłączał od żony, wracał do dawnego stanu mierności. Ile razy był z nią razem i mieszkał, odzyskiwał swą potęgę”. Oczywiście Krasieński jest tu echem obiegujących gadań.

W pamflecie swoim *Mickiewicz odstoniony* (Paryż, 1844) Gołębiowski, zastrzegłszy się, że prywatnego życia poety nie będzie tykał, pisze o Towiańskim, że po rewolucji<sup>17</sup> udał się do Rosji, długo mieszkał w Petersburgu; „później wyjechał zagranicę i bawił w Poznaniu. Tu już udawał się za posłańca bożego: starał się robić zwolenników, zwłaszcza między kobietami: formował je w towarzystwo na pewnych przepisanych przez niego zasadach, namawiał, żeby się spowiadały u niego i wyjawiały mu sekrety rodziców, braci i kochanków<sup>18</sup>. Ostatnia ta okoliczność mocno kilka kobiet oburzyła i wykryła nie tylko niedorzeczność, ale nawet złe zamiary posłańca bożego. Wszystko się zerwało — musiał wyjechać z Poznania”.

Zanotujmy tu, że stara encyklopedia Orgelbranda w r. 1867 — więc za życia Towiańskiego — powtarza dosłownie ten ustęp: „po drodze starał się o zwolenników, zwłaszcza

<sup>17</sup>po rewolucji — tj. po powstaniu listopadowym 1830 roku. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>między kobietami (...) kochanków — Por. Listy Szczanieckiej (*Przypisy*) [dalej w tej samej publikacji; red. WL]. [przypis autorski]

między kobietami, i formował je w towarzystwa na pewnych przepisanych przez siebie zasadach”.

Rzecz prosta, że nie można przyjmować bezkrytycznie każdego tego rodzaju świadectwa, jednakże pomijać wszystko, co mówili i pisali współcześni byłoby co najmniej równym błędem. To byłoby, doprawdy, zanadto „aseptyczne” preparowanie historii. Co do mnie, notuję tutaj te relacje dlatego, że chodzi mi o konfrontację innych głosów z pamiętnikiem Zofii Szymanowskiej i listem Wołyńskiego.

Komierowski w broszurze swojej *Moje stosunki z Towiańskim i z towiańczykami* (mylnie przez niektóre bibliografie przypisywanej Kołosowskiemu) pisze po rozstaniu się z towianizmem: „Poznałem wewnętrzne życie braci, a zarazem wiele dziwactw, kłótni i skandalicznych zbrodni, a choć te *mają wielki związek z zasadami i często są skutkiem ich fałszywości*, jednak przytaczać ich nie będę, raz że są historią ludzi żyjących, po wtóre że bracia mają się za ludzi: niechże więc ten, co jest bez grzechu, ciska kamień — ich prywatne życie przesądza”.

Wobec takich relacji, wobec uderzających analogii z innymi ruchami religijnymi owej epoki, byłoby niezmiernie interesujące poznać ściślej stosunek kobiet do towianizmu, tymczasem prawie nic o tym się nie mówi. Nie mówią nam nawet, ile było adeptek. Na prelekcjach Adama Mickiewicza bywa, wedle relacji dziennika, „wielka ilość dam wtajemniczonych w tę doktrynę jeszcze sekretną”. Odbywają się tam sceny przypominające „konwulsjonistów”. Zdając sprawę z wykładu 21 maja 1844 r. „Dziennik Narodowy” pisze: „Dwie młode kobiety, zerwawszy się, przyskoczyły do katedry ze złożonymi konwulsyjnie rękoma; jedna z nich wkrótce usiadła, druga coś mówiła drżącym, jakby rozpaczającym głosem, klękała i zrywała się, nareszcie opadła na ziemię i publiczność słyszała tylko przygłuszone łkanie”. Autor tej wzmianki dodaje, że „profesor przyzwyczajony jest do podobnych scen na prywatnych towiańczyków schadzkiach”.

Wiemy ogólnikowo od Władysława Mickiewicza, że „kobiety wielkie perturbacje wywołały w Kole”. „Kilku zwolenników Mistrza — pisze gdzie indziej syn poety — uległo tym zbrodniom i ciesząc się z przyznania kobietom równości i wolności, nadużywało jednej i drugiej”. To dosyć mgliste: „nadużycia” nie wyjaśniają stanowiska Mistrza. Z pism jego trudno coś wyrozumieć w tej mierze, tak są zatopione w swoistej frazeologii „ducha”, zresztą można przypuścić, że część nauki była tajna i że o niej się nie pisało ani nie mówiło niewtajemniczonym. Komierowski w swojej naiwnej broszurze pisze, że „względem kobiet są wolni” i że jeden tylko Zan utrzymuje: „kwestia co do kobiet jest jeszcze nierozwiązana”.

W relacji swojej ks. Semenenko, wyliczając „błędy towianizmu” i stwierdzając, że „pisma Towiańskiego są mieszaniną wszystkich herezji przez kościół potępionych”, podnosi, że jedną z zasadniczych cnót katolickich jest czystość; natomiast podług Towiańskiego (mówi) nic nie ma złego w naszej naturze. Zło przychodzi z zewnątrz, z kolumn ciemnych. Pożądliwość tedy, która jest w naturze naszej, nie może być zła. Więc i iść za nią nie będzie grzechem... (ta formuła brzmiałaby dość pokrewnie z nauką *Enfantina*).

Okólnik do proboszczów w Cuneo przeciw nauce Towiańskiego powiada: „akta której nauki, ile nam te same dowody pokazują, są najgorsze i pod względem wiary, i pod względem uczynków... robią z sumienia pojedynczego człowieka prawo najwyższe na wszystkie czynności”.

Przywodzi to na pamięć ów list Adama Mickiewicza do starej przyjaciółki, Konstancji Łubieńskiej, w jakimś ryzykownym momencie jej życia: „*Wszystko* (podkreślenie Mickiewicza) tobie wolno, tylko zasypiać się i drobnostkami zasypiać się nie wolno”.

\*

Tyle jest pewne, że kiedy Mistrz przybywa do Paryża, rychło zjawia się otoczony sztabem co najmniej trzech kobiet niezwykłej urody: Karoliny, Anny i — Ksawery Deybel. Panna Deybel zaprzętała niemało współczesną opinię. Mam w ręku satyryczne *Album Pszonki* (Paryż 1845), gdzie raz po raz spotykamy się z jej nazwiskiem.

W ciągu tych zapowiedzi proroczych nadciągnęły pułki z Litwy — dwóch podporuczników: Wańkowicz malarz i Gutt lekarz, a z nimi panna Deybel,

którą Towiański jeszcze na Litwie na proroka rodzaju żeńskiego wykierował. Było to w karnawale. Na salonach króla de facto (Czartoryskiego) były sceny, bale, koncerty, tańczące herbaty. Towiański i spółka wyprawiali także sceny, śpiewy i deklamacje prorocze. Panna Dejbel śpiewała, Gut miał konwulsje na dwanaście tempów i polował na fruującego ducha, Towiański perorował, *lechał uczucie*...

Jest wieść, że panna Deybell w chwilach wielkiego *wzniesienia się ducha* widzi około głowy Towiańskiego gwiazd dwanaście, Gut siedm, a Mickiewicz trzy czy podobno już tylko jedną.

Wiadomo, że Towiański w r. 1834, to jest kiedy Albrecht w Saksonii ze swoimi występował proroczo, był także w Dreźnie i naukę w rodzaju Albrechta opowiadać począł: że miał nawet w pewnym podonczas bawiącym poecie — swego dzisiejszego Mickiewicza, a w pewnej młodej pani — dzisiejszą pannę Deybell.

Wreszcie w satyrycznej bajce pt. *Kuglarze*: „Spojrzał profesor, ujrzał się prorokiem — Ślepy z cyklopiem obaczył się okiem; — Pan Podporucznik w szlifach jenerała — A która tylko baba się przyjrzała — W Matki Najświętszej widzi się postaci”.

I taka strofka w „receptach”: „Panna Deybell, co tam stała — To na swojej wyczytała — Chcesz być kochana — Rzuć szarlatana”.

Niestety, wszystko to, to są jedynie świadectwa wybitnej roli, jaką grała Ksawera w pierwszych poczynaniach towianizmu na gruncie paryskim; nie wyjaśnia nam jednak w najmniejszej mierze charakter owej roli ani też nie odsłania fizjonomii tej kobiety. Czy poznamy ją kiedy?

Otóż w tym samym czasie, kiedy Towiański dokazał swego majstersztyku, pozyskując dla sprawy Adama, mediumiczna kapłanka towianizmu, Ksawera, wchodzi — niewątpliwie z poręki Towiańskiego — pod dach poety. Jako nauczycielka jego dzieci. Spróbujmy sobie odtworzyć sytuację jego życia. Kiedy Mickiewicz w r. 1834 zaślubił Celinę Szymanowską na odległość, przez przyjaciół<sup>19</sup>, działał pod wpływem złożonego procesu duchowego. Wiemy, ile jest jego autobiografii — w postaci Robaka, na którą złożyła się rekuza Stolnika (hr. Ankwicza) i poczucie — we własnym przekonaniu — win wobec ojczyzny. Do tego przyłączył się niesmak i przykrość, które przyniósł mu romans z Konstancją. Poeta przeobrażony w duszy, przedwcześnie przygięty brzemieniem powagi życia, chce być w zgodzie z sumieniem, łamie się w sobie. „Sumienie to jest żołądek duszy” — pisze gdzieś w liście. „Zenię się z Celiną. Obaczymy, czy będzie lżej, czy będzie ciężej” — pisze. Jest w tym małżeństwie płomiennego Gustawa, hardego Jacka Soplity, coś z rezygnacji. Zrazu jest „lżej”, potem bodajże „ciężej”. Poeta milknie, troska o chleb dla rodziny go zżera; z czasem żona, podległa napadom obłądzenia, raz po raz mu „dokazuje”, jak pisze Bohdan Zaleski. Życie emigracyjne, jego swary, — piekłem. Nadziei znikąd żadnej. I w tej najcięższej dla poety chwili, zjawia się „dziwny mąż” z nową ewangelią i podbija go magicznym słowem i nie mniej magicznym świadectwem swego posłania. Czy nie byłoby możebnym przypuszczenie, że „nowe słowo”, jakie przyniósł mistrz temu potężnemu, a przygiętemu przez życie człowiekowi, w którym zdławione siłą woli wrzące namiętności skryte są jak ogień pod lawą, że to *słowo* było objawieniem nowego zakonu wolności? Nie tylko obietnicą wolności narodu — w nauce Towiańskiego i dla samego mistrza sprawa polska nie jest wszak bynajmniej najważniejsza — ale nową formułą życia, która temu tak głęboko religijnemu i prawemu człowiekowi, jakim był Mickiewicz, pozwoli głód szczęścia pogodzić z — sumieniem? Czy nie byłoby to nowym światłem rzuconym na opętanie towianizmem Adama i jego w nim, mimo zerwania z Mistrzem, upartą wytrwałność? Ale to już są tajemnice spowiedzi Adama przed księdzem Jełowickim, owej siedmiogodzinnej spowiedzi, w czasie której „ryczał tak, że w całym gmachu słyhać było” — opowiada Krasieński... I czy wówczas ta cudna pieśń Adama, uderzająca

<sup>19</sup>zaślubił Celinę Szymanowską na odległość, przez przyjaciół — Cała ta sprawa małżeństwa Mickiewicza jest dość zagadkowa i nie obeszła się bez ustnych komentarzy, „plotek” podawanych sobie na ucho przez naszych uczonych, zwłaszcza co się tyczy roli, jaką odegrał w nim dr Stanisław Morawski. [przypis autorski]

w tryumfalny akord szczęścia — *Słowiczku mój, a leć, a piej* — i niosąca *dawidzki* hymn upojenia, nie miałyby dla nas jeszcze innego niż dotychczas tonu? tego, który w dwa lata później zadźwięczy u Krasieńskiego w *Przedświcie*?

„O małżeństwie taka nauka, że tam tylko jest prawdziwe, gdzie jeden w drugim potrafi ducha obudzić — i to dopiero Sakrament” — tak streszcza zasady towianizmu Krasieński w liście do Delfiny. A czytamy owe ponure „Służby nad Celiną”, jakie odprawia nad Mickiewiczową Mistrz, i starajmy się — co nie jest łatwe — przetłumaczyć je na ludzki język; czytamy w rękopisach rapperswilewskich morały, jakimi gnębi Celinę Karolina Towiańska...

Będę miał jeszcze sposobność powrócić do tej materii. I to, co powiedziałem, wystarczy zapewne, aby ściągnąć gromy na moją biedną głowę. Zapewne, to jest sfera hipotez, których może nigdy nie uda się sprawdzić; ale czyż to okrojenie tak bogatej rzeczywistości, jakiego się dopuszczają na owej epoce i na jej dziwach nasi „brązownicy”, nie zostawia pola nawet najśmielszym hipotezom?

Tak, moi panowie, nie ma rady: trzeba zjechać z „szosy” i zapuścić się w gąszcz...

#### MROK SIĘ PRZECIERA

Jak można było się spodziewać, po ostatnich moich artykułach posypały się informacje, relacje, rewelacje. O Ksawerze przede wszystkim. Odnaleziono jej ślad u Słowackiego, w zamazanym rękopisie, który udało się odczytać panu St. Młeczko. Jedna strofka tych antytowianistycznych kupletów Słowackiego brzmi: „Panna Dejbelka — osoba niewielka! — ta chodzi — i zwodzi — bez węża — gdy Pan Bóg spuści męża”.

Skądinąd podniesiono wątpliwości co do pochodzenia Ksawery. Czy była Żydówką? W pierwotnej mej relacji, opierając się na wyraźnym ustępie z listu Lenartowicza, który miał wszelkie warunki, aby być dobrze poinformowany, przyjąłem żydowskie pochodzenie Ksawery Deybel. Mniejsze, przypuśćmy, znaczenie ma to, że Towiański nazywa Ksawerę „księżniczką izraelską”. Ci, którym chodzi nie tyle o wyświecenie prawdy, ile o tzw. „polemikę”, zaatakowali ten drugi punkt, pomijając pierwszy. Tymczasem, o ile w języku Towiańskiego często słowa *Izrael* używa się w znaczeniu przenośnym, to z pewnością nie mniej często używa się go w znaczeniu dosłownym; jeżeli więc epitet ten nie świadczy za, nie świadczy w każdym razie przeciw, a dodany do kategorycznej wzmianki w liście Lenartowicza, raczej może być uważany za argument w tym samym duchu.

Przeciw żydowskiemu pochodzeniu Ksawery podniesiono fakt, że istnieje szlachecka rodzina Deybel, pisząca się nawet *de Deybel*. Był w Wilnie pensjonat państwa Deybel. Jest u J. Bielińskiego wzmianka (donosi mi w uprzejmym liście p. W. Horoszkiewiczówna z Wilna) o nauczycielu tańca, Ksawerem Deyblu. „Można przypuszczać (pisze p. Horoszkiewiczówna), iż być może Ksawera Deybel była córką owego Ksawerego, najprawdopodobniej identycznego z właścicielem wspomnianej pensji. W takim razie nie była Żydówką, jest bowiem wykluczone, aby najlepsza w Wilnie w owych czasach pensja dla panien, w której nauczali filomaci Zan i Łoziński, była pensją żydowską”.

Można *przypuszczać, iż być może, że prawdopodobnie...* Wszystko to więc są na razie domysły, które można będzie chyba łatwo w Wilnie sprawdzić. Na razie, aż do przeciwnego ustalenia, pozostaje — jeżeli uznamy „księżniczkę izraelską” Towiańskiego za metaforę — pozytywna informacja w liście Lenartowicza. Nie potrzebuję dodawać, że nic a nic mi nie zależy na tym, aby Ksawery Deybel (w przypuszczeniu, że panna Deybel była jego córką) był obrzezany. Miałem skądinąd prywatne relacje, w których nie tylko że ją nazywano Żydówką, ale nawet „rosyjską Żydówką”. Czekajmy spokojnie ustalenia faktów. Niech mówią ci, co wiedzą; ja chcę ich tylko za język pociągnąć.

Kwestię pochodzenia Ksawery stara się rozwiązać na łamach *Kuriera Wileńskiego* mgr P. Kon. Oddała najpierw przypuszczenie, jakoby była Żydówką: zarówno epitet mistrza Towiańskiego „księżniczka izraelska”, jak wzmianka w liście Lenartowicza wydają mu się nieprzekonywujące, wobec tego, iż, o ile p. mgr P. Kon wie, nie ma w aktach dowodu, aby istniała żydowska rodzina Deybel (nazwisko Ksawery, nawiasem mówiąc, pisano na wszystkie sposoby: Dajbel, Deibel, Dejbel, Deybell). Przypuszcza mgr P. Kon natomiast, iż pochodzenia Ksawery trzeba szukać między córkami Ksawerego Deybel, nauczyciela tańca i właściciela pensjonatu w Wilnie. Nie ma wprawdzie zapisanej córki jego Ksawery, ale jest kilka innych: Aniela, Anna, Maria, Albina i Zofia. Żyje dziś jeszcze w Wilnie

pani Wikszemska, której mąż urodzony był właśnie z Marii Deyblówny, córki Ksawerego Deybel:

Otóż, jak powiada p. Wikszemska, teściowa jej tj. Maria Deybel, miała 4 siostry: Anielę, Annę, Zofię, zaś imienia czwartej siostry nie pamięta. Ta jedna z najmłodszych siostr wyjechała do Paryża jako młoda panna i tam była nauczycielką, później zaś wyszła za mąż za Francuza Mainarda.

Wobec tych wszystkich danych (konkluduje p. mgr P. Kon), wydaje się, że „księżniczka izraelska” była jedną z najmłodszych córek Ksawerego Deybla, prawdopodobnie Albiną, która urodziła się w Wilnie, *ale nie przed rokiem 1829*. Była ona zatem jedną z dwóch małoletnich dziewcząt, o których przyjęcie (do instytutu panien szlacheckich) wdowa Deyblowa w r. 1842 nadaremnie zabiegała.

Pozostaje jeszcze niewyjaśnione, dlaczego Deyblówna w Paryżu nazywała się Ksawerą. Może było to jej drugie imię. Również jest możliwe, że imię to przybrała dopiero w Paryżu i jako Ksawera była znaną wśród towiańczyków. Miejmy nadzieję, że czas dalsze w tej mierze przyniesie wyjaśnienia.

Miejmy nadzieję... Bo te, które przynosi p. mgr P. Kon, nie są, mimo pozorów i mimo autorytetu krewniaczki, wystarczające. Mniejsza o imię Albiny czy Ksawery, tę metamorfozę najłatwiej przyjąć, ale daty! Gdyby mgr P. Kon uważniej czytał bodaj moje artykuły, ujrzałby, że Ksawera Deybel (jak o tym świadczy książka Władysława Mickiewicza *Moja matka* i przytoczone w niej listy Celiny Mickiewiczowej) już w r. 1841 była w Paryżu w domu Mickiewiczów jako nauczycielka, co najmniej tedy wątpliwym jest, aby mogła się urodzić — po roku 1829. Wówczas gdy rzekomo ma być dziewczynką, o której przyjęcie do instytutu panien stara się daremnie pani Deyblowa, w istocie Ksawera jest już w Paryżu i odgrywa nader czynną rolę w propagandzie towianizmu. Tak więc świadectwo pani Wikszemskiej z jednej strony zdaje się świadczyć, że jesteśmy na tropie, z drugiej samo siebie zbija; w każdym razie nie ustala ono tożsamości Ksawery Deybel z jedną z córek nauczyciela tańców. Kwestia zostaje nadal otwarta.

\*

Jak gdyby w odpowiedzi na obłudne nieco ubolewanie jednego z czeladników brązowniczych, że nie posiadamy korespondencji Ksawery Deybel z Mickiewiczem, otrzymałem następujące pismo od pana Witolda Belzy, bratanka Władysława Belzy, zasłużonego poety i badacza literatury, który tak blisko jeszcze stał epoki Mickiewiczowskiej i znał wszystkich głównych jej uczestników. Pan Witold Belza pisze mi z Bydgoszczy:

Śledzę z wielkim zainteresowaniem całą żywą polemikę, jaka się toczy około wyświetlenia najciekawszej, z pewnych względów najsmutniejszej, a jednocześnie najbardziej mglistej epoki życia Mickiewicza.

Chcąc od razu wejść *in meritum*, użyję porównania ze znanej Panu zapewne zabawy dziecięcej, gdy dzieci szukają pewnego ukrytego przedmiotu, a jedno z nich, wiedząc, gdzie jest on schowany, prowadzi szukających po nitce słów: zimno — ciepło — gorąco. Otóż wydaje mi się, że tak schowała najpierw epoka, a potem mickiewiczologowie i — Ksawerę Deybel.

Wielce Szanowny Pan zabrał się do szukania, a ja, śledząc z Bydgoszczy Jego trudy, mówiłem sobie stale: ciepło — ciepło. Przeczytawszy apel Sz. Pana w końcowym ustępie Jego artykułu o Ksawerze Deybel, biłem się długo z myślami, czy w interesie prawdy naukowej, której jestem wyznawcą, należałoby odsłonić to, co wiem; czy też w myśl zasady epoki, w której się urodziłem i której tradycjami, bądź co bądź, przesiąknę: „*omnia sancta de Sancto*”, zostawić rzecz w spokoju i nie „kalać” ani pamięci naszych największych, tym samym nie ściągać na głowę swoją mściwej kłątwy duchów, co odeszły, a które zwierzyły mi tajemnicę, przynajmniej co do czasu zapieczętowaną na cztery pieczęcie.

I oto przychodzi list W. Sz. Pana, który — nawiasowo mówiąc — może nawet duchem wywołałem, zastanawiając się nad tym, czy też Boy zwróci się do mnie o pewne informacje, wiedząc może, a może i dowiedziawszy się, że stałem tak blisko osoby śp. stryja mego, Władysława Bełzy, który nie tylko poświęcił życie swoje badaniu Mickiewicza — tego Mickiewicza świetnie znał — ale miał relacje od osób stojących najbliżej jego osoby — jak również był w korespondencji i znał osobiście tego rodzaju postaci jak Zaleski, Odynec, Goszczyński, Libelt, Lenartowicz i inni. Pismo pańskie otrzymałem i zdecydowałem się napisać mu to, co powiedzieć dziś mogę.

Otóż, było to przed laty bez mała kilkunastu — mieszkałem wówczas jako student uniwersytetu lwowskiego — młody polonista — u stryja mego Władysława i rzecz naturalna — zainteresowany jak najżywiej kwestiami, które studiowałem, a które były wszakże chlebem powszednim stryja — tj. literaturą — całe godziny spędzałem z nim na rozmowach, będąc przy tym z jego inicjatywy zapalonym zbieraczem Mickiewicza (pozwalam sobie przypomnieć, że stryj mój miał swego czasu jedną z największych prywatnych bibliotek mickiewiczowskich). Wszystko się obracało około Mickiewicza, którego stryj wielbił, czcił jak relikwie i o którym najmniejsze nie nazbyt zręczne słówko wprowadzało go wprost w irytację, niemal osobistą urazę. Mickiewicz był świętością nietykalną, przed którą się biło tylko pokłony i paliło kadzidła uwielbienia.

Pewnego popołudnia odwiedził stryja stary jego przyjaciel, Grzegorzewski, znany orientalista, i z nim to bodaj (pewny jednakowoż nie jestem, czy się nie myłę co do osoby<sup>20</sup> — bywało bowiem wówczas u stryja wszystko to, co literacki Lwów najświetniejszego posiadał) snuła się długa, tajemnicza, przy zamkniętych drzwiach (widocznie wobec mnie — siedzącego w przyległym pokoju) rozmowa, z której urywane słowa, stale się powtarzające, tudzież jedno nazwisko dochodziło do mych uszu. Tym nazwiskiem była właśnie Ksawera Deybel w związku z Mickiewiczem; tymi słowami: przykre, bolesne, cień na słońcu<sup>21</sup>.

Grzegorzewski (o ile on to był, dziś już dobrze nie pamiętam) siedział coś trzy godziny, a gdy wychodził odprowadzony do drzwi przez stryja, zauważyłem na twarzach obu pałace rumieńce i dziwne jakies zgorączkowanie.

Uderzyło mnie to nazwisko Deybel, o którym wiedziałem, że istniało w epoce, że związane było z nazwiskiem Mickiewicza, ale poza tym — nic. Żywo zaintrygowany poszedłem zaraz do stryja, a ponieważ cieszyłem się dużym jego zaufaniem, odważyłem się zapytać, kto była ta Deybel, o której stryj tak długo i tak żywo z owym panem konferował. Zauważyłem, że stryj był trochę zaskoczony tym pytaniem, ale też dzięki temu może „wyrwało” mu się to, co powiedział, a co Sz. Panu niniejszym podaję. Cała enigmatyka zrozumiała zresztą ze względu na dyspozycję psychiczną stryja i w stosunku do mnie — bądź co bądź, młodego podówczas studenta.

„Była to nauczycielka dzieci Mickiewiczów, o której nie bardzo chcę mówić, gdyż zaciążyła poważnie na życiu Mickiewicza, przyczyniając się bezpośrednio do rozdzwienku między nim a Celiną. Mieszkała dłuższy czas u Mickiewiczów i była nawet powodem wyjazdu Celiny Mickiewiczowej na pewien czas z domu”.

A oto najważniejsze: — były listy Ksawery Deybel do Mickiewicza — listy, które posiadał stryj (wiem to z własnych jego ust) — nie znam atoli

<sup>20</sup> Grzegorzewski (...) czy się nie myłę co do osoby — Wedle relacji, jaką miałem skądinąd, miał to być Kalenbach. [przypis autorski]

<sup>21</sup> Ksawera Deybel w związku z Mickiewiczem (...) cień na słońcu — O tajemnicy, jaka otaczała ten szczegół życia poety, pisze mi p. Zawiszanka-Kernowa: „Jako ciekawy przyczynek do tego spisku milczenia, jaki okrywał ową historię, nadmienię, że w tych dniach dopiero dowiedziała się od pewnej starszej osoby, iż jej ten sekret powierzono dawno, w formie tradycji ustnej, znanej niegdyś doskonale na emigracji. Zobowiązano ją wszakże do milczenia tak solidnie, że choć sama cieszy się w duchu, w imię prawdy, ze śmiałej niedyskrecji Boya, jednak miała dziś jeszcze wątpliwości, czy dobrze uczyniła, mówiąc mi to. Dlatego też zamilczę nazwiska”. [przypis autorski]

drogi, na jakiej stryj je zdobył — listy, o których dowiedział się Władysław Mickiewicz i — rzecz charakterystyczna (pamiętam to dobrze z opowiadania stryja) błagał go na wszystko, aby mu je przesłać — a gdy stryj odmówił — zaklinał go wspólnie z p. Górecką na największe świętości i na cień Mickiewicza, że stryj użytku z nich nie zrobi i — spali. Stryj listy spalił, wobec czego one dziś nie istnieją, ale musiały być znamienne, jeśli doczekały się takiego losu — zrozumiałego dostatecznie u ludzi tej epoki, z której my pochodzimy.

I mało to, i dużo — w każdym razie wydaje mi się — czytając pańskie wywody o towianizmie i stosunku jego do Mickiewicza, o towianizmie, w którym bardzo żywą działalność rozwinęła właśnie Ksawera Deybel, czytając o obyczajowym tle, na jakim Sz. Pan rozwija pewne zagadnienia natury bardzo delikatnej — jest to to właśnie... ciepło, którym to słowem wiodłem myśl Pańską prawie spirytystycznie z dalekiej Bydgoszczy w Warszawie. Co powiedzieć mogę — powiedziałem. Ale na tym już koniec. W tej materii więcej pisać nie chcę — aż przyjdzie kiedyś w niedalekiej przyszłości sposobny może po temu czas... Dla samej istoty rzeczy może to i będzie bez istotnego znaczenia, tym bardziej, że od... ciepła — do gorąca *il n'y a qu'un pas*<sup>22</sup>, a pomimo tych szczegółów — zapewniam — Mickiewicz pozostanie jak dotąd świetlanym, najczystszym duchem naszej zbiorowości, a tylko złamanym przez warunki życia ówczesnego, stąd — jako człowiek i jako twórca najwyższej litości godnym. W tym samym co dziś świetle pozostanie i Towiański, a poza tym — warchoły i profitanci (byli i tacy) są zawsze i wszędzie — tym bardziej w promieniach wielkiego człowieka czy wielkiej idei — zupełnie podobnie jak ćmy. Historia się powtarza — toż nie inaczej jest dzisiaj, ale to zawiodłoby nas za daleko w materii, która właściwie nie należałaby do osnowy tego listu...

Z wyrazami prawdziwego szacunku i poważania

Witold Bełza

Znowu tedy natykamy się na rękę Władysława Mickiewicza. Jako syn, powtarzam, był w swoim prawie i nie myślę go o to winić; nieporozumienie w tym, że ten syn — skądinąd ogromnych zasług — zaciążył przez te pół wieku nad całym stosunkiem naszej nauki do Mickiewicza. Umałoletnił ją.

\*

W końcu trzeba mi zanotować informację, jakie otrzymałem niespodzianie w kwestii drugiej części pamiętników Zofii Szymanowskiej. *Miały się one znajdować w Krakowie, w Bibliotece Jagiellońskiej, opieczętowane przez Karola Estreichera, z tym, że mają być otwarte dopiero w stulecie śmierci poety, w r. 1955.*

Rzecz prosta, że otrzymawszy te relacje, wybrałem się do Krakowa dla wyświetlenia sprawy. Pamiętników ani żadnego opieczętowanego pakietu w bibliotece nie znalazłem, natomiast dotarłem do źródła tej wiadomości, która, zdaje się, była zniekształceniem informacji prof. Stanisława Estreichera. Otóż prof. Estreicher, syn Karola Estreichera, opowiedział mi, co następuje:

W roku 1887 czy 1888 (powiada) ojciec zakomunikował mi, wówczas młodemu chłopcu, taką rzecz. Przyjechał mianowicie z Włoch pan Wołyński i wręczył ojcu opieczętowany pakiet jako depozyt do Biblioteki Jagiellońskiej, z tym, że ma być otwarty w którymś roku, czy też po śmierci jakichś osób; jakich, nie pamiętam. Pakiet ten miał zawierać jakieś bardzo drażliwe papiery dotyczące Mickiewicza. Ojciec był tym depozytem i tą wizytą bardzo przejęty, opowiadał mi to zaraz na gorąco. Nie wiem (dodaje prof. Stanisław Estreicher), czy to były pamiętniki Zofii Szymanowskiej, raczej przypuszczałem, że to były listy Celiny Mickiewiczowej do siostry Zofii. Nigdy nie

<sup>22</sup>*il n'y a qu'un pas* (fr.) — jest nie więcej niż krok. [przypis edytorski]

słyszałem o tym, aby ktoś ten depozyt odbierał; sądząc z zainteresowania ojca, jestem pewien, że byłby mi powiedział, gdyby pakiet wycofano. Myślę więc, że ten depozyt powinien się znajdować w Bibliotece Jagiellońskiej.

Skoro w bibliotece pakietu nie ma, ktoś go musiał stamtąd wydobyć. Że nie ma żadnych śladów depozytu, to niczemu nie przeczy; w owych czasach załatwiano się te rzeczy dość familijnie; mógł zresztą i ten ślad być zatarty. A co było w tym pakiecie? Czy były to pamiątki Szymanowskiej, do których odebrania (można by przypuszczać) Wołyński upoważnił Władysława Mickiewicza i w takim razie w przytoczonej przeze mnie korespondencji z tego go Władysław Mickiewicz kwituje? Czy też były to inne ważne papiery i listy? Bądź jak bądź, znów jeden dokument tyczący Mickiewicza przepadł bez śladu...

Informacja przesłana przez p. Landa do „Wiadomości Literackich” o rzekomej obecności *Pamiętnika* w bibliotece publicznej w Rzymie nie sprawdziła się. Jest ona zapewne echem istotnego faktu, że tam się ów pamiętnik przed laty w depozycie Wołyńskiego znajdował. P. dyr. Muszkowski zapewniał mnie, że i listownie, i osobiście szukał w Rzymie śladu — na próżno.

Na razie zatem dalszy ciąg pamiętników trzeba uważać za zaginiony, o ile nie znajduje się w prywatnym archiwum Mickiewiczowskim rodziny poety, które zawiera z pewnością niejeden jeszcze dokument.

#### SPRAWA KAROLINY — SPRAWA BOŻA

Nie wiem, czy mam przeprosić czytelników, ale jeszcze zajmę ich sprawą tak odległą, jak — towianizm. Ale sądzę, że jest ona odległą tylko na pozór. Ciśnienie naszej mitologii na naszą rzeczywistość jest jeszcze tak znaczne, że ustosunkowanie się do tych mitów jest wciąż aktualnością.

Jednym z takich mitów jest Towiański. Ledwie pięćdziesiąt lat upłynęło od jego śmierci, a już jest legendą — i był nią po trosze za życia. Z biografii jego wiemy tylko to, co on sam zechciał z niej podać, dziejopisami jego byli niemal tylko jego wyznawcy. Udział poetów, Mickiewicza zwłaszcza, wyolbrzymił, uskrzydlił jego postać i jego wiarę. Przyczyniła się do tego i Młoda Polska — ta z przed lat trzydziestu — podbiwszy kurs wszelkich akcji mistycznych, nawet z najwątliwszym pokryciem, a cóż dopiero takich, gdzie Mickiewicz był... prezesem rady nadzorczej. Toteż bezkrytycyzm w tej dziedzinie szaleje.

Dlatego kiedy przeglądałem w Bibliotece Rapperswilskiej rękopisy Goszczyńskiego, zaciekała mnie niezmiernie rękopiśmienna rozprawka, jaką tam znalazłem, pt. *Rozprawa z towiańszczyzną*. Zaciekawia już sam tytuł rozprawy u najwierniejszego wyznawcy Towiańskiego, który jeszcze w r. 1870 pisał: „Jest to jedna z chwil najważniejszych nie tylko w moim żywocie obecnym, ale w mojej wieczności, w całym bycie ducha mojego, kiedym się zbliżył z mężem, przez którego mi ta nadzwyczajna łaska niebios zesłała”... Świadectwo takiego człowieka nie jest podejrzone o uprzedzenie lub niechęć... A jednak, gdyby ktoś chciał napisać krwawą satyrę towianizmu, nie mógłby tego lepiej zrobić, niż to uczynił w tej nie do druku zresztą przeznaczonej „rozprawie” Goszczyński.

Rękopis ten, wprowadzający nas niejako w samo serce towianizmu, datuje z r. 1860<sup>23</sup>. Podtytuł: *Sprawa W-a i A-y Dz-ch* (Władysława i Antoniny Dzwonkowskich) z *K. T.* (Karoliną Towiańską) i *K. R.* (Karolem Różyckim).

Sprawa ta zajmuje kilkadziesiąt stronic drobnego pisma, a materiały do niej, bruliony, co najmniej drugie tyle. Cała książeczka. Będę z niej cytował, jak najmniej wtrącając się osobiście. Zaczyna Goszczyński tak:

Staję nie w obronie swojej osobistej, ale w obronie prawdy, w obronie Dzieła nowej epoki, która ma być Chrześcijaństwem wyższym, a gdzie pod nowymi formami powtarzają się bezecności duchowieństwa tymczasowego.

Bracia uznani za wyższych, za starszych, a stawiający braciom młodszym przeciwności utrudniające im przyjęcie Prawdy podawanej przez siebie, nie

<sup>23</sup>*Rozprawa (...)* z r. 1860 — Omawiał ją prof. Pigoń w artykule *S. Goszczyński w sporze z Kołem* (Przegląd Współczesny, 1928). [przypis autorski]



mogą być niczem usprawiedliwieni; co byśmy powiedzieli o takiej np. matce, która mając nauczyć dziecko chodzenia, kładzie się na niem i każe mu się nosić, tłumacząc się tem, że dziecię powinno wydobyć z siebie tyle energii, ażeby znalazło siłę unieść ją; że to robi dla tego zmuszenia dziecka, aby się w niem rozwinęły życie, siła ruchu, energia itd. Powiedzielibyśmy o takiej matce, że jest albo obłąkana, albo zła kobieta.

Nie możemy także przyznać za dobre ostrego tonu, z jakim niektórzy między nami podają prawdę i zmuszają do jej przyjęcia, a o nieprzyjmującym powiadają, że jest *pieszczoch*, jeżeli nie coś gorszego. To nas może zaprowadzić aż do uniewinnienia Św. Inkwizycji. I w rzeczy samej, Święta Inkwizycja, wychodząc z tej samej zasady, mogłaby mówić o tych, których torturowała, paliła: „Pieszczoch! nie może znieść tortur, boi się stosu, a on go naprowadza na drogę Prawdy”.

...Falszywe kolosy, czyli kolosy fałszu w Sprawie, grożą większym niebezpieczeństwem dziełu Bożemu na ziemi jak fałszywe kolosy zewnątrz Sprawy... W sprawie z siostrą K(aroliną), trzeba tu wiedzieć, że nie ciało z ciałem walczy, ale duch z duchem. W sprawie tej dać miejsce podrzędne ludziom, a mieć głównie przed oczyma rzecz samą, a ta rzecz, to duch Sprawy świętej, Duch Chrystusowy, i zbawienie nasze przez Chrystusa.

O cóż tedy chodzi, pytamy. Chodzi o — list siostry Karoliny z powodu imienin siostry Antoniny:

Siostra Antonina (pisze Goszczyński) ma słuszny powód widzieć nieczystość w postępowaniu siostry Karoliny z wypadku jej listu otrzymanego w dzień swoich imienin; bo kiedy wprzód pisała do niej kilka razy i nie miała nigdy odpowiedzi, dziś nagle otrzymuje list winszujący z zupełnem pominięciem swojego męża, z którym jednak pisała spólnie list ostatni i któremu się należała także odpowiedź.

To jest „meritum” sprawy. Zaczynają się komplikacje. Brat Władysław napisał w tej sprawie list z wyrzutami do Karoliny; Karolina pokazała list braciom; rzecz zatacza coraz szersze kręgi:

Inni bracia zaczynają mieszać się do sprawy, występując w obronie siostry Karoliny, głównie z powodu listu Władysława do Karoliny... W mojem przekonaniu (wciąż pisze Goszczyński) sprawa ta ma widocznie cechę woli Bożej, która otwiera pole nowej próby dla braci. Szczęśliwy, kto tę drogę przejdzie jak chrześcijanin... Ucieranie się z braćmi o siostrę Karolinę jest na nic: dopóki ona sama nie uzna swojego grzechu, dopóty żaden z jej niewolników nie uzna go... Bałwochwalstwo i niewola jest w Kole naszym, wytyka je braciom sam Towiański w swoim piśmie z maja r. z., ale wytyka je w sposób ogólny.

Refleksje Goszczyńskiego nad listem Karoliny:

7 lipca 1860. Czyn tego listu nie zdaje mi się czystym. Pobudza on żonę przeciw mężowi. Uderza na kobietę jako słabszą, aby osłabić męża. Szczęściem, że Antonina poznała się na tym i nie poddała się niewolniczo. Gdyby się udało, nastąpiłoby zerwanie żony z mężem. Drugi list z powodu imienin potwierdza ten domysł.

...Smutna to rzecz, ale pokazująca jasno, w czym wielu braci spoczęło. Kiedy ten sam Władysław był przez jakiś czas prawie bezczynny dla postępu Sprawy, bracia odwiedzali go, żyli z nim po bratersku, chwalili go; kiedy dziś okazał się czynnym z obrażeniem osoby adorowanej, wszystko się zmieniło: miłość braci w gniew, pochwały w pogardę. Póki chodzi o Chrystusa, to idzie jako tako, jest pobłażenie, ale kiedy chodzi o jakąś wyższość uznaną w Kole, to już nie do przebaczenia, to grzech przeciw Duchowi Świętemu.

...W liście swoim Władysław pisał, że „nie przed trybunał ludzki zapoznywam cię”, że cała ta sprawa powinna się rozstrzygnąć tylko przed Bogiem i między nimi dwojgiem bez wplątania w nią innych braci... Inaczej sędzi Karolina. List Władysława został wszystkim wiadomy. B(aykowski) wystąpił w obronie Karoliny z listem dość pogańskim do Władysława. Objawił się ze strony braci sąd potępiający bez litości Władysława. Niektórzy z nich zleli w jedno osobę Karoliny i Sprawę Bożą, czyli, co na jedno wychodzi, uchybienie przeciw ślepej bezwarunkowej adoracji dla Karoliny uważają za obrazę Majestatu Bożego, zgola nietolerancja, niewola, o jaką trudno nawet w starych papistach.

...Karolina podziękowała B(aykowskiemu) za obronę siebie. W jej liście jest o bliskim rozdzieleniu się Koła na Sługi Chrystusowe i Sługi Ziemi.

Mysząc o tem, co się dzisiaj dzieje między nami, zabołałem głęboko i ta boleść natchnęła mi następującą Modlitwę:

„O Chrystusie, Panie, ratuj nas: zło powstało między nami w wielkiej sile (etc.) O Mario, pod której wezwaniem i opieką rozpoczęło się dzieło nowej epoki chrześcijaństwa, przyczyn się za nami (etc., dłuższa modlitwa)”.

Tę modlitwę przesłałem Władysławowi, a on umieści ją w swoim liście do Różyckiego.

Bo w sprawę tę wkracza Różycki, pułkownik Karol Różycki, wiarus napoleoński, bohater powstania listopadowego — w Sprawie piastujący wysoką godność „Brata Wodza”. Goszczyński tak ocenia jego list w tej sprawie do Dzwonkowskiego:

Ton więcej urzędowy jak braterski, duch fanatyzmu... Ton przypominający żołnierskie: „w wojsku nie ma rozumowania”, a moskiewskie: „słuszaj i stupaj!”. Ton adoracji niewolniczej, przypominającej hasło muzułmańskie: „Nie ma Boga tylko Bóg, a Mahomet (Mistrz) jego prorok”.

...Jeżeli nam wolno widzieć i roztrząsać zło, które jest w księżach, na których leży powaga Sakramentu Kapłaństwa, to nie wiem, dlaczego nie byłoby wolno widzieć je w Karolinie... Walka ta nie jest z Chrystusem, ale z wrogiem Chrystusa, który działa przez braci, a między nimi przez Karolinę. Władysław, o ile to czuje, ma prawo wezwać Różyckiego w imię Chrystusa, aby poczuł to jako wódz Sprawy Chrystusowej, na którym przez to leży większa odpowiedzialność za niepoczucie prawdy i za odepchnięcie jej...

Goszczyński poddaje surowej krytyce postępowanie Brata-Wodza:

Ukradkowe podsunięcie Dzwonkowskiej listu Towiańskiej przez Różyckiego, aby Dzwonkowski nie wiedział o nim. Jest w tym czynie zniesienie się niewłaściwe człowiekowi zajmującemu takie stanowisko jak Różycki, zniesienie się do babskości, do narzędzia babskiej taktyki. Czyn ten oburza tem więcej, że miał na celu rozrywanie małżeństwa i to w sposób podstępny, ukradkowy. A spełnia go Wódz Sprawy bożej na całą epokę, mąż powołany etc.

W jednym z moich listów do Dzwonkowskiego przytoczyłem francuskie przysłowie „*ne touchez pas à la reine*”...

Władysław Dzwonkowski postanawia napisać do Różyckiego, a nawet do samego Towiańskiego; Goszczyński, nie wątpiąc, że Mistrz zechce rzecz łaskawie rozważyć, dostarcza projektów tych listów, mamy je w jego rozprawce. Do Towiańskiego:

Mistrzu i bracie! Wahalem się długo, nim przystąpiłem do pisania tego listu, ale, aby być szczerym, muszę powiedzieć dlaczego. Tak nas przyzwyczajono do widoku niesprawiedliwości braci przewodzących w Kole, tyle było przykładów, że najoczywistsza prawda była uznana za fałsz i potępiona, etc. (Tutaj przedstawić cały przebieg sprawy z Karoliną i jej istotę).

Znów Goszczyński przerywa tok modlitwy, jaką ułożył w ostatnich dniach lipca 1860 r., i ciągnie relację dalej. Antonina postanowiła napisać do Karoliny; znów Goszczyński, „wezwany do pomocy”, przesłał jej tę pomoc „w duchu poniżej zebranych myśli”:

...Inny punkt nadaje cechę rzeczywistości ludzkiej listowi Antoniny. Niewola bałwochwalcza braci, wytknięta w liście Władysława, nie jest wymysłem; objawiła się ona w czynie przez Baykowskiego, który bez porozumienia się poprzedniego braterskiego z Władysławem, pod wpływem tylko uwielbienia dla Karoliny zdeptał z pogardą i Władysława, i prawdę, którą on podniósł, a potem przez innych braci, którzy tylko na słowa Baykowskiego i na sam rozgłos, że śmiano coś zarzucić Karolinie, bez rozpoznania rzeczy, bez czytania listu Władysława, zawołali: „ukrzyżuj! ukrzyżuj!”, a byli i tacy, którzy już go osądzili odszczepieńcem od Chrystusa.

Grzech Karoliny jest trudny do schwycenia i wykazania zmysłowie: jest to grzech ducha, a grzechy tego rodzaju są jeszcze, dla braci nawet, nieujęte zmysłem rozumu.

Jest w jednym liście Karoliny do Antoniny wyzwanie do wylania się przed nią, po prostu do wypowiedzenia się. Jest to przepis chrześcijański, na nim stoi braterstwo, to prawda; ale czy mogę spowiadać się przed tym, który mi powiada: „wyznaj mi twoje grzechy, ale ja moich dotknąć nie pozwolę”?

11 września. Karol Różycki powiedział T. R-mu: Każde słowo modlitwy (w liście Władysława napisanej przeze mnie) jest sądem, a mianowicie to miejsce: „Złe chce zmienić sługi twoje (Chrystusowe) w Judaszów”. Więc powiedzieć, że Szatan chce zmienić sługi Chrystusowe w Judaszów to jest sądzić. Kogo? Szatana. Więc grzeszę sądem przeciw Szatanowi? Ale może on robić co innego, dopóki jest Szatanem?

Grożą snadź opornym braciom wyłączeniem z Koła, bo Goszczyński pisze:

Wyłączenie z towiańszczyzny, to jest z grona tych braci, którzy czczą bałwochwalczo Towiańskiego i najbliższe mu kółko, nie jest wyłączeniem z Kościoła Chrystusowego.

Uważam za wielki grzech przed Bogiem ślepą wiarę niektórych braci w Towiańskiego i ślepe ich posłuszeństwo: wielki to grzech i wielkie niebezpieczeństwo.

Czy wiecie z całą pewnością, co on jest? a może jest Duchem niższym, któremu Bóg dopuścił kusić ludzi dla ich wypróbowania w miłości Boga?... Powaga fałszu w Kole i jego rozplądanie się są konieczne, dopóki dla braci będzie dogmatem, że Towiański jest nieomylnym... Dopóki fałsz podobny jest korzeniem religijności braci, dopóty ich cała religijność jest fałszem: jaki korzeń, takie drzewo, a jakie drzewo, takie owoce...

11 listopada sprawa Dzwonkowskiego z Towiańskim przychodzi na ogólne zebranie braci. Różycki

nakazuje pokryć ją milczeniem, puścić niejako w niepamięć, uważać ją za niebyłą, i sądzi, że tym sposobem rozstrzygnął wszystko, zaprowadził zgodę między braćmi, jedność i pokój w Kole! Bardzo się myli. Prawda prędzej czy później wyjdzie znowu na jaw i upomni się o wynagrodzenie sobie krzywdy. Nieprawość braci może tryumfować jakiś czas, ale prędzej czy później przynana będzie duszność człowiekowi, który stanął przy Prawdzie i dotrwał jej wiernie.

...Było to w czasie układania pisma do Cesarza Aleksandra. Dzwonkowski zrobił Różyckiemu uwagę, co do jednego miejsca w „Powodach”, że jest zbyt ciemne, że Polacy żadną miarą tego miejsca nie zrozumieją, na to Różycki powiedział: „Ha! niech się w ziemię zaryją, i szukają wyjaśnienia” — miało to znaczyć upokorzenie się aż do prochu, a wtedy rzecz im będzie wyjaśniona, Różycki stosuje dzisiaj to do Dzwonkowskiego, wzywając go ogólnie do pokory.

Rzecz toczy się w podobnym sposobie przez wiele miesięcy. Wreszcie kończy Seweryn Goszczyński swoją rozprawkę słowami:

Przeciwności i dociski są niby wizykatorie, które Bóg nam przystawia w miejscach zagrożonych chorobą; źle robi chory, który odrzuca wizykatorię, zaczem zrobiła swój skutek; źle robi człowiek, który się oburza na dopuszczoną przeciwność: powinien ją użyć na wyleczenie chorego punktu.

Bardzo budujący aforyzm, prawda? Otóż takie i tym podobne nauczki cytują nam nasi „towianolodzy” i bają o „podniesieniu moralnym”, jakie towianizm przyniósł; strzegą się nam tylko pokazać jego rzeczywiste tło. A tło, to ów pocieszny dwór z mistycznym Jeniałkiewiczem, samym panem Andrzejem u góry; z jego papieżycą Towiańską, wicepapieżycą Guttową, z jego dworakami, pochlebcami, z jego histerią, oglupieniem, plotkarstwem, komerażami, zacządem, a przede wszystkim ze straszliwą jałowością tej „pracy nad sobą” w próżni, pracy tym karykaturalniejszej, im wyższej miary i większej energii są ludzie, których do niej zaprzężono. Bo zważmy, kto są ci ludzie, których udało się doprowadzić atmosferze towiańszczyzny do takiego stanu! Goszczyński, niepospolity poeta, charakter ze stali, bohater nocy belwederskiej; drugi bohater, Karol Różycki! I kiedy się dzieje to wszystko: w roku 60, 61! i przez dziesiątki lat ci ludzie obracają się w tym zaczarowanym kręgu, i traktują na jednej płaszczyźnie swoje pisma do cara Aleksandra i sprawę między Dzwonkowskim a Karoliną!

Mówi i baje się dużo o „odrodzeniu etycznym” towianizmu: chcecie próbki tego odrodzenia? Chcecie przykładu, jakie wyniki daje przemiana wszystkich „braci” na niepowołanych kaznodziejów i wzajemnych cenzorów swego życia? Oto ustę z rad, jakie Seweryn Goszczyński daje znajomemu małżeństwu:

Niesnaski pożycia małżeńskiego. Unikajcie tego, aby nie była co dzień na stole sprawa kotletów niedopieczonych albo przepieczonych. Takie sprawy przy świadkach są niskie, nie mogą im dać dobrego wyobrażenia o stanowisku, które zajmujecie w Sprawie Bożej. Sprawy podobne najlepiej załatwiać we cztery oczy.

Wszystkie jego nauki są mniej więcej na tej wyżynie. I to dla takiej „służby”. Mistrz zabronił mu być poetą. Tak oni się „podnoszą” nawzajem ciągle, zaglądają jedni drugim w garnki, w dusze, dochodzą do tego, że nie mogą już na siebie patrzeć wzajem. Wszystko to czytamy w tych notatkach Goszczyńskiego, z których, znając je, tak nieśmiało wyciągano konsekwencje!

Bo oczywiście, że sprawa Dzwonkowskich nie była jedyną przyczyną tych rozdźwięków; czuć, że tu zebrał wrzód dojrzewający od dawna. Wypadki roku 1863, w czasie których pani Guttowa osądziła „że dopóki Polska nie uzna w Towiańskim posłańca Bożego i nie ukorzy się przed nim, dopóty wszystkie jej ruchy i ofiary są na nic”, jeszcze bardziej oddaliły starego patriotę od Koła. 9 czerwca r. 1864 notuje w swoim dzienniku:

W czym posłużyło mi przejście przez towiańszczyznę? Zmniejszyła się moja pogarda dla Polaków, którym dobrze z Moskałami, bo w towiańszczyźnie zobaczyłem Polaków, którzy miłują jarzmo cięższe od cesarskiego. Myślę sobie nieraz, że jeżeli są Polacy, którzy adorują takie jarzmo, jakie im towiańszczyzna nakłada, można usprawiedliwić poniekąd tych Polaków, którym jarzmo Cara lub Kisara nie dolega.

Tak pisze Goszczyński w 22 lat od chwili, w której przystał do Sprawy. Mimo to zacządem było tak silne, że zupełnie, mimo rozstania z Kołem, nie ocknął się zeń nigdy. Może instynktownie nie chciał się ocknąć? Może zbyt bolesne było mu przyznać przed sobą, że w tej „Sprawie” zmarnował swoje życie? Bo oto w niespełna rok potem pisze:

...Otóż nie bądźmy obojętni, nie ważmy lekce prawd świętych, które Towiański podaje. Choćby on był najgorszym człowiekiem, choćby najnie-sprawiedliwszy był dla nas, choćby nam najwięcej zawinił, przyjmujemy ze czią, z pokorą, ze skwapliwością, otwartem sercem, jako dary Boże, prawdy, które przez niego przechodzą w nas; zapominajmy w tej chwili o człowieku, a widzimy tylko Boga zlewającego na nas swoją łaskę...

Nie chodzi mi o to, aby tu ferować jakieś wyroki o Towiańskim ani o całej kwestii z pewnością o wiele bardziej złożonej, niż to nam pobożni towianologowie do wierzenia podają. I na tę właśnie jej złożoność wciąż zwracam uwagę. Już tutaj, w ponurym oświeceniu tej „rozprawy z towiańszczyzną” najwierniejszego jej adepta, widzimy dwa światy: jeden to gmina szwajcarska i jej kwietystyczne bytowanie w zbożnym samouwielbieniu, i jej to słodczyce opiewają rozanieleni ówczesnego towianizmu adeptci; drugi — to tragiczna farsa paryskiego Koła, gdzie ludzie żyjący bez promyka słońca, nieraz w ostatecznej nędzy, jak stary Goszczyński, utopiwszy w towianizmie wszystko, siły, talent, zdolność do życia, szamocą się bezradnie, gryzą, szarpią, niezdolni już ani żyć w tym zaklętym kręgu, ani też z niego się wyrwać. Skoro wciąż „reklamuje się” towianizm niepospolitymi ludźmi, którzy doń przystali, pragnąłem ukazać, jak ci ludzie w nim się czuli i do jakiego ich stanu doprowadził. I ponieważ w dyskusjach o Mickiewiczu, które, jak widzę, na nowo stają się dziś aktualne, raz po raz mówi się o towianizmie i mówi się o nim z jakąś mętną zabobonną czcią, chciałem rzecz sprowadzić na grunt bardziej realny i pozwolić czytelnikom zorientować się osobiście w wysokich zagadnieniach tej Sprawy Bożej, która, jak widzimy, bywała chwilami Sprawą — Karoliny...

Bo tylko przez zrozumienie ludzi można dojść do sądu o sprawach.

#### ZARĘCZYNY ADAMA MICKIEWICZA

Dzięki uprzejmości dyrektora Biblioteki Krasieńskich, pana J. Muszkowskiego, mogę przedstawić tutaj następujący dokument, który niespełna przed rokiem dostał się przypadkowo w posiadanie tej biblioteki. Jest to mały zeszytek zapisany szerokim pismem Zofii Szymanowskiej, tym samym, którym skreślone są jej pamiętniki. Na pierwszej stronie widnieją słowa:

*Opis zaręczyn moich z Adamem Mickiewiczem, dla wiadomości rodziny mojej i śladu w przyszłości.*

Wewnątrz zaś znajdujemy, co następuje:

*Ostatnie chwile siostry mojej, Celiny z Szymanowskich Mickiewiczowej, i zaręczyny moje z Adamem Mickiewiczem.*

Gdy przyjechałam do Paryża temu lat cztery blisko, uczyniłam to na wezwanie siostry i jej męża, a byłabym w każdym razie uczyniła za odebraniem wiadomości o niebezpiecznej chorobie Celiny.

Że to była choroba śmiertelna, o tym dowiedziałam się dopiero za przybyciem do Paryża. Celina wkrótce po moim przyjeździe coraz ciężiej zapadać zaczęła, przeczuwała ona swój koniec, bo często mawiała do mnie, iż teraz umrze spokojnie, gdyż wie, że ja dzieci jej nie opuszczę. Gdy nadeszły ostatnie chwile, obecnych było nas przy umierającej troje: Adam, ja i służąca; kolejno lub wspólnie dopomagaliśmy jej podnieść się, gdyż często zmieniać chciała pozycję; gdy raz ja z Adamem staliśmy nad nią, ona, utraciwszy już mowę, wyciągnęła ku nam ręce; ja, przejęta jedynie myślą niesienia jej jakiegokolwiek ulgi, chciałam ją podeprzeć, jak już wprzód kilkakrotnie; ale Adam odezwał się, mówiąc: „ona chce, ażebyśmy dwoje podali sobie ręce”. Ja, nie pojmując, w jakim celu, ani odgadując woli Celiny, odrzekłam: „po cóż by to? mylisz się, panie Adamie, Celina pragnie, byśmy ją unieśli”. Wtedy ona biedna, widząc, że jej nie zrozumiałam, lub sądząc, że nie zgadzam się, zamknęła oczy i opuściwszy ręce, leżała długą chwilę bez ruchu; odstąpiłam od łóżka, by się trochę dla wypoczynku. Po jakimś czasie, Celina otworzyła oczy, a skinieniem ręki przywołałszy mnie i Adama, znów wskazała gestem i wyraźniej niż przedtem, żebyśmy sobie ręce podali; ja zaczęłam teraz dopiero rozumieć jej życzenie, a gdy oniemiała i nieruchoma ze wzruszenia i bólu stałam nie podnosząc ręki, Adam rzekł: „To ostatnia wola umierającej” — na koniec podałam mu rękę w milczeniu — ona krzyż nakreśliła palcem na spojonych dłoniach naszych i wkrótce skonała. Tak zostałam zaręczoną z Mickiewiczem. Nie potrafię skreślić uczuć, jakie mną w owej chwili miały; powiem tylko, iż przyjąłm jako wolę Boga tą nową,

a tak niespodziewaną dla siebie przyszłość i uważałam odtąd związek mój z Adamem jako święty dla siebie obowiązek.

Zofia Szymanowska

W Warszawie, 10 października 1858 roku

Zestawmy pokrótce fakty i okoliczności związane z tą relacją, a możemy sobie odtworzyć taki stan rzeczy. Pomiędzy Celiną Mickiewiczową a „siostrą” Ksawerą Deybel mieszkającą w domu Adama były przez wiele lat tarcia, których ślady znajdujemy zarówno w listach Mickiewicza, jak w zapiskach Goszczyńskiego. Zofia podzieliła zapewne niechęć siostry. Władysław Mickiewicz w swoim *Żywocie* mówi o Zofii Szymanowskiej, iż „nieprzygotowana do roli, której się podjęła, nie była też w stanie sprawiedliwie ocenić otoczenia poety. Gorszyła się obdartymi emigrantami, którzy Adama i Celinę nazywali bratem i siostrą... Język sprawy był jej najzupelniej obcy... Z obawą przystępowała tak do samego poety, jak do jego żony”... Ale równocześnie czytamy w liście Celinę Mickiewiczowej do siostry Heleny Malewskiej (czerwiec 1851) to świadectwo:

Trudno ci wyrazić, moja Heleno, jaką dla mnie pociechę mieć przy sobie taką miłą i dobrą, i pełną poświęcenia istotę jak Zosia, która rozumie nasze położenie i w tym tęsknym życiu, jakie pędzimy, rozczuła swoją swobodą i uprzyjemnia talentem...

Te bardzo sprzeczne relacje podane tuż obok siebie... Bo też cała ta broszura Władysława Mickiewicza pt. *Moja matka* jest ciągłym lawirowaniem wśród tematów, o których widocznie mówić mu jest trudno. Rozumiemy i szanujemy te trudności, ale po cóż mu czynić się dziejopisem spraw, o których nie chce czy nie może powiedzieć prawdy?

Obecnie, kiedy mamy skądinąd klucz do tych niedomówień, rozumiemy je o wiele lepiej; mimo to pozostają one wciąż bardzo tajemnicze.

W *Żywocie Adama Mickiewicza* cytuje Władysław Mickiewicz ustęp z pamiętnika Zofii Szymanowskiej, który był w jego rękach. Cytat ten musi pochodzić z owej drugiej części, która przepadła bez wieści... Widzimy tam obraz przemiany, jaką Zofia przechodziła:

...zaczęło się budzić u mnie jakieś żywsze dla rodziny Mickiewiczów uczucie. Najprzód codzienne widywanie Adama, słuchanie go wywierac zaczęło na mnie wpływ konieczny. Kto poznał bliżej Mickiewicza, wie, ile razem mądrości, dobroci, czucia głębokiego znajdowało się w jego rozmowie najprostszej na pozór. Słuchając go, coraz więcej uczuwać zaczęłam, że sposób mój życia obecny jest jakiś nienormalny, że znajdując się blisko takiego człowieka, moją powinnością jako Polki i istoty myślącej jest starać się korzystać ze światła jego, a ja przeciwnie dotąd niejako zasłaniałam oczy przed tym światłem. Następnie i z siostrą obcowanie zmieniło pierwsze moje dla niej uczucie: im dłużej z nią byłam, tym wyraźniej wyczytywałam na twarzy jej wyryte cierpienia: widziałam też, jak z wysileniem chodziła koło domu, by o ile możliwości pełnić obowiązki matki i żony, a widno było, że jej sił nie stawało, a nigdy skargi od niej nie słyszałam na los tak ciężki...

Ten ustęp z zaginionej części pamiętnika nie budzi chyba przeświadczenia, aby cały pamiętnik miał być plotkarskim paszkwilem — za jaki go, niepojętą „metodą naukową”, ten czy ów czeladnik brązowniczy<sup>24</sup> chce — na nieznanie! — przedstawić.

Ale — pisze Władysław Mickiewicz — panna Zofia tego czulszego usposobienia nie rozciągała bynajmniej do przyjaciół Adama. Kilku z nich wprawdzie u niej łaskę znalazło, innym wypowiedziała wojnę, próbując ich z domu wydalić i wyobrażając sobie, że tym wyświadczy usługę i szwagrowi, i siostrze. Chociaż szczerze oddana i pani Celinie, i jej dzieciom, wpływ jej często mącił spokój domowy. Dzieci podburzała przeciw ludziom, z którymi

<sup>24</sup>pamiętnik miał być plotkarskim paszkwilem (...) — Patrz *Przypisy* [dalej w tej publikacji; red. WL]. [przypis autorski]

Adam żył, których kochał i cenił. Siostrę swoją zachęcała do biernej opozycji, słusznej względem paru osobistości, dla których poeta okazywał zbyt wielką pobłażliwość, ale nieuzasadnionej względem innych, którzy stawiali się ofiarą kobiecych kaprysów.

Po roku pobytu w domu Adama Zofia Szymanowska wyjeżdża na kilkanaście miesięcy do Rzymu, a Mickiewiczowie powierzają jej szesnastoletnią córkę. „Zofia Szymanowska — pisze Władysław (*Moja matka*) — przedstawiała się jako doskonała przewodniczka wśród tego natłoku arcydzieł, jakim jest Rzym, a w Paryżu naprzykrzyła się już trochę otoczeniu ojca, ponieważ częstą niechęć objawiała osobom zajęтым zadaniami dla niej niepojętymi”.

Zofia Szymanowska wraca do Paryża w kwietniu 1853 r., w połowie czerwca wyjeżdża do Warszawy, skąd datowany jest w r. 1854 jej pamiętnik. W listopadzie 1854 r. znów jest w Paryżu, aby pomagać w staraniach przy chorej. 5 marca 1855 r. Celina umiera; Zofia jest obecna przy śmierci. Scenę tę przedstawia syn poety tak:

Wzięła Zofię za ręce i rzekła do niej: „Pozostawiam ci sześćoro moich dzieci”. W tej dopiero chwili dwie te tak mężne kobiety i ten mąż tak energiczny nie zdołali się powstrzymać. Wszyscy troje objęli się jednym uściskiem i zapłakali, a Zofia, opowiadając mi to, zalana była łzami, z twarzą bladą i zmienioną prawie jak nieboszczka. (IV, 393)

Sprawę „zaręczyn” przedstawił Władysław Mickiewicz odmiennie: „Po zgonie swej siostry (pisze) panna Zofia Szymanowska ofiarowała ojcu memu rękę swoją, by skuteczniej opiekować się siostrami. Nie zdawała sobie sprawy, jak dalece jej przekonania różniły się od przekonań mego ojca. Natychmiast po śmierci siostry stłukła piękny dagerotyp pana Andrzeja (Towiańskiego) wiszącego w pokoju nieboszczki. Ojciec mój chłodno odmówił jej propozycji.

Wkrótce po tych wypadkach Adam Mickiewicz wyjechał na Wschód, skąd nie miał już wrócić. Jedyne list, jaki napisał do Zofii Szymanowskiej z drogi, w niczym w istocie nie świadczy, aby czuł się związanym z nią tym węzłem, który ona „uważała odtąd za swój święty obowiązek”. Czy pod silnym wrażeniem poety uległ niemej woli Celiny, obawiającej się dłań innych wpływów? Czy rychło później wpływy te odzyskały swoją moc? Dość wymowne są te dwie relacje Władysława Mickiewicza:

Jeżeli pani Celina świat opuszczała nie zachowując urazy do nikogo, siostra jej, panna Zofia Szymanowska, nie pohamowała gniewu swego przeciw towianistom. Mickiewicz, nie chcąc, aby syn jego uległ jej podżeganiom, opowiedział mu przy zwłokach żony o dawniejszej chorobie pani Celiny, o dowodach największego poświęcenia, jakie mu dali przyjaciele, którzy tygodniami inaczej nie sypiali, jak na podłodze, aby na pierwsze skinienie być mu pomocą, i nie pozwolić mu upaść na duchu w najrozpaczliwszym położeniu... (IV, 394)

Panna Szymanowska krzywo patrzyła na niektóre osoby bywające w Arsenale, syn zaś Adama namiętnie się za nimi ujmował. Mickiewicz wieczorem 10 września odezwał się do starszego syna: „Zostaw kaprysy kobietom, prowadź się po męsku i pracuj, inaczej sam na tym pierwszy ucierpisz”... (IV, 418)

Zdaje się, że Zofia Szymanowska wydała walkę wpływowi Ksawery i że tę walkę przegrała. Czy wchodziło tu w grę oddanie siostrze i kult dla poety, czy też kryły się w jej sercu inne, żywsze dłań uczucia, nie wiemy. Nie wiemy, co były za „skały”, o których mówi Lenartowicz, a o które „potłukł się jej statek”. W dwa lata po spisaniu relacji o tych zaręczynach, a w pięć lat po śmierci Adama, wyszła za mąż za innego poetę, za Teofila Lenartowicza; ale małżeństwo to wydaje się aktem współczucia i rezygnacji. Oto, jak Lenartowicz opisuje ten związek w liście do dawnej przyjaciółki, Tekli Zmorskiej (odpisy Biegeleisena).

Florencja, 15 października 1861

...żądaś ode mnie szczegółowych wiadomości o moim związku. Oto co ci o nim najważniejszego mogę powiedzieć — że kobieta, z którą się połączyłem, ma siłę żyć ze mną jak przyjaciel z przyjacielem, bez pieszczot, bez romansów, bez czułości, na które w dzisiejszym czasie nie ma czasu i które we mnie już by nie wiem jak jeśli nie grzechem nazwać. Ona pracuje na utrzymanie życia i ja jak mogę, bo nic nie posiadamy, żadnego kapitału, żadnych innych funduszy nad to, co się zapracuje. Wieczorami czytamy książki, od rana ja w bibliotece, ona w galerii, obiady nasze nie zaprawione wesołym śmiechem, u nikogo nie bywamy, z nikim nie mamy stosunków...

Związkowi mojemu był obecny obszarpany zakrystian — ksiądz Włoch połączył nas, a na kolację jedliśmy chleb dobrze posolony i o przyszłości swojej mówili jak owi, którzy na potłuczonym o skały statku wybierają się na morze...

Sądziłem, że w związku z poprzednimi dokumentami i ów akt „zaręczyn” Zofii Szymanowskiej zasługuje na ogłoszenie. To jeszcze jeden słaby błysk światła w głębokim mroku zdarzeń, które może z czasem uda się rozjaśnić.

#### DROGI GENIUSZU

Poprzednie moje rozważania wywołały dość żywe poruszenie, żywsze w każdym razie, niżby można sądzić z drukowanych o nich enuncjacji. Bo u nas od dawna zakorzeniły się — zwłaszcza gdy chodzi o naszych wielkich — tradycje podwójnej wiedzy: jedna ustna, druga pisana. To, co uczeni lub literaci mówią między sobą, często nie ma nic wspólnego z tym, co w danej sprawie piszą. Miejmy nadzieję, że ten stan, wynikły z anormalnych warunków naszego niedawnego życia, zmieni się; bo zdrowe to nie jest. Na dłuższy dystans wywarło to skutki dość oplakane; ciągnęła nauka „dla pokrzepienia serc”, dla zbudowania młodzieży, znudziła wszystkich, nawet jej producentów. Zdarza się, że zaczynają nienawidzić swoich bożyszczów, znudzeni tym, co o nich klepią, dławieni tym, czego o nich nie mogą powiedzieć, a nie umiając „scalkować” wszystkiego. Bo zważmy ten okrutny paradoks: ci, którzy najgorliwiej odlewają posągi z brązu, ci właśnie posiadają zazwyczaj w ręku wszystkie dokumenty, przekonywające ich, jak dalece bohater ich odległy był od tego, co zeń robią, jak bardzo był inny i — powiedzmy to od siebie — bardziej interesujący. Ale raz wszedłszy na drogę brązowniczą, nie wiedzą, jak z niej wybrnąć.

Byłem świeżo w Krakowie, gdzie zetknąłem się po trosze ze światem uczonych. Najmilszy świat, dla niego wciąż będę tęsknił za Krakowem! Jak zawsze, krążą tam anegdotki, ploteczki, złośliwości, w których celują ci magowie, tak często zmuszeni ukrywać uśmiešek pod maską powagi. Toga profesorska w Krakowie przynajmniej — ma jeszcze coś z sukienki kapłańskiej. Tym razem komentarze obracały się dokoła niedawnej śmierci zasłużonego mickiewiczologa, prof. Kallenbacha. Przysłuchuję się rozmowie. Jeden z uczonych ryzykuje paradoks, że Kallenbach „nienawidził” Mickiewicza, że nie ominął żadnej sposobności, aby go skompromitować, bijąc niby to wciąż przed nim pokłony. Oczywiście paradoks taki dobry jak inny. Zastanawiają się nad tym, jakie tajemnice wziął z sobą do grobu Kallenbach, on, który znał na wylot wszystkie archiwa mickiewiczowskie<sup>25</sup>; czy zniszczył swoje notaty i papiery, aby z nich nikt nie korzystał itd. Ktoś miał zapytać innego znakomitego uczonego, profesora, którego z prof. Kallenbachem łączyła długoletnia wzajemna pełna kurtuazji niezyczliwość: „Jak pan sądzi, czy Kallenbach zwierzył komu przed śmiercią, co on naprawdę myśli o Mickiewiczu?” — „Powiedziałby z pewnością, że to była skończona ś...” — odpowiedział profesor. Niewinny żart, oczywiście: brązownicy *en pantoufles*.

<sup>25</sup>Kallenbach (...) znał (...) wszystkie archiwa mickiewiczowskie — A jednak nie wszystkie! Sam Kallenbach opowiadał taki fakt. Kiedy przed laty zabierał się do monografii o Mickiewiczu, odwiedził m.in. Artura Wołyńskiego w Rzymie, w nadziei, że u niego znajdzie jakieś materiały. Wołyński pokazał mu dużą tekę i rzekł: „Gdyby pan wiedział, co się w tej tece znajduje, dałby pan za to nie wiem ile, bo tu są właśnie rzeczy pierwszorzędnej wagi do sprawy, która pana obchodzi. Ale niestety nie mogę panu ich udzielić”. To rzekłszy, wyszedł z pokoju i pół godziny nie wracał. Kallenbach nie tknął teki; dopiero później, powiada, zrozumiał, że Wołyński, widocznie związany jakimś przyrzeczeniem, chciał mu zostawić sposobność zapoznania się z teką, nie biorąc na siebie odpowiedzialności. W ogóle z którejkolwiek strony tknąć sprawy Mickiewicza, wszędzie mrok, tajemnica; wszędzie, przy wielkiej mnogości słów, konspiracja milczenia! [przypis autorski]



Wobec takich nastrojów nic dziwnego, że echa moich artykułków dochodziły mnie raczej pocztą pantoflową niż za pośrednictwem druku. „Chwała Bogu, że ktoś ruszył ten brząz, będzie można swobodniej oddychać” — miał się wyrazić o nich jeden z przysięgłych brązowników. A co za listy dostawałem: „Wziął się kochany pan do tego okresu życia Mickiewicza, który jest najbardziej ze wszystkich i najgruntowniej załgany, tak samo zresztą jak cały towianizm” — pisze do mnie jeden z badaczy, który się jakiś czas sumiennie zajmował towianizmem, a który — może przez nieśmiałość — zachował na prywatny użytek szereg wniosków, do których doszedł. Ten i ów z najpoważniejszych firmowych uczonych udzielił mi półgłosem takich szczegółów, że ja sam, mimo że odważniejszy, nie ośmieliłbym się ich powtórzyć. Skąd oni je znają? Licho wie. List p. Witolda Bełzy świadczy, że istniała w tym przedmiocie cała „tajemna wiedza”, którą sobie przekazywano przy zamkniętych drzwiach, z ust do ust, odbierając zakłęcia wiekuistego milczenia, że palono listy, niszczone dokumenty lub chowano je w mroku, rzecz prosta, że im dalej w lata, tym bardziej ta poufna wiedza grozi zatraceniem się.

Skoro mowa o Krakowie, jeden z tamtejszych uczonych przytoczył mi szczegół rzucający pewne światło na pochodzenie Ksawery. Zainteresowany tym zagadnieniem profesor przytoczył mi swoją dawną rozmowę z Józefem Albinem Herbaczewskim, obecnie profesorem w Kownie. Herbaczewski snuł przed nim plan zamierzonego dramatu, będąc zaś mistykiem i wizjonerem, wierzył w realność stworzonych przez siebie postaci. Mówił o kobiecie, która stanęła na drodze jego życia — jakaś ruda Salome — Żydówka — „ta sama (dodał), która kusila Mickiewicza — Teufel — Deybel — diabeł”. Wynikałoby z tego, że istniała tradycja zarówno żydowskiego pochodzenia Ksawery jak jej oddziaływania na życie poety. Może Herbaczewski, o ile go dojdą te słowa, powie nam coś bliżej o tym.

Ale do tych spraw jeszcze powrócę, na razie chodzi mi o co innego. Z okazji mojej do znudzenia już omawianej przedmowy do dzieł Mickiewicza zaczepiano mnie zwłaszcza o jeden punkt, którego zresztą dla szczupłości miejsca nie mogłem rozwinąć, mianowicie o stosunek Mickiewicza do powstania listopadowego. Jak dalece punkt ten jest drażliwy, dowodzą ataki, jakie mnie spotkały, i to z różnych stron: z jednej strony — niepoczytalne wybryki szowinistów-analfabetów, wychowanych na jątrzącej literaturze pewnych dzienników, ale skądinąd nagany ludzi, o których wysokiej kulturze i dobrej woli nie mam powodu wątpić. A wszak ja nie uczyniłem nic innego, tylko starałem się oświetlić stan duszy poety, opierając się na własnych jego wyznaniach. Tak dalece wszystko, co dotyczy Mickiewicza obmurowane jest konwenansem, rutyną fałszywego pietyzmu! Pozwolę sobie tedy w kilku słowach uzasadnić to, czego tam, ograniczony miejscem, zaledwie mogłem dotknąć.

Każdego, kto czytał po porządku w lwowskim wydaniu dzieł korespondencję Mickiewicza, musiał uderzyć jego list do zmoskwionego Polaka, Tadeusza Bułharyna, pisany z Berlina dn. 12 czerwca 1829 r., tuż po opuszczeniu Rosji. List ten zawiera następujący ustęp:

Odebrałem tu z Warszawy wiadomość o koronacji i pełne entuzjazmu opisy uczt i zabaw. Ja tam nie byłem! Podzielał tylko z daleka szczęście moich spółrodaków... Donoszę ci tylko, że Cesarz nasz jest teraz w Berlinie przyjmowany z entuzjazmem i że, jak powszechnie słychać, rad był z pobytu w Warszawie i Cesarzowa łaskawie wspominała o serdecznym uniesieniu, z jakim przyjęta była od mieszkańców polskiej stolicy. Tyle nowin politycznych...

List do Bułharyna też ma swoją historię czy też swoją legendę. Opowiadał mi ją jeden z „mickiewiczologów”, zajmujący się zwłaszcza epoką rosyjską poety. List ten mianowicie dostał się do rąk Włodzimierza Spasowicza; Spasowicz przesłał go krakowskiej Akademii Umiejętności. Otrzymawszy ten dar, Akademia jakoby zastanawiała się poważnie, czyby tego listu nie spalić dla dobra pamięci wieszczka. Ale kopię listu posiadał, również od Spasowicza, Piotr Chmielowski. Widząc, że Akademia nie kwapi się ze spożytkowaniem listu i słysząc o grożącym mu zniszczeniu, ogłosił go w dodatku do swej monografii z następującym przypiskiem: „Autograf znajduje się obecnie w zbiorach biblioteki Akademii Umiejętności w Krakowie. Przytaczam list ten według kopii udzielonej mi przez

p. Włodzimierza Spasowicza”. W ten sposób Chmielowski stworzył fakt dokonany, list do Bulharyna przeszedł do zbiorowych wydań.

Nie wiem, o ile historyjka ta jest ścisła. Parę osób, których pytałem o to w Krakowie, nie znało jej. Może owe wahania, przypisywane Akademii, odnoszą się raczej do ówczesnego prezesa Akademii, Stanisława Tarnowskiego, na którego ręce zapewne list ów Spasowicz przesłał. To by było prawdopodobniejsze; skądinąd opowiadano mi, jak żywo Tarnowski, będąc w Paryżu, wyrażał Władysławowi Mickiewiczowi zdziwienie, że ten nie zniszczył „jeszcze” dokumentów dotyczących działalności Adama Mickiewicza z epoki „Trybuny Ludów”. Powtarzam: może nie każda z tych relacji jest dosłownie ścisła, ale to pewna, że oddają one atmosferę, w jakiej tworzyła się nasza „wiedza” o Mickiewiczu.

List do Bulharyna, mimo że go ogłoszono, pozostał prawie nieznan. Nie wyciągnięto zeń konsekwencji, nie cytuje się go prawie. I dosyć zrozumiałe jest, że list ten sprawił uczonych w zakłopotanie w momencie, gdy praca brązownicza wrzała na całej linii. Takich zakłopotañ dostarcza Mickiewicz więcej. Niesamowita jego indywidualność jakże trudno poddaje się konwencjonalno-pomnikowemu ujęciu jego biografów. Dla nich bieg życia Mickiewicza jakże jest prosty i jasny! Od wczesnej młodości filomata, patriotyczny konspirator, za spiski wtrącony do więzienia, gdzie Gustaw zmienia się ostatecznie w Konrada, potem męczennik, wygnaniec do Rosji, gdzie tęskni za Polską i tworzy *Wallenroda*, potem tułacz, wódz duchowy narodu itd. W tym „ludowym” wydaniu dziejów Mickiewicza antydatowano niejako trzecią część *Dziadów*, która odnosi się do wypadków wileńskich z r. 1823, ale pisana jest w r. 1832 po upadku powstania, zacierano tak zasadnicze różnice perspektyw i nastrojów sprzed r. 1830, a po r. 1830... W moim szkicu starałem się zwrócić uwagę na to nieporozumienie.

Znalazłyby się i inne nieporozumienia. Np. pobyt w Rosji. Wygnaniec, zapewne... Ale biorąc po ludzku, kiedy się czyta listy Mickiewicza, widzi się, że prawdziwym jego wygnaniem było raczej — Kowno. Jak on się tam męczy, jak się tam szamoce, bez żadnej prawie nadziei wyrwania się! Zamknięty w małym miasteczku, przykuty do żmudnej pracy nauczycielskiej, mając za całą osłodę korespondencję z dawnymi kolegami, których przerósł o wiele głów, którzy go niecierpliwą i nudzą, ten namiętny czytelnik Byrona rozdyma nozdrza, żądny wielkich burz i wielkich wzruszeń, których miłość do Maryli jest dlań coraz mniej zadowalającym surogatem. Filomaci! Wydano wiele tomów ich korespondencji; wydaje mi się z niej, że rozdymanie działalności tego bardzo szanownego stowarzyszenia młodzieży przez niektórych naszych komentatorów jest dość sztuczne. Zresztą Mickiewicz, od paru lat w Kownie, coraz bardziej odchodził duchem od tych wileńskich towarzyszy młodzieńczych wlotów. W tej epoce dochodzi do tego stanu, że brzydnie sam sobie, brzydą mu drudzy, przychodzi ciężki kryzys. W tych warunkach uwięzienie było dlań wybawieniem. Nareszcie coś w dużym stylu, coś co go wyrывa z miernoty i szarzyzny, z błędnego koła beznadziejnej miłości, która zaczynała jemu samemu wydawać się śmieszna i głupia. Zesłanie do Rosji było wygnaniem, ale i wyzwoleniem; było, można powiedzieć, najszcześniejszym wydarzeniem w życiu Mickiewicza i on też tak na to patrzy. Faktem jest, że pobyt w Rosji odegrał w życiu duchowym Mickiewicza olbrzymią rolę. Dla tego mieszkańca Wilna i Kowna, który nawet Warszawy nie znał i który jej na nieznane nie lubił, Rosja była Europą. Olsniła go nie potęgą państwową, ale wyższością kulturalną, tak przynajmniej on sam patrzy wówczas na to. Dostał się w środowisko nareszcie godne siebie, poznał ludzi pierwszorzędných, on, wprzód skazany na towarzystwo najzacniejszych z pewnością Zanów i Czeczotów, którzy mu cenzurowali i poprawiali wiersze; skromny nauczyciel kowieński, tu przyjmowany na równej stopie wśród najwyższych, wieńczony, fetowany... Nie sądzę, aby tak przyjmowano Mickiewicza, gdyby z Kowna przeniósł się był do Warszawy... To były najpełniejsze, najszcześniejsze lata jego życia, tam osiągnął samowiedzę swego geniuszu, nauczył się zarazem sądzić rzeczy z wysoka. Toteż warto czytać listy, jakie pisze do swoich przyjaciół bawiących w Warszawie, do Odyńca i innych, z jakim politowaniem patrzy na ten partykularz: „... artykuł tak zdrowo pomyślany i tak dobrze po polsku napisany, że wierzyć nie mogę, aby w Warszawie wziął początek... Te dwa artykuły pocieszyły nas nieco, zasmuconych widokiem waszej literatury”...

To znów gdzie indziej: „Nie mogę bez żalu pomyśleć o straszliwej u was literackiej stagnacji”...

Wszystko mu się wydaje w Warszawie równie głupie, zarówno krytyki jak pochwały, jakie go spotykają. I charakterystyczne są te zwroty: „u was”, „wasza literatura”. Czy to jest antypatia do „warszawianizmu” (choć Odyniec, do którego to pisze, był przecież Litwinem!), czy też jest nieświadomym przedsmakiem separatyzmu litewskiego<sup>26</sup>? Bo zważmy, że przecież Mickiewicz, poza krótkim i późniejszym pobylem w Poznańskim, nigdy w „Polsce” nie był. To też jeden z paradoksów życia!

W czasie tedy, gdy w Warszawie areopag literacki zwalczał go namiętnie lub przedrzeźniał zjadliwie, w Rosji przyjęto go jednogłośnie entuzjazmem, obwołano pierwszym poetą słowiańszczyzny. Wygnaniec ten cieszył się szczególnymi względami, zostawiono mu swobodę życia i tworzenia, zwalniając go od innych obowiązków. Jak serdeczne i mocne były stosunki przyjaźni zadzierzgnięte z Rosjanami, dowodzi choćby wspomniany przez p. Wacława Lednickiego fakt, że w wiele lat później grono przyjaciół moskiewskich, dowiedziawszy się, że Mickiewicz jest w Paryżu w biedzie, zebrało ogromną na owe czasy sumę pięciu tysięcy rubli i przesłało ją poecie, i poeta — on, tak dumny — mógł ją przyjąć! Rzecz prosta, że jego stosunek do Rosji w owych latach pobytu w Moskwie i Petersburgu, musiał być odległy od konwencjonalnych pojęć w tej mierze, wynikłych z przenoszenia wstecz późniejszych stanów duszy. Wówczas Nowosilcow nie był dla Mickiewicza symbolem Rosji, ale przykrym epizodem; wówczas mógł być dlań „naszym cesarzem” ten sam Mikołaj, który w dwa lata potem stanie „mocarzem jak Bóg silnym, jak szatan złośliwym” — „synem Wasilowym”, który polską koronę „ukradł i skrwawił”... I dlatego, gdyby nawet przyszło nam się zastanawiać, czy listu do Bułharyna nie trzeba brać jako „wallenrodyczną” ironię<sup>27</sup>, można by odpowiedzieć, że nie, tak samo, jak owej przedmowy, mimo że niewątpliwie pisanej na żądanie cenzury, którą przypomina mu zjadliwie<sup>28</sup> w roku 1845 „Orzeł Biały” (nr. 8 z dn. 15 czerwca 1845 r.) w Paryżu. Oto artykuł tego emigracyjnego pisma:

Ogłaszamy drukiem udzieloną nam kopię przedmowy do *Dziadów*<sup>29</sup> przez Adama Mickiewicza w 1829 roku pisaną i na czele tegoż dzieła umieszczoną. Ogłoszenie to użytecznym być może nie tylko publiczności, lecz jeszcze i samemu Adamowi Mickiewiczowi, który jeśli uzna stosowność i potrzebę tego, twierdzenia teje przedmowy zmieni i poprawi. Oto jest ta przedmowa:

„Trzecie to dzieło polskie ogłaszam w stolicy Monarchy, który ze wszystkich królów ziemi liczy w państwie swoim najwięcej plemion i języków. Będąc zarówno ojcem wszystkich, zapewnia wszystkim wolne posiadanie dóbr ziemnych i droższych jeszcze dóbr moralnych i umysłowych. Nie tylko poddanym swoim istniejącą wiarę, zwyczaj i mowę, ale nawet zatracone albo do upadku chylące się pamiątki dawnych wieków jako dziedzictwo należne przyszłym pokoleniom wydobyć i ochraniać rozkazuje. JEGO szczodrobliwośćią wsparci uczeni przedsięwzięją pracowite podróże dla wyśledzenia i zachowania pomników fińskich; — JEGO opieką zaszczycone towarzystwa uczone kształcą i pielęgnują dawną mowę Lettów, pobratymców litewskich. Oby imię Ojca tylu ludów we wszystkich pokoleniach wszystkimi językami zarówno sławione było!

Adam Mickiewicz”  
Petersburg, 1829

<sup>26</sup>antypatia do „warszawianizmu” (...) separatyzmu litewskiego — Kiedy czytamy w *Korespondencji* listy tych filomatów, którym wypadło czasowo bawić w Warszawie, widzi się głęboką antypatię, jaką ci młodzi Litwini żywią dla stolicy Polski. [przypis autorski]

<sup>27</sup>czy listu do Bułharyna nie trzeba brać jako „wallenrodyczną” ironię — Jeden z najwybitniejszych polonistów pisze do mnie: „List do Bułharyna naturalnie że nie jest »wallenrodycznym«, tylko owocem wiary Mickiewicza w Rosję, wiary, którą rozwił dopiero rok 31”. [przypis autorski]

<sup>28</sup>przedmowy (...) pisanej na żądanie cenzury — Jak długo utrzymywały się na emigracji te antimickiewiczowskie nastroje, dowodzi fakt, że kiedy w wiele lat po śmierci poety Lenartowicz miał we Florencji wykłady o Mickiewiczu, otrzymał następujący list: „Dziekiem jesteś, jeżeli uważasz Mickiewicza za patriotę. Cyprian Norwid”. Lenartowicz przytacza to w liście do pani Bośniackiej, autorki *Obrony Częstochowy* (List ten znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie). [przypis autorski]

<sup>29</sup>przedmowy do „*Dziadów*” — Ta relacja „Orła Białego” jest błędna; ustęp ten mieści się w przedmowie do drugiego wydania *Wallenroda*, w dwutomowym wydaniu *Poezji* (Petersburg, 1929). [przypis autorski]

Otóż podziwiamy zjawisko, które można by nazwać „autonomią geniuszu”. Podczas gdy Mickiewicz sławi imię „ojca tyłu ludów”, a wybrzydza się na Warszawę, młoda Warszawa chłonie jego poezję, powtarza jego *Odę do młodości*, czyta z uniesieniem *Konrada Wallenroda*. I w dojrzewającym nastroju rewolucyjnym Warszawy, o którym on sam nic nie wie, jego poezja ma potężny udział. Gdy on żałuje, że nie był na koronacji cara w Warszawie, tam, rychło po spisku koronacyjnym, dojrzewa czyn rewolucji. „Słowo stało się ciałem a Wallenrod Belwederem” — powie Aleksander Chodźko. Poezja Adama Mickiewicza wyszła z niego samego i działa już zupełnie samoistnie, przybierając znaczenie, o jakim on może dla niej wówczas nie myślał. Jest to jeden z najciekawszych dokumentów działania literatury i załamywania się jej promieni w różnych środowiskach lub — weźmy porównanie z innej dziedziny — tworzenia w różnym środowisku różnych chemicznych połączeń.

I kiedy w czasie pobytu Mickiewicza we Włoszech wybucha powstanie, którego on jest współtwórcą, niemal ojcem, on sam najbardziej jest nim zaskoczony! Czyż to wszystko to nie jest komentarz do niezdecydowanej postawy Mickiewicza, z którą biografowie jego nie bardzo wiedzą, co począć? I oto nowy tragiczny paradoks: tuż po wybuchu rewolucji jedno z pismek powstańczych, „Podchorąży”, rozpoczyna pierwszy numer (8 grudnia 1830) *Odę do młodości*; a niebawem powstaje wiersz Maurycego Gosławskiego skierowany do jej autora, *Do Adama Mickiewicza, bawiącego w Rzymie podczas wojny narodowej*, wiersz mający za motto ustęp z... *Konrada Walenroda* („Gdybym był zdolny własne ognie przelać” itd.), a kończący się krwawą strofą:

Zbudzony tej wieści echem.  
Śpiesz, dalekie rzucaj Rzymy,  
Śpiesz, bo jeśli zwyciężymy.  
Wstyd będzie bez zasługi polskim tchnąć oddechem!

Jeśli padniem pod gruzami  
— Wieszczu! — wtedy w dniach boleści  
Niewart grobu dzielić z nami —  
Kto nie dzielił krwi i cześci!

Oto parę wyjaśnień, oto parę dokumentów, nienowych oczywiście, ale pomijanych, jak wszystko, co nie nadaje się dla odlewni brązu. Dość chyba jasne jest, że kiedy pisałem moją przedmowę do dzieł Mickiewicza, nie chodziło mi o to, aby sądzić jego postępowanie w tych chwilach, ani też — jak mi to dziecinnie zarzucał jeden z polemistów — „wymawiać Mickiewiczowi, że nie poszedł do wojska”. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na opinię takiego militarysty? Chciałem jedynie przedstawić jeden z najciekawszych konfliktów, jakie znają dzieje literatury; dramat duchowy, jaki przechodził Mickiewicz; chciałem wskazać, że drogi jego były może inne, niż się to zazwyczaj w konwencjonalnym uproszczeniu przedstawia. I ten dramat wewnętrzny, w którym poeta znalazł się — po upadku powstania — bliski samobójstwa, pomaga nam pojąć ten olbrzymi ładunek, który wystrzelił w trzeciej części *Dziadów*. Jednym rzutem oka objął przepaść, jaka powstała między nim a narodem, przesadził tę przepaść jednym skokiem geniuszu i znów znalazł się na czele, i już na zawsze.

#### *Advocatus diaboli*

Jeszcze słówko o Towiańskim. Kiedy się zetknąć choć trochę ze stosunkiem naszej historii literatury — wczorajszej i dzisiejszej — do Towiańskiego, uderza jedno: zasadnicza zmiana tonu. Gdy epoka Chmielowskich i Spasowiczów odnosi się do osoby i działania Mistrza nader krytycznie, w pewnym momencie można spostrzec znamienne przewartościowanie. Nie byłoby w tym nic nienaturalnego: takie przewartościowania są rzeczą dość częstą; ale uderza to, że tu nie ma ono swego odpowiednika w dorobku faktycznej wiedzy. Jest to raczej zmiana nastawienia uczuciowego niż pogłębienie wiadomości, niż odkrycie nowych źródeł, wyzyskanie nowych dokumentów. Wręcz przeciwnie: jak to już wielokrotnie zaznaczyłem, „wiedza” o Towiańskim coraz bardziej gardzi dokumentami i realnością, coraz bardziej odrywa się od ziemi i na skrzydełkach zachwycenia wzbija się

w obłoki. Zdaje mi się, że jako datę przełomu można by przyjąć epokę „Młodej Polski”; reakcja przeciw pozytywizmowi, Przybyszewski i jego bezkrytyczny nieraz kult mistycyzmu, prof. Wincenty Lutosławski<sup>30</sup>, którego osobistość i akcja są poniekąd nawiązaniem do towiańszczyzny itd. Ta epoka poddała nauce o Towiańskim nowy ton, wedle którego zaczęto grać we wszystkie dudki. Trąci to wręcz rodzajem kanonizacji; przyjęte jest obecnie w nauce mówić o mistrzu Andrzeju z pobożnym skupieniem, rozprawia się z jego powodu o „psychologii świętości”. Otóż, aby kanonizacja była ważna, brak jej pewnej formalności, której surowo przestrzega Watykan; mianowicie, przed każdą kanonizacją przychodzi tam z urzędu do głosu tzw. *advocatus diaboli*. Ten „advokat diabła” ma prawo dawać folgę wszystkim wątpliwościom, wyciągać przeciw kandydatowi na świętego najgorsze podejrzenia i dopiero jeżeli nowy świętek wszystkie zarzuty przebędzie zwycięsko, wówczas można myśleć o dalszej procedurze kanonizacji. Taki advokat diabelski tutaj od dawna nie miał głosu. Przeciwnie, obrano dziwny system. Nie mamy ani jednej historii Towiańskiego (zwłaszcza z przedparyskiego okresu) opartej na dokumentach; wszystko jest powtarzaniem tych samych powiastek, które przeważnie on sam opowiadał swoim uczniom, a ci podali potomności.

Nie ma tendencji do krytycznego rozróżnienia między faktem a legendą. Pomija się świadectwa współczesnych dla mistrza Andrzeja niekorzystne, kwalifikując je jako „plotki”; ale przyjmuje się lada bajdę, utwierdzającą świętość i rozumy Mistrza. Znamienne jest, że jedna z najuczęszszych w Piśmie komentatorek Towiańskiego, p. Gąsiorowska, oświadcza na wstępie do swojej pracy, że będzie przyjmowała z największą ostrożnością relacje innych o Mistrzu, oprze się natomiast z całym zaufaniem na... relacjach uczniów, którym Mistrz pewne fragmenty swego życia odsłonił. W rezultacie o tym życiu mniej wiemy naprawdę niż o życiu Mahometa; nie do uwierzenia jest, aby człowiek, który umarł zaledwie pięćdziesiąt lat temu, mógł stać się tak dalece mitem. Jasne też jest, że człowiek mniący się prorokiem i zakładający rodzaj kościoła, pierwszy tworzy swoją legendę, stąd zapewne widzimy także sprzeczności między sądami dzisiejszych apologetów Mistrza a współczesnymi opiniami ludzi postronnych. Co więcej, widać nawet tendencję nietykania tej sprawy, pomagania formacji mitu. Nawet łatwo dostępne źródła wyzyskuje się niezmiernie stronniczo, jak np. *Dziennik Sprawy Goszczyńskiego*, z którego można by wyczytać zupełnie co innego, niż się to czyniło dotąd.

To uczucie dowolności mam ciągle. Kiedy np. w książce o Słowackim prof. Kleinera, zwykle tak dobrze udokumentowanego, czytałem ustępy o Towiańskim, mimo woli wciąż stawiałem ołówkiem znaki zapytania, miałem ochotę pytać: „skąd pan profesor to wie?” (Przepraszam za moją bezceremonialność, ale wchodzę na chwilę w prerogatywy owego advokata). W ogóle prof. Kleiner zajmuje wobec Towiańskiego stanowisko dość niezdecydowane; woli z nim nie zadzierać. Z jednej strony nasuwa mu się, jak mówi: „przypuszczenie, może niezbyt sympatyczne, że Towiański, przybywający do Paryża z nieokreślonymi jeszcze szczegółowo planami i szukający niewątpliwie dróg odpowiednich, zetknął się z nową sektą, że wziął od niej (może w sposób niewiadomy samemu Vintrasowi) nazwę, organizację, emblematy, idee pewne, że wchłonął jej tendencje tak samo, jak wchłonął kierunek mistyczny emigracji polskiej” — przy czym Towiański przedstawia się w tej ocenie prof. Kleinera jako kombinator, zapożyczający się u owego Vintrasa, który fabrykował cud „krwawych hostii” za pomocą ukrytej flaszeczki z olejkiem różanym i skończył swoją karierę w kryminale, z drugiej strony znów prof. Kleiner, rywalizując w tej pokątnej dewocji z prof. Pigionem, robi z Towiańskiego niemal świętego, wielbi jego współczucie, poczucie odpowiedzialności, umiejętność kierowania innymi i leczenie chorób duszy. Przykłady dowodziłyby raczej, że miał wybitny dar wpędzania w choroby duszy...

Fantazjuje się bez żadnego poparcia, unikając jak ognia skonfrontowania tych fantazji ze świadectwami współczesnych. Np. ów wzniosły stosunek Towiańskiego do włościan.

<sup>30</sup> Wincenty Lutosławski (...) nawiązaniem do towiańszczyzny — W samopoczuciu swojej misji idzie prof. Lutosławski jeszcze dalej. W *Ostatnim słowie autora (Nieśmiertelność duszy, 1925)* proponuje stworzenie „kuźnicy wychowania narodowego” w razie „jeśli się znajdzie bezdzietny, zamożny ziemianin, co by zechciał ofiarować swój majątek na ten cel”. „Dla takiej kuźnicy (pisze Lutosławski) w każdej chwili gotów jestem opuścić katedrę uniwersytecką i nawet przedłużyć termin obecnego wcielenia na czas nieograniczony, wyrzekając się wiekuistej szczęśliwości w becziesnym bycie, do której od dawna tęsknię”... [przypis autorski]

Pisze się o tym cuda: na jakiej zasadzie? Przeważnie na podstawie własnych oświadczeń Mistrza. *Adwokat diabelski* miałby wdzięczne zadanie, przytaczając za prof. Henrykiem Mościckim bodaj relację sąsiada o miedzę, rejenta Wołodki:

Wiele też opowiadano o rzekomej ludzkości p. Andrzeja. Poddani jego włóścianie tak samo byli uciemiężani jak i gdzie indziej, jeśli nawet nie więcej. Już o tym słyszałem od Kostrowickich, wspólnych naszych sąsiadów. Więcej jeszcze opowiadał Kontrym, też bliski nasz sąsiad...

Pamiętam, jak raz matka moja, wróciwszy z jakiejś podróży, opowiadała o spotkaniu z Towiańskim i o następującej przygodzie, której była świadkiem. Mróz był trzaskający. Towiański spotkał na drodze zziębłego biedaka, uniesiony przeto litością zdjął kożuch z... własnego furmana i odział nie-szczęśliwego. Furman tymczasem dzwonił z zimna zębami w ciągu paru mil drogi...

Sądzę, że ta sąsiedzka relacja jest, bądź co bądź, godna uwagi. Ostatni rys wydaje mi się nawet symboliczny. Ilekroć czytam u rozanielonych biografów o tym, że Towiański „zawsze był gotów do jakiejś ofiary”, wciąż mam ochotę spytać: „do jakiej?”. Bo mam wrażenie, że on zawsze zdejmował kożuch z jakiegoś furmana.

Dam na innej relacji przykład, jak łatwy jest zachwyt pp. biografów. Tak więc w pewnej monografii, którą prof. Kleiner nazywa „podstawową”, czytamy:

...(Towiański) wyrabia sobie w praktyce metodę postępowania z ludźmi, nie gardzi żadnym środkiem tam, gdzie chodzi o wyzwolenie czyjejs duszy. Nie waha się stosować surowych kar, aby zwrócić opornych na właściwą drogę. Tak np. oddaje w ręce policji introligatora za bezprawne podniesienie ceny, kiedy indziej doróżkarza za przekroczenie taksy...

Przeczytajmy odnośne relacje tam, skąd je zaczerpnięto: w broszurze Komierowskiego (*Moje stosunki z Towiańskim i z towiańczykami*) przy opisie sceny, gdy Towiański, swoim zwyczajem, wmawia w tego nieboraka, zamożnego i trochę pomyłonego szlachcica, że on, Komierowski, jest „wielki duch”; następnie zaś, by mu „rozjaśnić drogę jego apostołskiej myśli”, daje mu przykłady z własnego postępowania:

I tak powiada: Introligator oprawił mi źle książki, a żądał złp. 10 zapłaty: pojechałem więc do policmajstra w Wilnie, ten uwięził natychmiast introligatora: chodziłem do winnego co dzień, później co tydzień, lecz że trwał w złem, więc zapomniałem. Aż jednego dnia ze strażą więzienną przybywa w prośby introligator. Uczęstowałem go i odtąd był moim przyjacielem.

Drugi przykład, również z ust Mistrza:

Zwoszczyk w Petersburgu żądał dubeltowej zapłaty za kurs; pojechałem z nim więc na policję. Dyżurny zaraz powalił zwoszczyka pięścią, kopnął nogą, chciał batożyć, co powstrzymałem. Odtąd zwoszczyk był moim przyjacielem...

Zaledwie wierzyć się chce oczom, kiedy tego rodzaju powiastki, poza tym zapewne godne wiary, bo przytoczone przez naiwnego człowieka wedle własnych zwierzeń Mistrza, podają nam dzisiejsi monografiści Towiańskiego z takim komentarzem: „Towiański wcześniej określa zadanie swego życia jako służbę bliźniemu, jako pomoc w zwalczaniu zła, które go opanowało”... Biorąc po prostu, ten apostoł tak chętnie uciekający się do pomocy rosyjskiej policji, pastwiący się dzięki swoim wpływom nad biednym introligatorem czy woźnicą, wydaje mi się z tych relacji szczególnym bydlakiem; i oto każą go nam wielbić za to, podziwiać jego „służbę bliźniemu”! Nie wiadomo, czy śmiać się, czy ryczeć z wściekłości nad tym ogłupianiem biednej polskiej ziemi... Oto chyba wystarczający przykład, że zac zadanie towiańszczyzną w zadziwiający sposób trwa jeszcze u naszych badaczy, i że cała ta dziedzina wymagałaby gruntownej dezynfekcji psychicznej...

Kiedy czytamy naszą literaturę towianistyczną, wciąż się musimy dziwić. Oto np. taki ustęp:

Cały ten system (Towiańskiego) został wypracowany z nadzwyczajną drobiazgowością. „Nie masz szczegółu, pisał Mickiewicz, od obuwia aż do mieszkania Mistrza, który by nie był obrachowany, rozważony z punktu Sprawy... Jadąc, jak wiecie, z kilkorgiem osób, często całą noc chodzi w deszcz z rzeczami po miasteczku, nim znajdzie kwatere odpowiednią pod każdym względem. Umawia się z gospodarzem, wytrzymuje sprzeczki, nie ustąpi w niczym, w najmniejszej rzeczy pilnuje tonu”.

O ile z wysiłkiem możemy się wczuć w hipnozę Mickiewicza, o tyle trudniej nam o wiele wczuć się w rozanielenie nad tym ustępem dzisiejszych badaczy...

W niemalym stopniu, o ile mi się zdaje, podtrzymuje kurs Towiańskiego u nas to, że posiada on dotąd swoją małą gminę we Włoszech. Niedawno ukazały się w „Przeglądzie Współczesnym”, ze wstępem prof. Pigionia, wspomnienia o Mistrzu, które spisał nestor włoskich towiańczyków, Attilio Begey; możemy więc o nich sprawdzić, czym żyje ta włoska gmina. Niech czytelnik osądzi. Piszę Begey o Mistrzu:

A jak bardzo był w tym czasie skory, by słuchać każdego wezwania. Interesując się każdym wypadkiem, był on w ciągłym ruchu ducha i z wszystkiego korzystał, aby robić to, czego świat najbardziej nie lubi, mianowicie wysnuć coś ze swej duszy. I tak na przykład pewien sąsiad nabył ptaszka, którego śpiewem rozkoszował się Mistrz; ale dowiedział się, że ten ptaszek zamknięty jest w klatce i trzymany w ciemności, aby w tych warunkach nauczył się jeść, a potem być oślepiiony, aby miał śpiew jeszcze piękniejszy. Mistrz oburza się na tę wiadomość: w głębokim smutku odwiedza tego sąsiada i błaga, aby odstąpił od swego zamiaru. Sąsiad opiera się, a wtedy Mistrz prosi go o sprzedanie tego ptaszka za jakąkolwiek cenę. Sąsiad nie przystaje na to mimo nalegań. Zmartwiony Mistrz odchodzi: czuje dopust boży w stosunku do owego ptaszka... poddaje się.

Ta historyjka, zwłaszcza zestawiona z poprzednimi, w których Towiański sprowadzał „dopusty boże” przez rosyjskiego policmajstra, to jest dość znamienity przykład „ofiary”, do jakich Mistrz był zawsze gotów. Miejsmy nadzieję, że żal nad smutną dolą ptaszka nie przeszkodził mu spożyć z apetytem kurcząt ze śmietaną. Ale czy ten zachwyt Begeya nie przywodzi na myśl rozczulen molierowskiego Orgona nad „biedaczkiem”, który się kaja, że „pchłę zabił przy pacierzu schwyconą przypadkiem”...?

Te same nieporozumienia widzę co do obyczajowej strony towianizmu, stosunku mężczyzn do kobiet. Krzyczą mi dziś, że absurdem są zarzuty, jakie współcześni — i to długo — czynili towianizmowi, że głosił „wspólność kobiet”. Ja sam jestem przekonany, że jej nie głosił, tak samo jak jej nie „głosił” saintsimonizm. *Enfantina*: ale *vox populi* mógł o tyle mieć słusność, że tam, gdzie na małej przestrzeni skupi się garstka wyznawców różnej płci i w egzaltacji ducha wciąż z sobą obcuje, wciąż nad sobą „pracuje”, gdzie węzły ducha stawia się ponad wszystkie związki formalne, tam bardzo uduchowione w teorii stosunki, w praktyce mogą się jednak kończyć na faktycznej prawie że wspólności. Znów posłuchajmy niepojętego w tym wypadku świadectwa Begeya:

Wyznawszy Mistrzowi swą obawę, że mimo mojej wewnętrznej czujności w stosunku z kobietą, temperament mój raczej żywy będzie mi przeszkodą w stosunku z nią, otrzymałem od niego tę braterską radę: „Winienesz być dla kobiety podporą niewzruszoną. Jeżeliby kobieta, nie mogąc opanować swej słabości, stała się dla ciebie pokusą, to mogłoby być uważane za małe uchybienie; ale gdybyś ty, mój bracie, kuśił kobietę, byłoby to wielką winą. Z wyjątkiem gdyby kobieta próbowała cię podporządkować sobie, powinienesz mieć dla niej pobłażanie i cierpliwość, wyjaśnić prawdę, nadać ton, wskazać drogę właściwą i wprowadzić między wami jedność braterską w Jezusie Chrystusie. Młodzieniec jest pełen życia, ognia wewnętrznego, mimo woli zatem pociągnie ku sobie kobietę. Niejedna kobieta mająca dobre skłonności będzie mogła przez twe zalety chrześcijańskie zwrócić ku tobie swego ducha i nieświadomie być pociągnięta przez sympatię, skłonność serca, a może także przez miłość; w tych wypadkach zdarza się często, że mężczyzna albo nie utrzymuje charakteru chrześcijańskiego i ulegnie słabości, albo broni się przeciw przeszkodzie, odpychając z twardą wyniosłością uczucie kobiety”.

„Ty, mój bracie, jako chrześcijanin epoki wyższej, powinieneś być dla kobiety sługą w Jezusie Chrystusie; nie tylko nie powinieneś się gorszyć podobną skłonnością względem ciebie, ale spoglądać na nią z prostotą, z wolnością ducha i jako prawdziwy przyjaciel kobiety wejść w jej położenie, szanować, współczuć i czynić wszystkie wysiłki, aby ją sprowadzić na drogę wolności i połączenia z tobą w braterstwie chrześcijańskim”.

Mało kto chyba będzie miał wątpliwości, jaki musiał być rezultat tych prac bratersko-siostrzanych, zwłaszcza o ile się w nie wmieszał „temperament raczej żywy”. I pod tym względem spotkamy w towianizmie krańcowo różne typy. Gdy np. taki Goszczyński, nędzarz nad nędzarze, żyje jak asceta, notując jedynie w swoim dzienniku wszystkie „zmazy nocne”, jak np. „26 stycznia 1847: Sen tej nocy. Kobieta znajoma, grzech z nią cielesny” (przy tym wzruszający nawias: „Nędza, kawa, bulion”), o tyle byli zapewne inni bracia, którym się wcale nieźle wiodło w ich „pracach” nad siostrami. A Mistrz?...

I tu uwaga: wciąż w arcybanalnym ujęciu traktuje się mistycyzm i erotyzm jako przeciwieństwa, gdy tymczasem są to dwie rzeczy zazwyczaj ściśle z sobą splecione; zawsze niemal ruch mistyczny barwi się erotyzmem. Dlatego nie widzę tu sprzeczności: towianizm mógł mówić wciąż o „duchu”, a stojący z zewnątrz mogli go uważać za gniazdo rozpusty; i jedni, i drudzy ze swego punktu widzenia mogli mówić prawdę.

U nas udział kobiet w towianizmie i w ogóle jego ziemskie sprawy ignorowało się zupełnie; teraz, gdy tę rzecz poruszyłem, ci nawet, którzy rzekomo mnie zbijają, ukazują rąbek wielu tajemnic. Bądź co bądź, uderzająca jest ta ciągła reputacja „erotyczna”, jaka towarzyszy towianizmowi u współczesnych, wobec tak dokładnego sterylizowania tej wiary przy dzisiejszych towianologów; jak nie mniej może uderzyć różnica między tym, co się pisze i mówi głośno, a tym, co szepczą sobie uczeni na ucho. Wspominałem już poufne relacje, jakie dostawałem od osób, które by nigdy tego głośno nie napisały. Toteż przeważnie zastrzegają sobie dyskrecję. Pisze mi np. ktoś, kto się zajmował dłuższy czas towianizmem, ten sam, który mi pisał o nim jako o czymś najgruntowniej przez naszą naukę „załganym”:

Jestem głęboko przekonany — jakkolwiek przekonanie to oparte jest na intuicyjnym wyczuciu aniżeli udokumentowane źródłami, które... — pan wie najlepiej, jak to jest z tymi „źródłami” — że odsuniecie się Słowackiego od towianizmu miało głębsze przyczyny, aniżeli owe sławne „medaliki i całowanie po nogach Mistrza”. Wyczuł to nawet nasz poczciwy bajkopisarz Esik w swojej monografii... Słowacki był naturą przedziwnie czystą pod względem seksualnym (nie wchodzę w to, ile racji ma co do tych spraw Tretiak) i musiało go razić, że powiem po niemiecku „*das wüste Treiben*” towiańczyków, które czasami — *excusez le mot*<sup>31</sup> — przypominało „psie wesele”.

Oto rozdźwięki, jakich chyba żadna nauka nie zna w tym stopniu co polska! Pisze się: „kolumny duchów” — „ciągła ofiara” — mówi się: „psie wesele”... Urywek przytoczony z zacnego Begeya ułatwi może połączenie tych pozornych sprzeczności w logiczną całość.

To jest w istocie zadziwiające, że jakiegokolwiek świadectwo współczesne dotyczące mistrza Andrzeja wziąć do ręki, każde prawie ma smaczek erotyczny. Oto z okazji tej całej dyskusji przesyła mi za pośrednictwem dr Jerzego Kollera z Poznania, następującą relację p. Przemysław Mączewski:

Przemysław Mączewski — pisze dr Koller — jako student uniwersytetu przyjaźnił się ze starszym inżynierem Olewińskim, zmarłym po wojnie we Lwowie. Ów Olewiński, to miała być kapitalna figura, miosławszczyk, literat itd. Jako młodzieńki 16 czy 17-letni chłopak, uciekł z domu rodzicielskiego do powstania (1863) razem z bratem. Chwycony przez Moskali, był stawiony przed głośnym Czengierym, który w tym wypadku okazał się człowiekiem w pełni wyrazu: zbesztł obu małych chłopaków, dał im po 15 rubli, jakieś przepustki i kazał uciekać. Po ciężkich cierpieniach znalazł się

<sup>31</sup>*excusez le mot* — przepraszam za słowo. [przypis edytorski]



ów Olewiński, bez grosza, chory, w Zurychu szwajcarskim. Tam ulitowała się nad nim niejaka pani Beker, która przyjęła tułacza do domu swego i utrzymywała. I tutaj dopiero zaczyna się to, co pana obchodzi...

W Zurychu mieszkał wówczas (r. 1863 czy 1864) „Mistrz” w otoczeniu swojej gminy, złożonej z kilkudziesięciu wyznawców, przeważnie bab; byli i byli wśród nich tacy i takie, co majątki posprzedawali, aby siedzieć w Zurychu bliżej Mistrza. Mistrz był już wówczas bardzo stary, pełen sławy i niemożliwie łakomy. Wyznawcy dostarczali mu całych pak cukierków, którymi się zjadał. Pono (zdaniem Olewińskiego) umarł z przejedzenia słodyczami, co, moim zdaniem, nie było konieczne, skoro miał około lat 80. Jeździł codziennie na spacer „konno”, na jakiejś szkapie, w pelerynie popielatej napoleońskiej i w trójkątnym napoleońskim kapeluszu. Do tej peleryny były przyszyte (silnymi drucikami) trzy guziki, na których „Mistrz” zawieszał zakupione paczki cukierków i owoców kandyzowanych, za którymi przepadał...

Otóż jeden z Polaków towiańczyków, któremu żal było młodego tułacza, powstańca Olewińskiego, obiecał mu, że go zaprowadzi w dzień św. Andrzeja na imieniny „Mistrza”, który swoimi wpływami miał dopomóc biedakowi. Olewińskiemu, którego razila ta bałwochwalcza adoracja „Mistrza”, nie uśmiechała się wcale ta myśl, ale był na utrzymaniu z miłosierdzia owej pani Beker, a czego się nie robi z nędzy...

Otóż zwierzył się swej opiekunce z tym zamiarem. Wówczas owa pani Beker powiedziała mu: „*Um Himmel Gottes Willen, gehen Sie nicht zu dem Mann, et hat einen sehr schlechten Ruf*”... („Na miłość boską, niech pan nie idzie do tego człowieka, on ma bardzo złą reputację”...). Dalej opowiedziała Olewińskiemu owa pani Beker, że miała trzy służące po kolei, które przedtem służyły u Towiańskich. Otóż „Mistrz”, korzystając z tego, że wówczas zaprowadzono w Zurychu wodociągi (r. 1863!), chodził co nocy do kuchni, aby pić wodę i napastował owe dziewczęta, które przed zaczepkami siedemdziesięcioletniego starca uciekały ze służby... Po tym opowiadaniu Olewiński zrezygnował z wizyty i protekcji „Mistrza”...

Powtarzam to opowiadanie, jak mi je przekazano. Bajeczki, powie ktoś. Być może; ale czymże jak nie bajeczkami są np. wszystkie historie, jakimi raczy nas Tancredo Canonico, którego grube dzieło uważane jest do dziś za podstawę wiedzy o Towiańskim? Tylko gdy jedne bajeczki opowiadane są przez ludzi postronnych, pamiętnikarzy niemających interesu w przeinaczaniu prawdy, drugie bajeczki podają wyznawcy zahipnotyzowani przez Mistrza i zsolidaryzowani z jego wielkością. Czemu te drugie mają być bardziej wiarogodne, nie widzę jasno?

Tak więc zanim proces kanonizacji będziemy uważali za skończony, uważam, że *advocatus diaboli* powinien koniecznie przyjąć tu do głosu. Ja nim nie będę; nie mam możliwości wertowania archiwów, szukania po świecie rozrzuconych autentycznych świadectw o Towiańskim i o towiańszczyźnie. Wiele tych świadectw zresztą, zwłaszcza o ile tyczą Mickiewicza, zapewne usunięto. Ale nie jest prawdopodobne, aby z dziejów człowieka żyjącego tak niedawno nie dało się ustalić więcej niż dotychczas. Obecny stan rzeczy tłumaczy się tym, że towianizmem zajmują się przeważnie ludzie z góry nastawieni mistycznie, apologetycznie, a pozbawieni zupełnie poczucia humoru. Ci uczynili sobie niejako program z bezkrytycyzmu, uważając, że krytycyzm nie jest wskazany tam, gdzie się przystępuje do badania „świętości”. Stąd może opłakany stan tej wiedzy. Świeżo zwrócił moją uwagę prof. Wł. L. Jaworski, jak zupełnie nie uwzględniono np. opinii (bardzo ujemnej), jaką o towianizmie i o Towiańskim wyrażał Hoene-Wroński. Ale zdaje mi się, że w ogóle jest moda nie uwzględniać niczego poza tym, co się uważa (często dość naiwnie, jak wskazałem) za nadające się do udokumentowania „świętości”. Wobec ważności, jaką w dziejach naszej literatury posiada zjawisko towianizmu, byłoby bardzo pożądane przystąpienie do prawdziwej monografii, która, o ile by uznała za właściwe pominąć jedne „plotki”, nie czyniłaby tego wyłącznie po to, aby dawać miejsce innym plotkom. Wówczas znalazłyby się może sposoby pogodzenia różnych pozornych sprzeczności, które wszak dla religio-

logii nie są nowością, a które upraszcza się dziś w sposób zanadto może nadużywający dobroduszości czytelnika.

PRZYPISY

Osobliwy historyk

Znów muszę „polemizować”. Boże, jak ja tego nie lubię! Ale cóż robić.

Dziwna rzecz. Gdybym chciał uwierzyć, że jestem takim ignorantem, takim dyletanem, takim zerem, jak mi to ciągle tłumaczą niektórzy moi przeciwnicy, stanęłoby mi na przeszkodzie jedno. Mianowicie ta olbrzymia ilość czasu, żółci i atramentu, jaką moi „wrogowie” zużywają, aby mnie unicestwić. Tak np. kilkanaście stron mojej przedmowy do dzieł Mickiewicza, wywołało już całą literaturkę. W „Kurierze Warszawskim” byłem wprzód na tak surowym indeksie, że samemu redaktorowi Dębickiemu wrzucono do kosza felieton o Monteskiuszu, dlatego tylko, że omawiał *Ducha Praw* w moim przekładzie. A teraz ten sam „Kurier Warszawski” poświęca memu stosunkowi do Mickiewicza już piąty felieton<sup>32</sup>! Trzy ostatnie są pióra pana Szpotańskiego. Ręczę panu Szpotańskiemu, że gdyby przedmowę do Mickiewicza napisał on, miałby w „Kurierze Warszawskim” tylko jeden felieton. Pochwalny, ale jeden.

A teraz spróbujmy z chaotycznej irytacji pana Szpotańskiego wydobyć sens. Chodzi o moje ostatnie artykuły mickiewiczowskie w „Wiadomościach Literackich”. Powiem tedy, skąd się one wzięły. Mam pasję do literatury, taka już moja perwersja. Otóż napisawszy wstęp do dzieł Mickiewicza, zainteresowałem się na nowo Mickiewiczem. Wpadł mi w rękę nieznan *Pamiętnik* siostry pani Celiny Mickiewiczowej, Zofii Szymanowskiej, później żony Teofila Lenartowicza, spisany po kilkoletnim pobycie w domu Adama celem „zebrania wiadomości dotyczących wielkiego rodzinnego pisarza” — wiadomości „tak szacownych dla każdego dobrego Polaka” oraz — jak pisze autorka — wyjaśnienia bodaj częściowego „pewnej zagadkowej epoki w jego życiu”. Wstęp do tego *Pamiętnika*, kreślący poprzednie dzieje samej autorki, obejmuje przeszło czterysta stron pisma, z czego można wnosić, jak sam przedmiot miał być traktowany obszernie. Tymczasem zaledwie Zofia S. zdołała opisać swoje wejście do domu Mickiewicza, rzecz urywa się w pół zdania. Rzecz prosta, że mnie to rozciekawilo. Dowiedziałem się z niewydanej korespondencji między paroma osobami, że dalszy ciąg tego *Pamiętnika* miał w depozycie Artur Wołyński, uczony polski, zamieszkały we Florencji i że po długim oporze, na usilne nalegania, wydał go Władysławowi Mickiewiczowi, zaniepokojonemu domniemaną „skandaliczną” treścią *Pamiętnika*. Po czym pamiętnik zginął bez wieści. Odmawiając zrazu rękopisu, Wołyński zarzuca synowi poety wręcz, że obchodzi się nielejalnie z dokumentami, gdy chodzi o glorię ojca.

W artykule moim uznałem ogromne zasługi Władysława Mickiewicza w zakresie naszej wiedzy mickiewiczowskiej; zarazem jednak zaznaczyłem, — co chyba jasne jest i bez dowodów — trudności połączenia stanowiska syna z nauką obiektywności badacza.

Pan Szpotański oświadcza, że *Pamiętnika* w archiwum mickiewiczowskim nie ma. Tym samym chyba potwierdza fakt, że został zniszczony? Zabawne jest, iż odpierając zarzuty, jakie czyniono Władysławowi Mickiewiczowi, że chowa lub niszczy niepożądane dokumenty, pan S. tłumaczy... dlaczego Władysław Mickiewicz *Pamiętnik* ten ukrył lub zniszczył. „Ponieważ się bał marnych plotek i fałszywych podpatrzeń i chciał przed nimi chronić swoich najbliższych”. Czyli zniszczył jako syn, o co nie mam prawa go winić i nie winię; zwróciłem jedynie uwagę, że trzeba zachować ostrożność wobec syna, który występuje jako naukowy badacz i w tym charakterze wodzi przez pół wieku naszą wiedzę mickiewiczowską na pasku. To chyba jasne? Ale na jakiej zasadzie p. S., który zaginionego *Pamiętnika* nie widział na oczy, określa go mianem „marnych plotek i fałszywych podpatrzeń”, to już jest jego tajemnicą. Osobliwy historyk! przyjdzie nam nieraz wykrzyknąć w toku tej dyskusji.

Ustaliwszy niejako zniszczenie *Pamiętnika*, p. S. wytacza argument, że Władysław Mickiewicz... nie usuwał żadnego dokumentu, skoro zachował nawet tak niepopularne, jak np. dotyczące współudziału w słynnym piśmie do cara Mikołaja. Argument naiwny; wszak nie można było zataić rzeczy, która była wszystkim znana i której relacje znaj-

<sup>32</sup> „Kurier Warszawski” poświęca (...) piąty felieton — I potem jeszcze kilka! [przypis autorski]

dowały się w mnóstwie odpisów. Zresztą sam Władysław Mickiewicz całkiem po prostu wypowiada się w tej mierze. Notując akt ślubu, jaki Mickiewicz dał małżonkom Łąckim, mówi, że „opowiada ten fakt, *raz dlatego*, że wzięwszy za zasadę podać wszelki materiał, jaki posiada do życia ojca, nie ma prawa przemilczać o żadnym fakcie, po wtóre że piśmienne dokumenta odnoszące się do rzeczy, o której mowa, znajdują się może w ręku innych i mogłyby być ogłoszone kiedyś z takim lub owakim komentarzem”... Te „*po wtóre*” jest bardzo wymowne... Mógł zresztą Władysław Mickiewicz być obiektywnym w traktowaniu jednych spraw, a nie być nim w innych. To zupełnie zrozumiałe.

Z całą furją napada p. S. na biedną autorkę zniszczonego *Pamiętnika*. Robi z niej starą ciotkę „niewylosowaną przez nikogo”, ograniczoną plotkarkę salonową etc. Oświadcza, iż wcale nie żałuje, że zginęły jej plotki. I tak odnosi się p. S. do zacnej Zofii Szymanowskiej-Lenartowiczowej, na którą w innych okolicznościach nie pozwoliliby mi palca zakrzywić! W zawodzie „brązowniczym” bywają straszne kolizje!

Pan S. jak na historyka jest trochę gorąco kąpany. Referencje jego nie są ścisłe; mamy lepsze: od samego Władysława Mickiewicza. Kiedy Zofia, utalentowana malarka, przybyła dla dalszych studiów do Paryża i zamieszkała w domu Mickiewiczów, miała ledwie dwadzieścia pięć lat, nie była wcale „starą ciotką”. Władysław Mickiewicz (*Żywot Adama Mickiewicza*) pisze: „Była to bardzo przystojna i wykształcona osoba, ślicznie śpiewała i grała na fortepianie. Rzadkiej energii i poświęcenia...”, miała, zdaniem syna poety, tylko tę jedną wadę, że się uprzedzała do osób... Musiała natomiast mieć zalety charakteru, skoro Mickiewiczowie powierzyli jej na kilkanaście miesięcy córkę, gdy wyjeżdżała do Włoch i byli zachwyceni jej opieką. Również po śmierci Adama i Celiny córka ich bawi we Włoszech pod opieką Zofii Szymanowskiej. Nie ma też mowy o paszkwilu ze strony osoby przenikniętej najgłębszym kultem wielkiego poety. To, co znamy z jej pamiętnika, bynajmniej nie trąci skłonnością do plotkarstwa: to raczej zapiski osoby poważnej i skłonnej do refleksji. Nie znając zresztą najważniejszej, zaginionej części pamiętnika, nie wydaję o nim sądu: ubolewam tylko, że go zniszczono. Pan S. się z tego cieszy. Badacz Mickiewicza cieszący się, że zginęły bezpośrednie zapiski o poecie, kreślone przez osobę, która spędziła kilka lat w jego domu! Proponuję, aby pana S. zademonstrować jako osobliwy okaz na najbliższym zjeździe historyków.

Przytoczyłem ustęp z listu Artura Wołyńskiego do Władysława Mickiewicza, objaśniający treść pamiętnika szczególnym stosunkiem towianizmu do kwestii kobiecej. Mimo że tylko przytoczyłem ten arcyciekawy dokument nie wyrażając sądu o nim ani o samej sprawie, pan S. naigrawa się z mojej naiwności, że „uwierzyłem podobnym bredniom”. Anim uwierzył, anim nie uwierzył; na razie zacytowałem na odpowiedzialność Wołyńskiego i, rzecz prosta, zainteresowało to mnie. Pan S. jako historyk zna z pewnością wydane przez prof. H. Mościckiego *Wspomnienia o Towiańskim* rejenta Wołodki z Litwy, sąsiada Towiańskiego o miedzę; wspomnienie kreślone bez pretensji, nie do druku, w którym pisze wprost, że „w nauce Towiańskiego za czasów wileńskich była też zasada wspólności kobiet, która podniosła krzyk przeciw nowatorom”. Plotki? Bardzo być może. Ale pamiętajmy, w jakiej epoce żyjemy; w epoce Fouriera i falansterów, Enfantina i saintsimonistów, i w ogóle szału wszelkiego nowatorstwa społecznego. „Zasady Towiańskiego, znane powszechnie w Wilnie (pisze Wołodko), uważano za jego czasów wileńskich »za zmodyfikowany saintsimonizm«”. Pan S. rozciąga swoje „brązownictwo” aż na... Prospera Enfantina i też (*A. Mickiewicz i jego epoka*) broni go namiętnie a naiwnie przed „plotkami”; niechże pan S. (przepraszam, że mu udzielam rad) przeczyta — o ile jej nie zna — świeżą książkę *L'aventure saint-simonienne et les femmes*. W czasie rozłamu w „Rodzinie” zarzucają secesjoniści Enfantionowi wręcz, że jego zasady prowadzą do wspólności kobiet. To pewne, że sprawa towianizmu — przynajmniej w jego początkach — bardziej jest tajemniczą, niż to nam chcą wmówić nasi brązownicy.

Pan S. wyciąga jakieś powagi naukowe, na dowód, że pamiętniki są w badaniu naukowym „nieużyteczne, a nawet szkodliwe”. Zapewne, bywają niewygodne, jak w ogóle fakty bywają niewygodne... Różnica jest ta: wobec nowego faktu historyk przystaje z zainteresowaniem, ogląda go, rozważa, ocenia jego wiarygodność i znaczenie i wedle tego modyfikuje swoje pojęcia; „brązownik” wobec niewygodnego faktu wścieka się, łaje, kręci i... przyklaskuje niszczeniu dokumentów.

Ale wróćmy do pamiętnika i niech czytelnik osądzi. Młoda i samodzielna panna przybywa do domu poety, dla którego przejęta jest głębokim kultem; spędza tam kilka lat i pisze *Pamiętnik* nieprzeznaczony do druku, a przynajmniej nie za jej życia; zatem, jeżeli narażony — jak wszystko co ludzkie — na omyłki, to w każdym razie zupełnie bezinteresowny. Mówi o tym, na co patrzyła własnymi oczami. Oczywiście nie zwalnia to od obowiązku krytycyzmu, ale jeżeli to nie jest ważki dokument, to dalibóg nie wiem, co nim będzie?

Pamiętnik ten urywa się w chwili, gdy Zofia wstępuje w dom Mickiewiczów.

Resztę zniszczono. I pan S. jako badacz Mickiewicza *cieszy się, że zniszczono*, i wymyśla mi za to, że w ogóle tę kwestię poruszył. I swojemu felietonowi — pisanemu zresztą przed ogłoszeniem przeze mnie tego fragmentu, po samej wzmiance o *Pamiętniku* Szymanowskiej — daje pan S. tytuł: „*Bezcenny dokument*”, w ironicznym cudzysłowie!

Ale to, co nastąpi, jest najlepsze! Pan S. pisze:

„Co do owej »Litwinki«, której nazwisko, jak widać z artykułu (mowa o artykule *W odlewni brązu*), nie jest Boyowi znane, niechże go poinformujemy, że była nią p. Ksawera Deybell należąca do niewielkiego grona osób, które opuściły Litwę prawie wespół z Towiańskim, aby mu towarzyszyć w spełnieniu jego zamiarów... Jeżeli to był stosunek miłosny (z Mickiewiczem), to nadzwyczaj interesujące byłoby poznanie jego treści psychicznej, gdy z jednej strony był Mickiewicz ze swoją skalą uczuć i namiętności, a z drugiej bardzo egzaltowana i przetopiona w tygłu towianizmu kobieta...”

Pouczenie p. Szpotańskiego jest nieco spóźnione, bo przyszło nazajutrz po moim artykule, poświęconym Ksawerze Deybel i po zapowiedzi następnego artykułu w tym przedmiocie; ale co wychodzi z niego jasno: to, że trzeba było mego przypadkowego wdania się w tę sprawę, aby w ogóle nazwisko Ksawery Deybel wyłoniło się z ciemności, aby dziejopis Mickiewicza zdecydował się je wymienić, aby się ogół dowiedział o istnieniu kobiety, która spędziła kilkanaście lat przy boku Mickiewicza, która lata całe mieszkała w jego domu, która była jedną z najczynniejszych współdziałaczek towianizmu i bez której udziału niektóre karty tej tajemniczej sprawy stają się jeszcze ciemniejsze. Zamilczano ją na śmierć. Pierwszy dał hasło do jej zamilczenia Władysław Mickiewicz, który w swoim tak drobiazgowym czterotomowym żywocie ani razu nawet nazwiska jej nie wspomina.

„Nadzwyczaj interesujące byłoby poznanie treści psychicznej...” — mówi p. S. Z pewnością. Więc czemu nie staraliście się poznać tej treści? Czemu zaprzątacie siebie i nas setką obojętnych drobiazgow z życia Mickiewicza, a nie tykacie tego, co najważniejsze? Czemu wystarczy jednego dokumentu, aby dać prztyczka w nos waszej wieloletniej krzątaninie? I stąd ten wrzask, ten krzyk na alarm!

Trudno o lepszy argument na poparcie moich twierdzeń niż artykuł pana S. Cóż bowiem twierdziłem? Rzekłem, że nasi brązownicy zakłamują istotną wiedzę o Mickiewiczu i udowodniłem to. Przestrzegłem przed klepaniem „pacierza za panią matką”, za Władysławem Mickiewiczem, ponieważ inna rzecz jest pietyzm syna, a inna badanie uczonego i udowodniłem to. Wydobyłem na jaw nieznany dokument dotyczący Mickiewicza, który dla mnie przynajmniej — mimo że jest ledwo urywkiem — rzucił nowe światło na całą epokę jego życia i pozwolił zupełnie inaczej czytać jego ówczesne listy. Bo, powiedzmy to wręcz, stan, w jakim pozostawiono dotąd listy Mickiewicza, jest wstydem naszej nauki. Zamiast się rzucać na mnie, gdy chcę nieco światła rzucić w te mroki, lepiej by uczyniono, wydając listy największego naszego pisarza w sposób odpowiadający wymaganiom naukowym, nie zaś przedawnionym prawom rodzinnej dyskrecji.

Artykuł pana S. ma wreszcie jedną dobrą zaletę: przyczynia się do wyjaśnienia sytuacji. Dotychczas „brązownictwo” było tylko praktyką, ale przestrzegało pilnie pozorów naukowości; obecnie pan S. zrywa z tymi pozorami. Nie wiem, czy który z prawdziwych uczonych podzieli te jego zapatrywania i ten oryginalny stosunek do dokumentów przeszłości. Raczej przypuszczam, że felieton pana S. pozostanie w bibliografii mickiewiczowskiej, ale jako — *curiosum*.

W Boya mierzył, w brąz uderzył...

Tak mi się jakoś zdarzyło, że znalazłem się w szkółce w pana Szpotańskiego. Nie mam nic przeciwko temu; wiem (jako mędrzec), że uczymy się wszyscy całe życie, że nie ma człowieka od którego by się nie można czegoś nauczyć, i tym podobne sentencje wszystkich mędrców. Uczmy się wzajem; ja się może nauczę czegoś od pana S., pan S. może czegoś ode mnie i obaj tylko zyskamy. Różnica jest ta: gdy ja chętnie się przyznam, skoro coś od niego skorzystam, przeczuwam, iż pan S. mniej chętnie by się przyznał, gdyby mu się zdarzyło nauczyć czegoś ode mnie.

Niestety nauki pana S. mają tę jedną wadę, że są stale — spóźnione. Zanim mnie zdąży o czymś pouczyć, już ja o tym sam napisałem. Poprzedniego dnia! Tak np. po moich pierwszych felietonach „mickiewiczowskich” w „Wiadomościach Literackich”, napisał pan S., że „jak widać, nazwisko Litwinki nie jest mi znane” i objaśnił mnie, że była nią Ksawera Deybel. Gdyby był zajrzał do „Wiadomości Literackich” z poprzedniego dnia, znalazłby mój artykuł właśnie o — Ksawerze Deybel i zapowiedź następnego. Ja zaś skromnie pozwoliłem sobie pana S. zapytać: skoro pan tak dobrze wie o osobie, która taką rolę odegrała w życiu poety, czemuż pan nie wspomniał o niej ani słóweczka w swoim trzypięciowym dziele o Mickiewiczu i czemu trzeba było aż mnie, aby istnienie jej na jaw wydobyć?

Obecnie pan S. poucza mnie, że w listach Mickiewicza z pewnej epoki imię „Seweryn” oznacza nie Goszczyńskiego, ale Pilchowskiego. Znowu się spóźnił, bo ja mówię tego samego dnia, to samiuteniczko w „Wiadomościach Literackich” nr 285. Pan S. ocenia surowo mój chwilowy błąd (z którego wyciąga najszaleńsze konsekwencje, np. że ja mieszam Pilchowskiego z Goszczyńskim, że ja pomawiam Goszczyńskiego o przyjęcie prawosławia i tym podobne androny), błąd „za który (powiada) pierwszy lepszy profesor literatury polskiej usunąłby studenta ze swego seminarium”.

Nie chodzę do seminarium, więc mi to niestraszne. Ale pan S. we mnie mierzył, a ani wie w kogo uderzył! Zaraz powiem, skąd się wzięła chwilowa omyłka. Brnąc w tym tajemniczym gąszczu, jakim dzięki „brązowniczym” metodom naszej nauki mickiewiczowskiej, pozostały dotąd listy i dokumenty z pewnej epoki, wspomagałem się pracami najteższych fachowców, między innymi dziełem prof. Kallenbacha *Towianizm na tle historycznym*. Z tego też dzieła, zanim, wgłębiwszy się w przedmiot, sam doszedłem do odmiennego przekonania, przytoczyłem ten komentarz i to nazwisko. Niech pan S. zajrzy do świeżej (1926) książki prof. Kallenbacha, str. 157: znajdzie tam cały inkryminowany ustęp:

„...to są kamienie probiercze dla braci: na nich pokażą bracia, czy przynoszą ziemię nad Niebo: Adam, Seweryn, Ferdynand, Ksawera są, jak powiedziałem, królami tonów przeciwnych tonowi Chrystusowemu”.

Otóż przy imieniu „Seweryn” prof. Kallenbach podaje w odsyłaczu: *Goszczyński*. Niechże więc to pan S. wyjaśnia z prof. Kallenbachem; z czego go tam usunie, czy nie usunie, to już między nimi sprawa.

„Pierwszy lepszy profesor literatury polskiej usunąłby studenta ze swego seminarium”, orzekł pan S. Nie śmiem się nawet wstawiać za prof. Kallenbachem, bo boję się, że moja instancja raczej zaszkodziłaby mu niż pomogła. Bo pan S. strasznie jest na mnie rozsierdzony; dodaje jeszcze:

„Tak mści się ignorancja. Podobnego niesłychanego błędu nie popełnił nikt z poczonych przez Boya brązowników...”

Czy może dalej iść humorystyka? Oto jak pisze jeden przysięgły uczony o drugim, kiedy myśli, że trafi w Boya! Bo oczywiście, książka Kallenbacha (całe dzieło, monografia, nie jakiś tam mój skromny artykuł!) zażywa u kolegów sławy autorytetu; trzeba było aż tego, żebym ja z niej coś zaczerpnął, aby się doczekała takiej... recenzji! Za to gdyby pan S. pisał wprost o książce Kallenbacha, co by tu było pokłonów, salamaleków, komplementów! Czy to wszystko razem nie jest iście molierowska komedia? Czy to nie jest najlepsza ilustracja tej ciuciubabki, jaką jest nasza uczona „mickiewiczologia”?

A teraz ja się zgłaszam do nagrody za to, że zapuszczając się w ten gąszcz niewykarczowany przez naszych fachowców, sam, nie czekając na pana S., zanim jeszcze farba

obeschła na moim artykule, spostrzegłem błąd prof. Kallenbacha i sprostowałem go z całą rewerencją. Niech pan S. znów zajrzy do ostatnich „Wiadomości Literackich”, gdzie piszę:

„ów Seweryn, którego imię tak często powtarza się w owej epoce w raportach Mickiewicza do Mistrza i który taką rolę odgrywa w zamęcie spowodowanym czwórką Adam — Seweryn — Ferdynand — Ksawera, to nie — jak podaje Kallenbach i jak ja za nim powtórzyłem — Goszczyński, ale Pilchowski, ów narwany i mętny Pilchowski” etc.

Nie poprzestałem na tym. Zgorszony i zdziwiony możliwością takiego nieporozumienia w uczonej monografii, wspomniałem mimochodem o fatalnym stanie, w jakim znajdują się wydania listów Mickiewicza. Jeżeli gubi się w nich sam prof. Kallenbach, czegoż żądać od czytelnika? Pisałem tedy w tym samym artykule:

„Niech mi wolno będzie zrobić nawiasowo uwagę: kiedym się zetknął bliżej z listami Mickiewicza, nie mogłem się oprzeć zdumieniu na widok strasznego zaniedbania tej dziedziny. Co robili nasi »mickiewiczologowie«, że dziś, po 74 latach od śmierci poety, nie mamy, już nie mówię — krytycznego, ale dobrego wydania jego listów, listów największego naszego pisarza? Tyloma zajmowano się drobiazgami, młócono je do znudzenia, do przesyty, a w tej tak ważnej sprawie nie uczyniono nic! Tak jak wydano listy w krótki czas po śmierci poety, tak się je przedrukowuje dziś. Nie mówię już o samym tekście, z pewnością przesianym przez staranne sito, ale o sposobie wydania. Zamiast koniecznych objaśnień do nazwisk i do osób, mamy litery, gwiazdki, co najwyżej imiona, co razem tworzy, powtarzam, istny hieroglif”.

Przepraszam bardzo za moją śmiałość. Jestem, to prawda, najmłodszym z „mickiewiczologów”. Wszedłem na ten teren ze szczerego zaciekawienia, z pasji; szukam, szperam, odgaduję, przedzieram się przez mroki, umyślnie przez was, moi panowie, zaciemnione lub nierozjaśnione; odgrzebuje to, co zagrzebano przez pół wieku. Robię to trochę gorączkowo, bo taki jest mój temperament. Kiedy zmylony przez uczonego przewodnika popełnię błąd, prostuję go; słowem, *szukam prawdy*. Ale czego szukają panowie Szpotańscy? Raczej, wydaje mi się, wszystkiego innego... Bo oto przyparty do muru, postawiony przeze mnie w obliczu nowych dokumentów, które wszelkimi siłami starano się ukryć lub zniszczyć, co odpowiada na nie pan S.? Wie wszystko lepiej: siostra Celiny Mickiewiczowej po wielu latach spędzonych w domu poety „nie orientuje się” oczywiście w niczym; tylko pan S. orientuje się we wszystkim! I to tylko dlatego, że jej *Pamiętnik* przedstawił nieszczęsny Boy, nienależący do cechu, notoryczny ignorant, bo... zdarza mu się (na chwilę!) uwierzyć w informację uczonego profesora, króla fachowców!

Toteż o samej rzeczy z panem S. dysputować nie będę. Gdybym bodaj trochę wierzył, że mu chodzi o rozjaśnienie prawdy, wówczas, na nazwanie „absurdem” ustępu z pamiętnika Zofii Szymanowskiej o zaniedbanym wychowaniu dzieci, odpowiedziałbym mu cytatem z... Władysława Mickiewicza (III, 103): „Mickiewicz... całkiem poświęcony Sprawie, nie baczył nawet na wychowanie dzieci, które były poniekąd zostawione samym sobie”. A cóż innego mówi Zofia Szymanowska? I tak pan S., mierząc w „znienawidzoną” mu Zofię, trafił w swój najwyższy autorytet, we Władysława Mickiewicza; tak samo jak mierząc w Boya, trafił w — prof. Kallenbacha. Załatwiającie to panowie między sobą; ja będę robił dalej swoje.

Ponieważ przypuszczam, że pan S. jeszcze nieraz da upust furii polemicznej, ośmielam się prosić go o jedno, o ile moja prośba nie będzie czymś zbyt wygórowanym. Żądam „minimum”, jak śpiewa Krukowski w „Quiproquo”: *niefalszowania* cytatów. Jak wiadomo, cytaty fałszuje się dwojako (moi polemici znają dobrze obie metody); raz przez przeinaczenie, po wtóre przez okrawanie. Przytaczając np. słowa Towiańskiego, na które wykrzyknąłem: „Ponura dostojewszczyzna!” i doprowadzając wobec nieświadomych czytelników wykrzyknik mój do absurdu, pan S. ze słów Towiańskiego opuścił... tylko tyle:

„... Rękę moją chętnie dam na spalenie, byle tylko furie trapiły Adama... Jedno dotknięcie furii zrobi niczym Adama, strąci go z posady jego ziemskiej...”

Otóż moje określenie „ponura dostojewszczyzna” odnosiło się — właśnie do tych słów. Jeżeli to dla pana S. nie jest ponure, wieszczę mu zdrowia...

Co opuścił „Bluszcz”

W czasie moich studiów nad pewną epoką życia Mickiewicza, natknąłem się na dość oryginalną kontrowersję. Ogłaszając mianowicie *Wspomnienie* reagenta Wołodki, tyżące Towiańskiego i jego nauki (z epoki wileńskiej), głoszącej wedle powszechnego przekonania wilnian „wspólność kobiet”, cytuje prof. Mościcki w przypisach ustęp z pamiętnika pani Zofii Komierowskiej (później żony Ludwika Norwida, brata poety) również rzucający — zdaniem prof. Mościckiego — „ciekawe światło na poglądy Towiańskiego w sprawie wolnej miłości”. Cytuje p. Mościcki z rękopisu, ponieważ, mimo że pamiętnik pani Komierowskiej (pisany w r. 1853) był drukowany w „Bluszczu” (r. 1889), ustęp ten, może jako — wedle ówczesnych pojęć — zbyt drastyczny, opuszczono<sup>33</sup>.

Otóż prof. Kallenbach (*Towianizm na tle historycznym*), cytując znowuż prof. Mościckiego (uczeni przeważnie trawią życie na tym, że jeden cytuje drugiego; sam widzę po sobie, że robię się wściekle uczony), odrzuca świadectwo pani K., twierdząc, że relacja ta od razu musiała się wydać „co do wiarygodności wątpliwa”, skoro redakcja „Bluszczu” ustęp ten opuściła... Argument ten, z którego pierwsza rozśmiała się przemiła dzisiejsza redaktorka „Bluszczu”, pani Stefania Podhorska-Okołow, zabawiał mnie: jeżeli wszystko uznamy za niegodne wiary, co „Bluszcz” — zwłaszcza ówczesny, słynący na całą Polskę ze swej pruderii — uważałby za stosowne wykreślić, wówczas możemy łatwo wrócić do szczęśliwego wieku, w którym się wierzy w bociany; i w istocie wielu naszych uczonych szuka zbawienia w tej mierze.

Traf dał mi w rękę rękopis tych pamiętników; i oto przekonałem się, że to, co z nich opuścił „Bluszcz”, to nie tylko ten jeden drastyczny ustęp, ale cała długa relacja tyżąca bytności pani K. (w r. 1853) u Mistrza, przed którego obliczem ta młoda 19-letnia mężatka stanęła jako żona bardzo oddanego Sprawie, ale wciąż nękanego wątpliwościami towiańczyka, znacznego przy tym i bogatego człowieka. Czy to redakcja „Bluszczu” wykreśliła całą tę relację, czy raczej sama autorka uznała ją w owym czasie za nazbyt niedyskretną, nie wiem; w każdym razie wydaje mi się, że zarówno czytelnicy, jak i ci, którzy interesują się — a takich jest dziś dużo — historią towianizmu, przyjmą ją z zainteresowaniem. Oto ów opis pielgrzymki z Paryża do Mistrza, który, jak wiadomo, rezydował stale w Szwajcarii:

„...Dziś o 7-ej rano opuściliśmy Nancy. Granicę przejechaliśmy w Belfort; pierwsze większe miasto, jakie widziałam w Szwajcarii, to Bazylea. Miałam wielką ochotę zatrzymać się w nim i zwiedzić je szczegółowo, lecz mąż tak się spieszył do Zurichu, że zaledwie na zjedzenie obiadu nam pozwolił. Stanęliśmy na miejscu o 5-ej rano; zajęchawszy do hotelu i odpocząwszy cokolwiek, wyszliśmy na miasto za wyszukaniem mieszkania. Znaleźliśmy niebawem bardzo wygodne i czyste, tuż obok Mistrza. Położenie miasta czarujące, nad ogromnym jeziorem, otoczone niebotycznymi górami, pokrytymi wiecznym śniegiem, handlowe, z uniwersytetem i rozmaitymi technicznymi zakładami naukowymi. Poznałam już pierwszego apostoła Mistrza, Falkowskiego, który spełniał przy nim obowiązki ziemskie. Święta rodzina składa się z męża, żony, czworga dzieci, z których najstarszy syn ma lat 20, z siostry i szwagra, Gutów: wszystko razem podobno niepospolici ludzie.

11 kwietnia. — Apostoł nie odstępował nas ani na chwilę; spacerujemy razem, obiadujemy, pływamy po jeziorze, a jednocześnie niechcący spowiadamy mu się z całego życia, bo zapytania są tak zręczne i natarczywe, że by się śmiertelny grzech wypowiedziało.

<sup>33</sup>był drukowany w „Bluszczu” (...) — Później ukazał się ów pamiętnik w pełniejszym tekście w „Przeglądzie Narodowym”, 1910. [przypis autorski]

Mistrz dotąd niewidzialny; apostoł twierdzi, że się modli i przygotowuje na nasze przyjęcie. Rozmawiając z Falkowskim, wspomniałam, że się z góry na wszystko zgadzam, czego Mistrz i święta sprawa ode mnie żąda, jedną tylko rzecz sobie zastrzegam, abym z duchami żadnej styczności nie miała.

13 kwietnia. — Dziś miał posłuchanie mój chrzestny syn; oboje z bratem niezmiernie zaciekawieni wyglądaliśmy z niecierpliwością jego powrotu. Wrócił poważny, uroczysty, na wszystkie nasze zapytania dawał jedną odpowiedź: »jaki on mądry, jaki on rozumny, to aż strach«. Więcej nic mówić nie chciał i dziś jeszcze ostatnim pociągiem do Warszawy odjechał.

14 kwietnia. — Druga audyencja dla brata. Wrażenie prawie żadne; podziwiał wprawdzie jego głęboki rozum, mówił to jednak zupełnie spokojnie. Mistrz włożył na niego podwójny obowiązek: raz na Polaka, drugi raz jako noszącego tak piękne nazwisko<sup>34</sup>, aby gorliwie rozgłaszał, co widział i słyszał i jak najwięcej braci do Koła wprowadzał, to bowiem jest rzeczywistym patriotyzmem, od tego zależy wyzwolenie ojczyzny, która dopóty jęczyć będzie, dopóki wszyscy jej mieszkańcy sprawie świętej służyć nie zaczną.

Wieczorną pocztą odebraliśmy list od ojca powołującego brata z powrotem; pocziwy chłopiec, wzór synów i młodych ludzi, nie zawahał się ani chwili i zaraz zaczął czynić przygotowania do wyjazdu. Nie mogę o tym spokojnie myśleć, że za 12 godzin pożegnany go może na kilka miesięcy. Gdyby mi Bóg dał syna, o czym już dzisiaj zupełnie nie marzę, nie potrafiłabym go tak kochać jak mego najidealniejszego brata, bo bym go też tak dobrze wychować nie potrafiła.

Cały dzień dzisiejszy poświęciłam bratu; zwiedziliśmy raz jeszcze szczegółowo miasto, modliliśmy się razem w kościele i na cmentarzu, gdzie kilku młodych spoczywa Polaków, — ile razy spozrzałam na niego, łzami się zalewałam, boć to pierwszy raz w życiu tak długie będzie rozłączenie. Nareszcie przyszła najsmutniejsza może chwila ostatecznego pożegnania, o nie daj Panie, aby się ona jeszcze kiedy powtórzyła.

17 kwietnia. — Całą noc oka nie zamknęłam, a nie chcąc płaczem moim robić mężowi przykrości, głowę umieściłam między dwie poduszki i z całą swobodą oddałam się szalonej rozpacz. Dziś mi się tak wszystko brzydsze i brudniejsze wydaje, czemu też tak we troje nie możemy na zawsze pozostać? — już mi się i wyjść nie chce, i po jeziorze pływać, myślą jestem z nim. Siedzę z zegarkiem w ręku nad szczegółową kartą geograficzną i prowadzę go od stacji do stacji, ocierając cisnące się łzy do oczów.

18 kwietnia. — Mąż powrócił od Mistrza skruszony, zbiedzony jak zbrodniarz pokutujący, mówił mało, jadł niewiele, spacerował samotny w górach.

20 kwietnia. — Druga audyencja, tym razem powrócił promieniejący. Mistrz przyjął go za adepta, darował poprzednie winy i bratem swoim nazwał, od dziś przyjmie od niego najdrobniejszą choćby ofiarę.

21 kwietnia. — Idę do Mistrza z mniejszą daleko emocją, niż myślałam. — O 12-ej mąż doprowadził mnie do drzwi jego i odszedł. Zapukałam trzy razy, drzwi się otworzyły. Weszłam do sporego, schludnego pokoiku o dwóch oknach. Łóżko zwyczajne, białe, sosnowe, czysto zasłane, nad niem posążek Napoleona pierwszego ze złożonymi na krzyż rękami na piersiach, na malutkiej umieszczony konsolce. Szafa, komoda, dwa stoliki założone książkami, cztery proste stolki dopełniały umeblowania. Przede mną stała postać wzrostu średniego, tuszy dobrej, łysy, bez zarostu, nos duży, kształtny, usta wąskie, zaciśnięte, w okularach niebieskich, ubrany w długi surdut do ziemi, na jeden rząd zapięty, ze stojącym kołnierzem. Zbliżyłam się do majestatu i z pokorą ucałowałam dłoń. Przyjrawszy mi się z wielką uwagą, objął mnie w ramiona, przycisnął do piersi i złożył pocałunek na brodzie, ale wcale nie duchowo, tylko najzwyczajniej po ziemsku. W tej chwili z pewnością o świętej sprawie nie myślał i to mnie takim wstrętem do tej wyższej

<sup>34</sup>brata (...) noszącego tak piękne nazwisko — Sobieski. [przypis autorski]



istoty przejęło, że mi zupełnie imponować przestał, co naturalnie w tej chwili spostrzegł, bo go słuchałam tak spokojnie. Teraz dopiero zrozumiałam, co znaczyło to trzydniowe przebywanie Falkowskiego z nami; wszystko, co przez ten czas udało mu się zręcznie z nas wydobyć, powtórzone zostało Mistrzowi, a on, niby oświecony łaską Ducha Świętego, rozwodził się nad faktami i okolicznościami dotyczącymi mojej przeszłości, o których nikt prócz mnie wiedzieć nie mógł. Nie trafił jednak na naiwną, bo się bynajmniej wiedzy jego nie zadziwiałam. Rozmawiając z nim, mimo woli rozglądałam się po pokoju i wzrok mój kilka razy spoczął na figurze Napoleona umieszczonej nad łóżkiem, nie mogąc się domyśleć, jakie by miała znaczenie. Spostrzegł to przebieglejszy od lisa Mistrz, a słysząc, że jestem tak na kwestię duchów wrażliwą, zaczął mnie straszyć opowiadaniem mnóstwa anegdotek na tym tle osnutych, zapowiadając, że jeśli bym kiedy, broń Boże, przeniewierzyła się Sprawie świętej, będę Nielitościwie nawiedzana i szarpana przez duchy, a jeśli tych męczarni ciało moje nie wytrwa, umrę, aby się znów odrodzić koniem, psem lub jeszcze czem gorszem. Napoleon 1-szy jest adwokatem sprawy świętej w niebie, czyli że wszystkie interesa dotyczące jej on Panu Bogu przedstawia, z Nim też bezpośrednio ma nieustające stosunki. Drugim takim opiekunem jest Kościuszko: ten jako Polak więcej kocha kraj swój i wpływem swoim więcej jeszcze dla sprawy naszej otrzymać może. Słuchając tych wszystkich bredni, mimo woli przychodziło mi do głowy, jak mógł ten człowiek porywać ludzi tak wielkich i niepospolitych jak Mickiewicz, to jednak nie przeszkadzało, że się z trwogą oglądałam za siebie, czy owa figurka brązowa nie zamieni się w dużą i żywą postać Napoleona i czy ją stojącą przed sobą nie ujrzę. Mówiąc o małżeństwie moim, nadmienił, że z powodu zbyt wielkiej różnicy wieku między nami, uwalnia mnie zupełnie od wierności małżeńskiej, której zresztą ani Pan Bóg, ani Kościół od nikogo nie wymaga; mam tylko uważać, aby duch wybranego był czysty, i to powiedziawszy, zrobił krzyż na moim czole, »Absolvo te« dodając i gorący pocałunek na mojej twarzy złożył. Wysłałam więcej jak oburzona, z silnym postanowieniem nigdy już więcej nie wracać, nawet jeśli mąż koniecznie tego żądać będzie.

22 kwietnia. — Mąż znów wezwany do Mistrza. Po dwugodzinnej konwersacji, powrócił tak szczęśliwy, swobodny, lekki, jakim go dawno nie widziałam. Po obiedzie usiadł na kanapie, wyjął z kieszeni książeczkę z Ewangelią, z którą się nigdy nie rozłączał, czerpiąc z niej skarby dla duszy, a otworzywszy ją, rzucił z pogardą na stół stojący w drugim rogu pokoju. Siedząc z robotą pod oknem, spojrzałam na niego z przerażeniem i zapytałam, co to ma znaczyć? »Mistrz zabronił mi brać Ewangelię do ręki, bo nią mój umysł obalamucam. Ewangeliści robili własne uwagi na marginesach, pisząc Ewangelię, które następnie wciągnęli do tekstu; trzeba mieć wielką łaskę ducha, żeby odróżniać słowa Chrystusa od dodatków piszących, a ponieważ kilka lat opierałam się wpływowi Mistrza, dopatrując różnice się prawdy od zasad świętej sprawy, więc mi w nią zaglądać nie wolno«. Po chwili wstał, przeszedł przez pokój i usiadł na drugiej kanapie, przed którą na stoliku spoczywała rzucona książeczka, i znów bezwiednie wziął ją do ręki, i przeczytał ustęp, który już zapewne tysięczny raz powtórzył i na pamięć umiał, a dotąd uwagi jego nie zwrócił, trzeba było rzeczywiście łaski bożej, żeby mu się oczy otworzyły w chwili tak szalonego obalamucenia.

»Przyjdą fałszywe proroki, którzy będą mieli znaki posłanników bożych, a będą czartami, biada tym, którzy im uwierzą«. Co się w duszy jego działo po przeczytaniu tych słów, nie wiem; mnie się zdawało, że on zwariował, bo biegał bezwiednie po całym mieszkaniu, zaabsorbowany w myślach, nie odpowiadając zupełnie na zapytania moje i nie wiedząc, co się wkoło niego dzieje. Tak dalece, że na herbatę miałam całą rodzinę Mistrza, która głośną rozmową zabawiła się do północy: on jej nie widział, nie słyszał, tylko

ciągle biegał po pokoju, a kiedy wyszli, stanął przede mną blady, zmieniony do niepoznania i zapytał, dlaczego obiecani goście dotąd nie przychodzą. Spojrzałam na niego z rozdartym sercem; strach mnie ogarnął, widząc się samą jedną, z dala od kraju i swoich, z nieprzytomnym mężem. Siedziałam na łóżku, nie śmiąc się położyć, nareszcie zmęczenie przemogło, a kiedy po paru godzinach otworzyłam oczy, ujrzałam męża mego krzyżem leżącego na środku pokoju i zanoszącego się od płaczu. Zerwałam się z łóżka, robiłam wszystkie możliwe wysiłki, aby go uspokoić, wszystko jednak daremnie, stan tej najwyższej egzaltacji trwał do białego dnia, po czym podniósł się i głosem stanowczym, jakiego dotąd nie znałam, powiedział: »Proszę cię, ubieraj się jak najprędzej, pakuj rzeczy i przenieś się do hotelu, bo tu ani chwili dłużej nie zostanę«. W pół godziny byliśmy w nowym mieszkaniu i tam dopiero dowiedziałam się o strasznej walce, jaką biedak ten przeżył. Otworzywszy oczy na rzeczywistą wartość tego człowieka, uczułam się najniezwyklejszym, że go przez kilkanaście godzin wyżej nad Chrystusa stawiał i teraz dopiero jasno przejrzał, że cała ta tak zwana święta Sprawa z Mistrzem na czele była nikczemnym obalamuceniem umysłów pragnących się wznieść nad poziom życia zwyczajnego. Obawiając się, abym wpływowi temu nie uległa, tak spiesźnie zmieniłam mieszkanie, a nie mogąc się biedaczysko w żalu swoim ukoić, zrobił projekt natychmiastowego pojechania do klasztoru w Einsiedel, położonego o siedem mil drogi na ogromnej górze, gdzie się Matka Boska cudami słynąca znajduje”...

To czytamy w rękopisie Komierowskiej-Norwidowej. Co sądzić o tej relacji i o tych pamiętnikach? Kiedy ukazały się w okrojonej formie w „Bluszczu”, wydrukowano je głównie dla wspomnień, jakie mieszczą o Adamie Mickiewiczu. Wówczas powstała przeciw autorce pamiętnika córka poety, pani Maria Górecka, co znów spowodowało replikę autorki i redakcji; kwestionował też ścisłość szczegółów dotyczących Adama w dziele swoim o ojcu Władysław Mickiewicz. Nie wchodzę tutaj w ten spór, w którym świadectwo najbliższej rodziny też nie zawsze można przyjmować bez zastrzeżeń; zaznaczę tylko, że relacje autorki dotyczące towianizmu i stosunków z nim jej męża, zgadzają się z tym, co znajdujemy w tej kwestii w broszurze, którą wydał bezimiennie jej mąż: *Moje stosunki z Towiańskim i z Towiańczykami*, Paryż 1856 (mylnie przypisywana długi czas Kołosowskiemu).

Oczywiście, taki dokument nie jest ewangelią; należy go przyjmować krytycznie, zestawiać z innymi świadectwami i innymi źródłami naszych wiadomości. Ale pomijając stronniczo — jak to czynią nasi „brązownicy” — wszystkie niemal współczesne relacje, odrzucać z góry jako „plotki” wszystko, co narusza wzniesioną (często na podstawie innych znów „plotek”) budowlę, to jest metoda wygodna wprawdzie, ale grożąca tym, iż dumny gmach będzie stał zawsze na piasku. Co do mnie, jestem przekonany, że modna w ostatnich czasach apologia towianizmu wymaga gruntownej rewizji i że rewizja ta może nam przynieść nieobliczalne niespodzianki, większe może niż te, które zburzyły legendę matki Makryny Mieczysławskiej...

\*

Do redaktora „Wiadomości Literackich” nadesłano następujący list:

W związku z artykułem Boya-Żeleńskiego pt. *Sfinks towianizmu* („Wiadomości Literackie” nr. 286) podaję niektóre wyjątki z listów Emilii Szczanieckiej, wybitnej Polki XIX w., do Benigny Małachowskiej, w których korespondentka pisze bardzo źle o towianizmie.

Emilia Szczaniecka mieszkała stale w Poznańskim i w Berlinie, utrzymywała jednak ścisły kontakt z emigracją za pośrednictwem Klaudyny Potockiej. Po śmierci Potockiej, Szczaniecka znalazła inną korespondentkę-przyjaciółkę, osobiście sobie nieznaną generałową Benignę Małachowską. W r. 1843 Szczaniecka pielgrzymuje w towarzystwie Konstancji Łubieńskiej i Marii Bolewskiej okrężną drogą przez Ostendę, Londyn do Paryża, gdzie osobiście poznaje Małachowską.

Szaniecka na ogół wydaje ostrożne sądy o swych bliźnich i ich czynach; w powtarzaniu plotek jest powściągliwa. Nie można pominąć tych cech przy ocenie wartości świadectw zawartych w jej listach.

Listy Szanieckiej do Małachowskiej przechowuje archiwum rapperswilskie pod nr. 767.

## I

20. II. 1841

Pan Plichta był u mnie w Berlinie, zgadało się o panu Towiańskim — i ja Mu powiedziałem, że przed paru laty był w Dreźnie, ale ja nie szukałam jego znajomości, bo byłam źle o nim uprzedzoną przez jedną młodą Polkę, która mi powiadała, że jest przez niego przyjętą do związku i że zasadą tego jest, żeby wszystko, co tylko wie, powiedziała tak o sobie, jak o drugich, żeby starała się być w towarzystwie i żeby wróciwszy do Niego albo sama, albo listownie wszystko mu wynurzyła, żeby każdy list mu zakomunikowała, nawet od kochanka, i do tego przez przysięgę była zmuszoną. — Widziałam niektóre modlitwy, to wszystko bardzo mi nie odpowiadało — zapytał mnie się Pan Plichta, czy może to powtórzyć, i ja nie miałam nic przeciw temu, ale, żeby to ja była ta osoba, to nieprawda, i pewno tego Pan Plichta nie mógł powiedzieć, tylko każda rzecz, kiedy przechodzi z ust do ust, jest defigurowaną...

## II

13. 12. 1843 (z Paryża)

Gdybym Ci była pisała wczoraj rano, byłabym Ci napisała, że myślę, że Marinia może ujdzie towiańszczyźnie, ale po wczorajszej z nią rozmowie mam moralne przekonanie, że już jest tak daleko, że trudno ją ochronić. — Wszystkie ich (towiańczyków) zdania podziela z uniesieniem, rozumie ich, w(e) wszystkie ich śmieszności nie wierzy, a zawsze cytuje brata, nie można jej tyle mówić jak w innym przypadku. — Wczoraj chciałam ją tym przekonać, że ona dlatego jest w sądzie parciałną<sup>35</sup>, że brata kocha, wysoko jego umiejętność sądzi, więc przypuścić jest jej trudno, żeby był w błędzie; na to mi odpowiedziała — o nie, ja z uprzedzeniem tu przyjechałam przeciw towiańszczyźnie, ale teraz się przekonuję i rozumiem, co to jest, zupełnie o mego brata jestem spokojna. — Wybiera się w tych dniach do Mickiewicza — smutno mi na sercu, bo chciałabym była, żeby nie pod tym urokiem tam była poszła, teraz ulegnie nieomylnie, to jest pewne, że to jej w niczym nie zmieni co do charakteru, ale jeżeli z czasem uzna, że była w błędzie, będzie jej przykro — to, co piszę, tylko dla Ciebie i do Ciebie piszę, bo może się mylę, co daj Boże...

## III

22. 2. 1844

Co mi donosisz o Marii, tego się spodziewałam, bo widziałam już przed odjazdem, że bliska bardzo jest tego, bo z wielką egzaltacją o nich (towiańczykach) mówiła — Czy to jest chwila mówić i myśleć o tym, kiedy Polska jęczy (w) więzach tak okropnych i kiedy siły nasze takie małe...

*Maria Bolewska wróciła do Księstwa Poznańskiego w 1846 i nadal była gorliwą wyznawczynią Towiańskiego.*

N. N.

W związku z artykułem *Drogi geniuszu* i wynikłą zeń polemiką, nadszedł do redaktora „Wiadomości Literackich” następujący list:

Władysław Mickiewicz, cytując z listu Adama Mickiewicza do Bulharyna, ogłoszonego po raz pierwszy przez Chmielowskiego w r. 1886 (nie w r.

<sup>35</sup>parciałny — stronniczy; uznający tylko jedną część argumentów, jedną partię. [przypis edytorski]

1898) ustęp, w którym wspomina o koronacji Mikołaja I w Warszawie, usiłuje wytłumaczyć ultraloyalne wyrażenia Mickiewicza ironią, z jaką je jakoby pisał. Pan Leon Płoszewski w artykule *Mickiewicz a Rosja* („Wiadomości Literackie” nr. 306) podziela to mniemanie Władysława Mickiewicza i również dopatruje się w liście do Bułharyna ironii. Tymczasem list ten pisał Mickiewicz zupełnie serio; czy szczerze, to inna sprawa. W liście z zagranicy, wysłanym do Rosji, Mickiewicz nie ośmieliłby się pisać o cesarzu panującym, którego był poddanym, i o uroczystościach dworskich z ironią. Gdyby sobie na to pozwolił, miałby drogę do powrotu do państwa rosyjskiego, a więc i do kraju, zamkniętą. Wiedział przecież, że żandarmeria rosyjska wszystkie listy z zagranicy do Rosji przesyłane otwierała i czytała. Pisał zresztą do Bułharyna! Wyjeżdżając w r. 1829 za legalnym paszportem rosyjskim zagranicę, Mickiewicz przed wybuchem powstania listopadowego nie miał jeszcze zamiaru osiedlenia się na stałe na obczyźnie; meldował się w konsulatach rosyjskich w krajach, przez które przejeżdżał, był na przyjęciach w salonach posłów rosyjskich (Gorczakowa, Gagarina) i przez przedstawicielstwa Rosji zagranicą nie był uważany, aż do roku mniej więcej 1832, za emigranta. W listach musiał się wyrażać bardzo oględnie. Wiemy przecież, jak ostrożnie redagował listy swoje do matki Słowacki. Gdyby Władysław Mickiewicz dostał do ręki list ojca do Bułharyna, albo by go w obawie niemiłych komentarzy zniszczył, albo ogłosił w tendencyjnie zmienionym brzmieniu. Ale że go już wydrukował Chmielowski (*Adam Mickiewicz*, wyd. pierwsze, z r. 1886), nie pozostawiało mu nic innego, jak tendencyjnie go tłumaczyć. Rzecz zadziwiająca, że niektórzy historycy literatury naszej wciąż jeszcze traktują poważnie to wszystko, co opowiadał i pisał o ojcu swym Władysław Mickiewicz. A jednak, przynajmniej w połowie, relacje jego, podobnie jak relacje Odyńca, podejrzane są lub mało na wiarę zasługują.

Gabriel Korbut

#### PAMIĘTNIK ZOFII SZYMANOWSKIEJ<sup>36</sup>

Rękopis tego pamiętnika, zakupiony, wraz z innymi rękopisami, jako puścizna po Józefie Ignacym Kraszewskim, znakuje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie (Rkp. Nr 25). Ogłaszam go po raz pierwszy, na zasadzie pozwolenia, jakiego mi udzielił łaskawie dyrektor Biblioteki Narodowej, p. Stefan Demby. Odpis pamiętnika zawdzięczam uprzejmości p. Jana Muszkowskiego, dyrektora Biblioteki Kasińskich.

Pamiętnik urywa się niedokończony. Dalsza część rękopisu znajdowała się (około r. 1890) w depozycie u Artura Wołyńskiego, po czym przepadła bez wieści lub też jest gdzieś w ukryciu. Wiadomości o jej istnieniu w jakiejś bibliotece w Rzymie lub też w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie nie sprawdziły się.

Warszawa, 9-o Września 1854 r.

Przedsiębiorę już po raz drugi pisać coś na kształt pamiętników moich. Przed pięć laty byłam to rozpoczęła, a następnie dosyć już sporą książeczkę zniszczyłam; powodem do tego było mi dziecinne jakieś uczucie, z którego sobie teraz sama sprawy zdać nie umiem; wiem tylko, że spisywanie wrażeń i myśli moich bardzo dla mnie naówczas zbawiennym było. Wczesne cierpienia moralne już w 18 tym roku życia zmąciły były pokój duszy i zachwiały prostą dziecinną wiarę moją. W braku jakiegoś przyjacielskiego stosunku, szukałam więc ulgi w roztrząsaniu własnych uczuć, spisując wszelkie doznawane wrażenia; wszelkie spostrzeżenia robione nad innymi i nad sobą samą; odtąd natłok myśli nowych i coraz smutniejszych mniej był dręczącym dla mnie, aż póki stokroć smutniejsza rzeczywistość nie przerwała marzeń samolubnych, jakkolwiek bolesnych.

Teraz powracam do dawnego zamiaru z odmiennych zupełnie pobudek; to, co o sobie powiem, stanowić będzie mały tylko ustęp — celem moim obecnie jest zebranie wiadomości dotyczących wielkiego rodzinnego pisarza; wiadomości te, tak szacowne dla każdego dobrego Polaka, nie będą dosyć dokładne, by całkiem wyjaśnić pewną zagadkową, że tak powiem, epokę w życiu tego człowieka. Nie dosyć wcześnie poznałam go, nie dosyć

<sup>36</sup>Pamiętnik Zofii Szymanowskiej — W źródle tekst poprzedzony zdjęciem strony autografu. [przypis dyktorski]

też długo bawiłam w kole jego domowem, ażeby wszystkie pozbierać dowody na poparcie własnych spostrzeżeń i wiadomości ubocznie zasięgniętych; wszakże to, co powiem, użytecznem może będzie jako opowiadanie szczerze naoczne a bezstronnego świadka. Ze względu na ważność przedmiotu, chcę sama dać miarę mojej bezstronności — bo człowiek o tyle tylko bezstronnym być zdoła, o ile działa i sądzi bez osobistych wyrachowań; zawsze jednak zapatruje się na świat z oddzielnego, sobie właściwego stanowiska; stąd wynika, że w sądach naszych mimowolnie stajemy się często niesprawiedliwymi, ulegając mimo wiedzy wpływowi uczuć chwilowych, a mianowicie wpływowi niezwykłej sympatii i antypatii; dla tych to względów uznaję za stosowne dać na wstępie krótkie, ale szczerze wyobrażenie o sobie samej; — chcę niejako wypowiedzieć się z własnego sposobu myślenia i czucia, przebiegając pokrótce okoliczności, jakie, poczynawszy od lat dziecinnych, wpływ wywrzeć mogły na charakter mój i wykształcenie.

Pierwsze lata dziecinne przepędziłam na wsi o kilka mil od Warszawy; mało wspomnień uniosłam z tego miejsca urodzenia mego; wiem, że mieszkaliśmy obszernie, że była do nas, dzieci, guwernantka — służba domu liczna się kręciła — słowem, nawykłam w dzieciństwie do życia prawie pańskiego, jakie u nas na wsi nietrudno było naówczas prowadzić, gdzie życie niedrogię było i o ludzi łatwo; przy tym ojciec mój (którego znam tylko z opisu), nie chcąc bynajmniej wynosić się nad stan średni, w jakim był urodzony, lubił wszakże prowadzić dom otwarty; położenie jego majątkowe ułatwiało mu i pobudzało w nim to upodobanie.

Miałam zaledwie lat pięć, gdy ojca straciłam. Śmierć jego poprzedziły były znaczne straty majątkowe w skutku rozruchów w kraju tj. rewolucji 1830 r. Matka moja po owdowieniu opuściła gospodarstwo wiejskie, zbyt wielkie i uciążliwe dla niej, i przeniósła się do Warszawy — tam miała kilkoro rodzeństwa — między nimi trzech braci nieżonatych, którzy następnie byli — nie z obowiązku, a z dobroci serca — opiekunami naszymi, gdy urzędowy opiekun ani się troszczył o nas. Uczucie córki i wdzięczność dla dobroczyńców nakazują mi wspomnieć tutaj szczegółowiej o Matce swojej i jej rodzinie; ustęp ten nie będzie zboczeniem od przedmiotu; — da on owszem najlepsze wyobrażenie o wychowaniu mojem i zasadach, dając poznać ludzi, pośród których wzrosłam i wychowałam się.

Rodzice matki mojej, pochodzenia uboższego, oboje urodzeni byli w dobrach możnej Pani, która upodobawszy sobie Babkę moją, jeszcze dziewczynką dała jej pośród dworu swego przytułek, a następnie za mąż ją wydała; dziad mój po ożenieniu objął małe jakieś na wsi gospodarstwo; gdy po kilkunastu latach był już ojcem licznej rodziny, a na tym gospodarstwie coraz mu się gorzej wiodło, postanowił szukać szczęścia gdzie indziej i przeniósł się z rodziną do Warszawy. Wkrótce po przybyciu tutaj umarł, zostawiając żonę z dziesięciorgiem dzieci, bez sposobu do życia; całe mienie stanowiło kilkaset złotych, które zaledwie na parę miesięcy utrzymania dla nich wystarczyć mogło. Biedna babka moja z rozpaczą mówiła do starszych dzieci o ich i swojej przyszłości; nie przeczuwała wtenczas, że w tych to dzieciach, których los najwięcej ją trwożył, znajdzie skarb prawdziwy. Miała ona w Warszawie dalekiego krewnego w wojsku pozostającego; do niego poszła po radę; był to podobno zacny i świątliwy człowiek. Pierwsza rada jego była, ażeby dwaj najstarsi synowie niezwłocznie zaczęli pobierać nauki, z których zawsze skorzystać potrafią, chociażby ich daleko posunąć nie mieli. Naówczas uczono w Warszawie młodzież na wpół darmo w szkołach u ks. pijarów; dobry krewny zajął się umieszczeniem tamże dwóch najstarszych synów. Ci dwaj synowie, starszy imieniem Józef, drugi Jan, byli pod względem umysłowym najzupełniej zaniedbani; urodzeni w ubogim stanie na wsi, mogli chyba elementarnych nauk początki odebrać; ale w sercach ich najlepsze były zarody i charakter mieli nad wiek ustalony; przeszli byli ciężką od najmłodszych lat szkołę. Ojciec ich miał to być człowiek nieugięty, nawet z dziećmi własnymi — z synami mianowicie surowy aż do srogości; wpoił on w nich uczucie uległości względem rodziców i nauczył posłuszeństwa, które w męczyźnie za młodu tak jest niezbędnym warunkiem, jak później umiejętność kierowania sobą i innymi. — Do tych dwóch zalet, stanowiących podstawę dawniejszego polskiego wychowania, łączyli oni uczucie nieograniczone dla matki swojej i rodzeństwa. Babka moja, wielkiego rozsądku i wielkiej dobroci kobieta, nie inaczej od własnych dzieci wychowana, miała przecież o wszystkim zdrowe

zdanie; w obejściu z każdym prosta, była, jak to mówią, zawsze na swoim miejscu; nadto miała mieć w mowie i w każdym ruchu dziwną powagę i godność. Z tem wszystkim, a raczej nade wszystko, rządziła się szczerą, a nie przesadzoną pobożnością; słowem, była ona z liczby tych uprzywilejowanych ludzi, co to, chociaż w nędznej rodzą się lepiance, przynoszą z sobą na świat jakby cechę wyższych, szlachetniejszych istot — cechę prawdziwego szlachectwa, bo szlachectwa duszy. Wszystkie jej dzieci przejęły od niej częściowo niektóre zalety; zaś jedna z córek, Elżbieta, matka moja, żywym była swjej matki obrazem, a jeden z synów, Jan, po ojcu odziedziczył, obok wrodzonej dobroci serca, nadzwyczajną moc charakteru; stąd wynikło, że chociaż nie był najstarszym z dzieci, wszakże zaledwie do lat młodzieńczych doszedł, wielkiej nabył przewagi w rodzinie.

Tak więc, jak wyżej nadmieniałam, moralnie usposobieni dwaj wujowie moi weszli do szkół; ale przez to rozpoczęcie nauk starszych dzieci położenie całej rodziny w niczym się polepszyć nie mogło; owszem, nowe przybyły potrzeby — wydatki na stosowniejsze ubranie i książki dla dwóch chłopców. Biedna matka przy pomocy najstarszej córki, mającej do lat czternastu, pracą rąk, jak mogła, zarabiała na życie dla siebie i rodziny. Tak w największej biedzie minęło lat parę. W tym przeciągu czasu straciła dwoje najmłodszych dzieci. Starsi zaś synowie, ciągle do szkół chodząc, nie tylko, że sami najpilniej się uczyli, ale z własnego popędu to, co sami umieli, młodszym udzielali braciom; wtedy matka poznać musiała, czego się po takich dzieciach spodziewać może. W tymże czasie dwie jej krewne mieszkające daleko na prowincji, posłyszawszy o jej smutnym położeniu, oświadczyły chęć zabrania do siebie każda po jednym z dzieci. Pomimo miłości macierzyńskiej nie wahała się babka w przyjęciu tej pomocy; wiedziała bowiem, że im starsze dzieci, tym większe i potrzeby i że jej praca nie wystarczy na zaspokojenie tych potrzeb coraz się wzmagających. Powierzyła tedy krewnym swoim dwie z córek, a sama pozostała teraz z sześciorgiem dzieci — czterema synami i dwiema córkami; o synów przyszłość już była spokojna — wszyscy czterej, jeżeli nierówne mieli zdolności, to jednaką chęcią do nauk i pracy przejęci byli. Najstarsza córka wielką już pomocą była w gospodarstwie; pozostawała najmłodsza w domu do odchowania — była to Elżbieta, matka moja; od dzieciństwa odznaczała się wdziękiem postaci i roztropnością, była też ulubieńcem całej rodziny. Bracia starsi zajęli się udzielaniem jej pierwiastkowych nauk; nie okazywała ona zdolności do wyższego umysłowego wykształcenia, lecz pomimo to była pełna rozsądku i dowcipu wrodzonego. Mając lat dwanaście, posłyszała o jakiejś szkole tańca dla dzieci, którą utworzył i nią zawiadował jakiś stary profesor; uczył on darmo dzieci, a następnie, gdy były dostatecznie usposobione, dawał publiczne przedstawienia tańców wykonywanych przez jego uczennice i stosownie do zdolności każdą małą artystkę wynagradzał. Matka moja, zapragnąwszy ze swojej strony być użyteczną w rodzinie, umyśliła na tej drodze przyczynić się do zapracowania na wspólne potrzeby i przez starszych braci do matki w prosby o oddanie jej do tej szkoły; słuchano ją z uśmiechem zrazu, ale gdy nalegać nie przestawała, wyjawiając powód tak niespodzianie powziętego zamiaru, potrafiła przekonać rodzinę o stałym swym postanowieniu i ofiara ta pocziwego dziecka została przyjęta. Udano się tedy do pomienionego profesora i wkrótce droga matka moja rozpoczęła tak wcześniej zawód trudny a niewdzięczny. Po roku zaledwie nauki, którą zawsze pod okiem matki odbywała, była już jedną z najcelniejszych uczennic w owej szkole i za pracę swoją odbieraną nagrodę przynosiła z radością do domu. Nie był to grosz ani lekki, ani wesoło zapracowany; w cichym domowym zakątku wychowana, nie lubiła ona licznych zebrań, gdzie przychodziło jej tańcem się popisywać, a oznaki zadowolenia ogólnego, co by dla innej młodej dziewczyny podniecia miłości własnej były, przeciwnie na nią oddziaływały; im więcej rozwijał się jej talent, a zarazem i wdzięki osoby, tym też głośniej chwalono i przyklaskiwano, a to ją coraz bardziej zniechęcało do rozpoczętego zawodu. Jednak nie wykryła wstrętu swego przed matką, póki nie obmyśliła innego sposobu zapewnienia rodzinie swojej pomocy. Tymczasem dwaj najstarsi bracia, nadzwyczajne robiąc w naukach postępy, już też ze swojej strony na chleb zarabiali, dając korepetycje współuczniom swoim, od których ogólnie kochani byli i wynagradzani stosownie do możliwości każdego, tak więc, przy pomocy Boga, własnej usilności i współdziałaniu swych dzieci, babka w kilka lat po owdowieniu lękać się już nędzy przestała, a nawet przyszły los dzieci widziała prawie zapewniony.

Gdy matka moja poznała, iż dotychczasowa jej pomoc nie jest niezbędną dla rodziny, bo starszych braci praca już wystarczała na pierwsze potrzeby domu, wtenczas dopiero objawiła rodzinie chęć porzucenia zawodu przykrego dla siebie, by przez udzielanie lekcji tańca równie, a może i więcej zarabiać. W owym czasie były w modzie tańce solowe po wyższych towarzystwach, tak dalece, że dokładna umiejętność tych tańców niezbędną była do dobrego wychowania; był też naówczas w Warszawie nauczyciel tańców wsławiony i przez pierwsze domy poszukiwany. W chwili kiedy matka moja powzięła myśl oddania się nauczycielstwu, ów znany profesor, już w podeszłym będąc wieku, usuwał się od obszernych stosunków swoich. Moja matka, wiedząc, że to miał być człowiek dobry i uczynny, powzięła myśl udania się do niego, by jej chciał ułatwić rozpoczęcie nowego zawodu. Jakoż zaufanie jej nie zostało omyłone. Stary nauczyciel znał już jej talent, a następnie, poznawszy i stosunki rodzinne, które świadczyły o moralnym wychowaniu, nie wahał się przedstawić ją i polecić względem kilku znaczniejszych domów. Miało to miejsce w parę lat po usunięciu się matki mojej od pierwszego zawodu; naówczas była jeszcze zbyt młodą na nauczycielkę, a nadto chciała, o ile możliwości, przy braci pomocy wykształcić się wprzód umysłowo.

W przedsięwzięciu matki Opatrzność najwidoczniej dopomogła; uzyskawszy wstęp do paru znacznych domów, została wkrótce ocenioną i nie tylko talentem swoim zyskała wziętość odtąd; godność w zachowaniu się, połączona z prawdziwą skromnością, obok młodości i wdzięków, zadziwiała każdego i jedna jej nie tylko życzliwość, ale szacunek. Wszędzie gdzie lekcje dawała, zapraszana bywała na zgromadzenia świetne, dobrane, jako przyjaciółka domu i ozdoba salonów. Słowem, poświęcenie jej w dziecinnym wieku w prostocie dla rodziny zrobione. Najwyższy sowiec wynagrodził, naprzód że na śliskiej drodze zachował jej umysł i serce nieskażone, a następnie sprawił, iż ją w nowym zawodzie podług istotnej zasługi oceniono.

Gdy tak nadspodziewaną podporę babka w córce znalazła, jednocześnie i z synów doczekała się wielkiej pociechy. Najstarszy, chlubnie ukończywszy nauki, niebawem dostał miejsce w znakomitym domu — powierzono mu wychowanie syna. Wkrótce dwaj młodszy bracia rozpoczęli zawód publiczny, sposobiąc się na urzędników, a czwarty, najmłodszy z braci, wstąpił do wojska. Odtąd cała ta zacna rodzina wzrastała w szacunku u ludzi, a byt jej materialny na przyszłość był już zapewniony. Babka na usilne prośby dzieci przestała wtedy przyczyniać się własną pracą do opędzenia domowych potrzeb, gdyż praca jej dzieci już była więcej jak wystarczającą na przyzwoite utrzymanie domu. Sprowadzono też do rodzinnego koła dwie siostry, bawiące dotąd przy dobrych krewnych. W krótkim czasie potem najstarsze dwie siostry wyszły za mąż. Długo byłoby i zbyt wiele opowiadać szczegółowo koleje, jakie wujowie moi przebyli; dosyć, że wszyscy wyrobili sobie o własnych siłach szacowne stanowiska. Dwóch z nich mianowicie usposobionych byliby mogli do najwyższych dojść urzędów, gdyby uczucia polskie nie odstręczyły ich były od zbyt bliskich z rządzącą władzą stosunków; woleli oni pozostać w skromniejszym działaniu zakresie, a czyniąc na dosyć już wysokich urzędach swoich<sup>37</sup>, ile mogli dobrego, zyskać u ogółu imię prawych obywateli, nie zaś odbierać tytuły i szczyty od nienawistnej sobie władzy.

Wracam teraz do matki mojej. Zdawało się jej przeznaczonem nie wyjść za mąż; w liczbie tych, co się o jej rękę starali, umarło dwóch młodych ludzi, z którymi kolejno zaręczoną była. Po kilku latach pracowitego, ale błędnego przy matce życia, została sierotą. Wtedy, nie myśląc już o zameściu, poznała człowieka, w którym znalazła odpowiedniego jak dla wieku, jak charakteru dla siebie męża. Szczęśliwe, ale niedługie było rodziców moich pożycie.

Nadmieniłam, że majątek ojca krótko przed jego śmiercią różnemi stratami mocno nadwężony został; śmierć ojca nowe sprowadziła straty — tak iż matce mojej pozostał fundusz zaledwie wystarczający na skromne utrzymanie domu; a ona myślała nie tylko o wyżywieniu i odzianiu siebie i czworga dzieci, ale pragnęła tym dzieciom zapewnić nienaruszalny majątek — wykształcenie staranne serca i umysłu. Dla osiągnięcia tego celu musiała naprzód pomyśleć o powiększeniu funduszu swoich — postanowiła więc roz-

<sup>37</sup>Dwóch z nich (...) na dosyć już wysokich urzędach — Jan Młodzianowski był sekretarzem Komisji Sprawiedliwości Królestwa Polskiego; Roman Młodzianowski referendarzem stanu w Komisji Wojny. [przypis autorski]

począć na nowo zawód nauczycielski. Było to powtórne w jej życiu poświęcenie — może nawet większe od pierwszego — bo czyż nie uciążliwiej być musiało kobiecie w latach dojrzałych i po zakosztowaniu życia wygodnego, oddawać się pracy fizycznie męczącej? Wspomnieć jeszcze muszę o okoliczności drobnej niby, ale świadczącej, jak dalece matka moja bezinteresowną i szlachetną była i jak ją oceniać potrafią. Spadek po moim ojcu, nader szczupły, jak już powiedziałam, uszczuplonym jeszcze być miał przez spłacenie części przypadającej na troje dzieci z pierwszego małżeństwa. Do masy tego spadku nie należała znaczna ilość sprzętów domowych kosztownych; matka moja nie korzystała z prawa jej służącego, by zatrzymać te przedmioty — a co więcej dołączyła do masy wszelkie od męża otrzymane podarunki w klejnotach, których wartość znacznie powiększyła ogół spadku, uszczuplając część na nią przypadającą. Pasierbowie matki, zanim czyn ten jej prosty, a jednak szlachetny wiadomy im był, zdali się byli nieograniczenie na nią, nie żądając żadnych tłumaczeń co do stanu majątkowego po ojcu pozostającego; wszakże matka moja mieć chciała, by wszelkie prawne formalności dopełnione zostały i ściśle tego dopilnowała. — Po załatwieniu interesów familijnych ta nieporównana matka niebawem rozpoczęła udzielanie lekcji; odnowiła niektóre dawniejsze stosunki i wkrótce zyskała wziętość pierwszą. — Bracia matki nalegali, by zaniechała swego zamiaru, zapewniając, iż zajmą się naszą przyszłością; ale ona nie przyjęła tej ich ofiary, odpowiadając, że póki jej sił starczy, pełnić chce obowiązki swoje — a że najpierwszym obowiązkiem matki jest los dzieciom zapewnić, ona pracować będzie, aby im, o ile możności, staranne dać wychowanie. I święcie tego dopełniała, póki mogła; — pamiętam, gdy nieraz w słotę wieczorem wracała do domu — wtedy, posiliwszy się filiżanką kawy, siadała przed kominkiem — siedziała w milczeniu — dumając wpatrzona w tłące ognisko, aż najczęściej zadrzemała, zwyciężona całodziennym trudem. Ta chwila wieczorna była dla niej, jak mawiała sama, jedyną nagrodą po pracy, jedyną rozkoszą! a tymczasem my, jej dzieci, miałyśmy guwernantkę w domu i dochodzących nauczycieli. — Przez trzy czy cztery lata matka moja prowadziła tak mozolne życie — i dopiero gdy zdrowie jej chwiać się zaczęło, ustąpiła naleganiom braci, przestając dalej pracować; — odtąd wujowie zajęli się nami iłożyli wiele na nasze wychowanie; wuj Jan objął kierunek nauk naszych, a koszta edukacji ponosili wspólnie trzej moi wujowie, z których dwaj byli nieżonaci, a jeden wdowiec bezdzietny; najstarszy z braci był też owdowiał, ale miał córkę, której wychowaniem zajmował się z całym ojcowskim czuciem. — Na tym zakończę wzmiankę o rodzinie matki mojej; powiedziałam w tym przedmiocie tyle tylko, ile powiedzieć się dało bez odbieżenia zbyt daleko od głównej w tym piśmie myśli. — Gdybym wszystko, co mi czucie moje wskazuje, wypisać miała, nie starczyłoby księgi na to. Odkąd byłam w stanie rozumieć podobne rzeczy, matka nie przestawała mówić mi o rodzinie swojej, mianowicie o braciach; opisywała mi wielokrotnie koleje, jakie przebyli, zanim doszli do obecnego stanowiska, a każde opowiadanie podobne kończyła uwagą, iż z tego my (jej dzieci) winniśmy brać dla siebie przykład — że tutaj żywy mamy dowód, ile człowiek z silną wolą a dążnościami szlachetnymi dokazać potrafi; że zresztą przyszłość nasza również od nas samych zależy — bo majątku nie mamy, nauki zaś z wujów łaski pobieramy, tem więc bardziej starać się musimy odpowiedzieć godnie tylu dobrodziejstwom. O swoich pracach i poświęceniach droga matka mówiła tylko nawiasowo i to jako o dopełnionych obowiązkach; szczegóły jej cnotliwego życia znane mi są z późniejszych opowiadań ciotek.

Częste owe matki nauki niezatarte wrażenie na umyśle moim sprawiły; jeżeli naprzód wujów przykład był dla mnie bodźcem do pilności w naukach, później stał mi się przedmiotem głębszych rozmyślań; wspomnienie o tylu pokonanych trudnościach, o pełnym szlachetności i pożytku życiu każdego z nich, budziło we mnie jakąś nieokreśloną dążność stania się też lepszą, użyteczną na świecie. Oto wpływ dobrego przykładu; — prawda w czynach więcej nauczy, silniej poruszy umysł i serce, aniżeli tego dokażą całe księgi rozumowań; tego najoczywiściej na sobie doświadczyłam i dlatego powtarzam, iż pod tym wpływem głównie rozwinęły się we mnie władze umysłowe, a czucie wyrobiło się odrębne jakieś. Mówiąc o rozwinięciu się moich władz umysłowych, nadmienić muszę, iż to u mnie późno i powiedziałabym prawie niespodzianie nastąpiło; od dzieciństwa miałam do nauk bardzo tępe pojęcie, a szczególnie brak zupełny pamięci; matka i wuj Jan długo przypisywali to lenistwu, ale w końcu musieli się o prawdzie przekonać. Dostrzegli oni u mnie wielkie zamiłowanie do rysunku i muzyki; — nie mogłam mieć więcej nad siedm



lub ośm lat, kiedy sama z siebie zaczęłam kreślić różne kształty na okładkach od książek najczęściej; ten oczywisty dowód chęci, jeżeli nie talentu, sprawił, iż niebawem wzięto dla mnie nauczyciela rysunków. Jednocześnie zaczęłam się i muzyki uczyć; lecz pomimo widocznego z mej strony zamiłowania do tych przedmiotów, mianowicie do rysunku, wuj Jan długo wątpił, ażebym miała talent; pracowałam usilnie, z natężeniem, a jednak nauczyciel więcej upatrywał zdolności w robotach rodzeństwa, którzy tylko dodatkowo ze mną wspólnie brali lekcje. Po paru latach nauki dopiero zaczęto odkrywać zdolności we mnie; — zamiłowanie coraz większe, wraz z usposobieniem pewnym do rysunku, a więcej talentu i łatwości do muzyki; — wszakże postępy robiłam jeszcze mierne przez parę lat następnych; bo jak to już powiedziałam, pojęcie miałam ogólnie tępe bardzo; długo zdawało się, że u mnie wszelkie czucie uśpione, a władza myślenia, zastanawiania się nawet całkiem mi odjęta; byłam wtedy usposobienia jakiegoś dziwnie ociężałego — mało mówiąca, często zasępiąca lub ospała<sup>38</sup>, a jednak strona artystyczna od najpierwszych lat drgała w mej duszy. Oto dowody: — na wsi jeszcze, to jest licząc zaledwie lat pięć, zauważałam w jednym z pokoi żelazny piecyk, na którym wyciśnione postaci podziwienie moje i zachwycenie wywoływały; często stawałam przed tym bez wątpienia nieudolnym sztuki utworem i w niemem uniesieniu przypatrywałam mu się; nikt pewnie wtedy nie zauważał tego, ale ja zachowałam dotąd to pierwsze najsilniejsze z lat dziecinnych wspomnienie. Pamiętam też drugie współczesne tego rodzaju wrażenie; — wywołane było widokiem malowidła na ścianie; fresk ten co do wartości artystycznej równy był pewnie pomienionej niby płaskorzeźbie; wiem tylko, iż mię równie zajął, i pamiętam, że przedstawiał ogromny wazon z kwiatami. Najsilniejsze jednak, ale też znacznie późniejsze od tych pierwszych wrażenie, sprawiła na mnie muzyka; — było to w drugim lub trzecim roku nauki mojej, gdy już większe zaczęłam grywać sztuczki; w jednej z tych znajdowało się andante minorowe; wyuczyłam się była onego i ze szczególniejszym zamiłowaniem raz grając je w obecności nauczyciela, doznałam jakiegoś dziwnego smutku; przerwałam nagle zaczęta melodię i siedziałam chwilę nieruchoma — nie rozumiałam, co mi było, tylko czułam niezwykle w sobie wzruszenie; po chwili zaczęłam grać na nowo, wtedy przeszłam w inny jeszcze dziwniejszy stan, — obrazy jakieś snuły mi się po myśli, — a wszystkie smutne — nawet ponure; w końcu wystawiłam sobie, iż gram marsz pogrzebowy — że podobną muzykę wykonywać musiano na pogrzebie ojca mojego... Z tem szczególniejszym wyobrażeniem zerwałam się od fortepianu zalana łzami i ukryłam się w odosobnionym pokoju, by się wypłakać do woli. Zaiste było to gwałtowne przebudzenie się czucia; owe jakieś obrazy, myśl o pogrzebie ojca, którego nie pamiętałam — pogrzebu też nie widziałam, bo ojciec bawiąc w Warszawie dla kuracji, umarł — wszystkie te wyobrażenia, były całkiem fantastyczne, niczem niewytłomaczone. — Po tem pierwszym silnem wstrząśnieniu zaczęłam coraz szybsze robić postępy w muzyce i rysunku, ale rozwijanie się umysłu mego nie postępowało na równi z talentami; zupełny brak zastanawiania się nad wszystkim, co mnie otaczało, to — że tak powiem — lenistwo myśli, ciążyło na mnie aż do lat czternastu; — w tej epoce mama zmieniła dotychczasową naszą guwernantkę, Niemkę, na inną, Francuzkę; tej to zacnej kobiecie winna jestem rozbudzenie uśpionej dotąd myśli mojej. Nie wątpię, że prędzej lub później nastąpiłoby było to przesilenie w umyśle moim; ale nie wiem, czy równie szybko i łatwo. Ostatnia moja guwernantka miała pojęcia jasne, trochę lekceważąco-filozoficzne o świecie i ludziach; obok tego była serca najlepszego; polubiła mię bardzo, a spostrzegłszy we mnie zbytęcną na mój wiek niewiadosć co do stanowiska i powołania kobiety (gdy zarazem zauważała już wtenczas starania niektórych, by się mnie podobać), uznała za stosowne oświecić mię dla oszczędzenia mi zbytęcných złudzeń lub nadto wczesnego rozczarowania. Uczyniła to wszakże z największą oględnością, z taktem właściwym sobie; nie rozumowaniami starała się dać mi wyobrażenie o świecie i społeczeństwie; opowiadanie jej o prawdziwych wydarzeniach, po większej części z jej własnego życia zaczerpnięte, najbawienniejsze na mnie sprawiły wrażenie. Po krótkim z nią pobyciu (bo tylko półtora roku bawiła w domu naszym i opuściła dla zdrowia zawód nauczycielski), po tym mówię niedługim z nią stosunku, poznałam sama w sobie wielką zmianę; myśl ocknięta poczęła pracować; —

<sup>38</sup>byłam wtedy usposobienia jakiegoś dziwnie ociężałego (...) ospała — Były to, zdaje się, następstwa przebytej w dzieciństwie choroby, zapalenia mózgu. [przypis autorski]

wtedy dopiero zapragnęłam wyższego kształcenia; — dobroć ojcowska wujów otworzyła nam ku temu pole; nakłonili oni mamę i dopomogli, aby na parę lat wyjechała z nami zagranicę, do Drezna; dla ukończenia edukacji.

I znów droga matka nowe zrobiła dla swych dzieci poświęcenie; — ona, co po pracowitym życiu potrzebowała i pragnęła jedynie spokojności, rzuciła ulubione swoje domowe zacisze, by zażyć trudów podróży, by przepędzić lat parę z dala od rodziny, w obcym kraju, którego język nie był jej znany, a ludzie jako Polce niesympatyczni.

Zanim mówić będę o tej pierwszej mojej podróży, stanowiącej ważną w mojem życiu epokę, nadmienić jeszcze muszę o okoliczności ubocznej niby, jednak nie bez znaczenia w historii rozwoju mego normalnego. Jeżeli wpływ zbawienny guwernantki rozbudził we mnie myśli i dążenia lepsze, z drugiej strony inny wpływ poruszył uczucia płocze, z którymi mniej więcej każda dziewczynka rok piętnasty kończy. Wpływ ten, jakkolwiek krótkotrwały i tylko powierzchowny, wywarła na mnie przyjaciółka od lat dziecinnych, pokrewna mi rówieśniczka wieku. Dziewczyna ta o tyle miała bystrości pojęcia i lekkości w wyobrażeniach, o ile ja miałam ociężałości i posepności. Nasze charaktery różniły się więc najzupełniej — ona była zawsze trzpiotowata, gadatliwa, dowcipkująca i często dowcipna, ja, jak już wspomniałam, byłam milcząca i najczęściej zasepiona. Pomimo tej sprzeczności w usposobieniach, zgadzałyśmy się z sobą jak najlepiej i aż do lat piętnastu byłyśmy serdecznymi przyjaciółkami. Czułam ja zawsze jakąś nad sobą wyższość i przewagę mojej kuzynki, ale poddawałam jej się dobrowolnie, bo w duszy przekonana byłam, że ona mnie kocha równie jak ja ją z całego serca. Wyższość jej zasadałam nie tylko na wielkiej łatwości jaką miała do nauk, ale na pojmowaniu myśli i uczuć, których ja wcale jeszcze zrozumieć nie mogłam. I tak na przykład w czternastym roku ona już czytała romanse i zachwycała się niemi; jako przyjaciółka chciała i mnie dać poznać rozkosz, którą sama znajdowała w tem czytaniu; przynosiła mi tego rodzaju książki — ja w dobrej wierze brałam się do czytania, ale nie tylko myśli ogólnych, ale nawet wielu wyrazów zrozumieć nie mogłam; jednak nie wydałam się z tym przed rówieśniczką moją; — pomimo nieograniczonego do niej zaufania, nie chciałam dać jej poznać tak wielkiego u siebie braku pojęcia! Było to wrodzone uczucie dumy jakiejś, które zawsze miałam i którego nawet względem przyjaciółki pokonać nie zdołałam. Pewną jest rzeczą, że wpływ wyobraźni romansami podsycanej mógł skrzywić moje dotąd dziecinne czucie; wszelako umysł mój, tępy do wszystkiego naówczas, nie był w stanie przyjąć podobnych przedczesnych wrażeń; książki zachwalane i dawane mi przez przyjaciółkę do czytania, porzucałam, nie doczytując. Ale rozmowy jej w podobnych przedmiotach zaczęły w końcu robić pewne na mnie wrażenie; budziły one jakiś dziwny niepokój w umyśle moim; wzruszenie doznawane na słowa: „miłość, kochanek” itp. było całkiem dla mnie samej niewytłomaczone, bo znaczenia słów tych nie pojmowałam wcale; a jednakże, słysząc je wymawiane, czułam, że się mieniłam na twarzy. Było to oczywiście wrażenie całkiem dziecinne, wywołane mową, jakkolwiek dla mnie niezrozumiałą, ale powtarzaną często i z niezwykłą żywością; co więcej pewna tajemniczość, jaką kuzynka otaczała się, by mi swoje uczucia malować, głównie mię poruszała — już to że tajemnica zawsze działa na wyobraźnię młodą, a przy tym czułam instynktowo, iż matka moja potępiłaby te rozmowy, gdyby je słyszała, i nie pomyliłam się. Matka dostrzegła częste moje z kuzynką odosobnianie się — wpadła jej też w ręce jedna z pożyczanych mi romansowych książek; wtedy, przywoławszy mię, w obecności przyjaciółki, zakazała mi surowo czytywać jakiegokolwiek książki, których by ona sama wprzód nie przejrzała; następnie zganiła te nazbyt częste i długie rozmowy na osobności — wykazała ich niestosowność, mówiąc, iż zdawałoby się, jakobyśmy miały jakie tajemnice, a dziewczynkom czternastoletnim tajemnic mieć nie wolno, mianowicie przed matką. Potem mnie mama sam na sam powiedziała jeszcze, że ona nigdy nie upatrywała w kuzynce mojej dobrego charakteru ani serca, że pragnęłaby, abym ja sama to zrozumiała i zmieniła ścisły przyjaźni stosunek na umiarkowane obcowanie z kuzynką. Zbyt jeszcze byłam dziecinna, by tę drogiej matki przestrogę pojąć, jednak, jeżeli nie z przekonania, to z obawy gniewu matki unikałam odtąd rozmów tajemniczych i książek więcej nie brałam — co mnie zresztą nie kosztowało bynajmniej, bo ani jedno, ani drugie nie zajmowało mnie wcale, ponieważ nic zrozumieć nie mogłam. Co do stosunku z kuzynką, ten został najprzyjaźniejszy; nawykłam była do obcowania z nią tak dalece, iż gdy w ciągu tygodnia widzieć się nie mogłam z przyjaciółką, pi-

sywałam do niej. Dopiero przybycie w dom nasz zacnej pomienionej guwernantki, nie ostudziwszy bynajmniej czucia mego dla kuzynki, sprawiło wszakże pewne w stosunku z nią zmiany; i tak rozmowa jej, dawniej z mej strony słuchana z pewnem niespokojnem natężeniem, teraz wydawała mi się dziwna jakaś — często śmieszna — ale to tylko, gdy na uczuciu toczyła się polu; w tym to bowiem przedmiocie guwernantka najwięcej ze mną rozmawiała — zawsze ostrzegając, ażebym słów pochlebnych od osób nieznanych mi, mianowicie też od mężczyzn, za szczere wyrażenie uczucia nie brała; że ci panowie za ukazaniem się piętnastoletniej dziewczyny zwykle jej sypią komplementa dla zabawienia się jej łatwownością lub też objawienia się jej miłości własnej, którą pochlebstwami umyślnie podniecają. Na poparcie tego zdania, opowiadała mi stosownie z pierwszej swojej młodości przygody i zawsze mowa jej rozumiałą dla mnie i przekonywającą była. Gdy po takiej z guwernantką rozmowie kuzynka moja w tym przedmiocie swoim sposobem mówiła, uderzał mnie zupełnie odmienny jej sposób widzenia. Ona znajdowała przyjemność, szczęście nawet, w odbieraniu tych hołdów, które przecież próżnemi tylko, a często obłudnemi były słowami. Ta sprzeczność wyobrażeń coraz mię więcej uderzała — jednak, jak już wspomniałam, nie przestałam obok tego kochać najserdeczniej moją kuzynkę i uważać jej za prawdziwą moją przyjaciółkę. W takim to kierunku umysł mój i czucie rozbudzone i pokierowane były, gdy nastąpił wyjazd nasz zagranicę.

Pierwsza podróż jest, zdaje mi się, dla każdego, a mianowicie dla młodych ludzi, źródłem najżywszych i najmilszych wrażeń. Ja niewysłowionej doznawałam rozkoszy w tej swobodzie podróży — w oglądaniu coraz to nowych okolic. Wszystko mię zajmowało, wszystko wydawało się pięknem — a ze wszystkiego widok natury miał dla mnie urok najwyższy.

Pierwszym celem tej podróży był Marienbad w Czechach, gdzie mieliśmy przepędzić kilka tygodni za poradą doktorów, dla polepszenia zdrowia mamy. Po ukończeniu kuracji udaliśmy się do Dreżna, by tam, stosownie do dawniejszego postanowienia, oddać się naukom. Mama, urządziwszy dom, postarała się o najlepszych dla nas nauczycieli. Wtedy jako wstęp do rozpocząć się mających nauk naszych miała z nami (naówczas już dorastającymi panienkami) długą rozmowę. W tej przypomniała nam naprzód odebrane już dotąd od Boga przez opiekunów naszych dobrodziejstwa — następnie przedstawiła nam jako wielką Opatrzności łaskę, tę sposobność wyższego wykształcenia się i poznania zarazem obcych krajów, gdzie nauki i sztuki do nierównie wyższego niż w ojczyźnie stopnia są posunięte; w końcu wykazała nam, jaką odpowiedzialność zaciągamy co do użycia czasu przez ciąg pobytu w Dreźnie — odpowiedzialność przed Bogiem i przed opiekunami, którzy przez kilka już lat nie szczydzili wydatków na wychowanie nasze, a obecnie więcej niż kiedykolwiekłożyć chcą, byleśmy jak najwięcej w naukach skorzystały. O poświęceniu ze swojej strony droga matka wspomniała jak zwykle nawiasowo; powiedziała tylko, iż, co do niej, robiła i robić będzie, co potrafi, by ułatwić nam pracę; że największem z jej strony poświęceniem jest wydalenie się z rodzinnego kraju i rozłączenie z rodziną, i że nic jej osłodzić nie zdoła tego rozstania, jedynie tylko przekonanie o pilności i postępach naszych. — Ta mowa matki silne i zbawienne na mnie zrobiła wrażenie; przyrzekłam mamie, a w duszy przed Bogiem postanowiłam, odtąd z całych sił pracować nad własnym wykształceniem. — Plan nauk został zachowany ten sam co wprzód, z tą tylko różnicą, iż nauki przez wyżej usposobionych nauczycieli wykładane tutaj były. Udzielano nam przedmioty następujące: języki francuski, niemiecki, włoski — arytmetyka, jeografia, historia — z talentów muzyka, śpiew, rysunek. Co do ojczystego języka, musiałyśmy tutaj same pracować, czytając książki polskie wyborowe i pisząc dziennik. W pierwszym roku pobytu w Dreźnie, ten plan nauk aż nadto był dostateczny; dopiero w roku następnym dodano jeszcze parę przedmiotów, jako: co do języków literaturę — zamiast jeografii cokolwiek fizyki i astronomii, mitologię; — w muzyce, oprócz dotychczasowej nauki fortepianu, naukę harmonii, a dla mnie wyłącznie wyższego profesora malarstwa.

W pierwszym roku dawniejsza moja ociężałość jeszcze mi się nieraz uczuwać dawała; musiałam pracować wiele dla zrozumienia i spamiętania udzielanych mi przedmiotów; mianowicie zachowanie w pamięci zasad gramatycznych, epok w historii (tj. dat), nazwisk miejsc, trudnym dla mnie było i pozostało; wszakże pomimo to nabyłam pewnej łatwości mówienia i pisania trzema językami — lecz to głównie przez częste tych języków używanie i niejaki obznajmienie się z ich literaturą.

Jeżeli w skutku własnych usiłowań i ułatwień ze strony dobrych profesorów, osiągnąć zdołałam znaczny dosyć postęp w naukach, bez porównania więcej zyskałam na ogólnem rozwinięciu myśli i czucia przez dwuletni zagranicą pobyt; — widok przedmiotów sztuki, w jakie Drezno obfituje, kształcił gust mój, budził czucie piękna i wrodzone mi zamiłowanie do sztuk zamienił w cześć wszystkiego, co bliższe doskonałości. — Pojęcia o świecie i ludziach też coraz jaśniej wyrabiała się w myśli mojej; podstawą własnych w tej mierze spostrzeżeń były dla mnie ostatniej guwernantki mojej zasady; jednak między jej a moim sposobem widzenia znaczny z czasem pokazał się odcień; — gdy ona z pobłażliwą litością na ułomności ludzkie poglądała, ja patrzałam na nie z pogardliwą litością; jeżeli w swym obcowaniu z ludźmi ona okazywała w ogóle niejaką lekceważącą obojętność, u mnie przeważającym nad obojętność stało się jakieś uczucie nieufności, a raczej podejrzliwości. Różnica ta da się wytłumaczyć naprzód odmiennym wiekiem, ale więcej różnicą charakterów; guwernantka moja była usposobienia wesołego i powodowała się ową lekką filozofią, co stanowiła główną cechę Francuzów; — ja nigdy nie znałam prawdziwej dziecinnej wesołości; zwłaszcza odkąd myśleć zaczęłam, umysł mój zajmować się lubiał przedmiotami poważnemi, smutnemi często; poglądałam więc na świat okiem badawczem raczej, aniżeli prosto ciekawem. Po niezbyt długiem zapatrywaniu się na ludzi dostrzegłam w nich kłamstwo, obłudę, a mając wrodzoną odrazę do wszelkiego fałszu, gardziłam ludźmi, nie doznawszy od nich jeszcze nic złego osobiście; — pomniałam też zawsze na zdanie guwernantki o wszelkich zbyt głośnych oświadczeniach życzliwości i pochlebnych słowach obcych ludzi; stąd powstała we mnie nieufność, która w tem większe zamieniła się niedowierzanie, gdy przekonałam się sama, jak mało czucia znajduje się tam, gdzie wiele słów i powierzchownych oznak.

Pośród rozmaitych władz duszy i uczuć, jakie stopniowo rozwijały się u mnie w tej ważnej przebudzenia chwili, najsilniej odezwało się uczucie narodowości — miłości ojczyzny. Póki w kraju byłam, uczucie to istniało wprawdzie we mnie, ale było ono niejako instynktowe, tak jak w ogóle wszystkie inne wtedy u mnie uczucia; dopiero gdy umysł wszechstronnie pracować zaczął, gdy poznałam obszerniejsze dla siebie pole, wtedy przysły za innemi poważnemi myślami i myśli o ojczyźnie. Wolność mówienia w tym przedmiocie, wyrażania całej goryczy, jaką dusza przepelniona jest dla ciemieźców, to tylko zagranicą dozwolonem jest Polakom; tutaj więc dopiero, przez przysłuchiwanie się rozmowom starszych pojęłam ucisk rodzinnego kraju; a gdy raz myśl w tym przedmiocie boleśnie dotknięta została, już nie spoczęła, tylko coraz więcej burzyła się, pracowała, a serce i duszę karmiła goryczą. Odtąd miłość dla ojczyzny stała się głównym bodźcem dążeń moich; nie potrafiłam ja sama zdać sobie sprawy naówczas z tego jakiegoś pragnienia, by stać się w ojczyźnie użyteczną; nie widziałam jeszcze żadnej przed sobą drogi, na której mogłabym w tym kierunku postępować; ale czułam, że wszystkie inne uczucia przewyższało u mnie czucie dla ojczyzny — wszystkie myśli, czy smutne, czy wesołe, przytłumiało jedno wspomnienie o cierpieniu współziomków. Staralam się powziąć ile możności najwłaściwsze wyobrażenie o położeniu kraju mego; miałam w Dreźnie wielką łatwość wynalezienia książek w tym przedmiocie; jednak nie w suchych rozprawach szukałam głównie potrzebnych wskazówek; znajdowałam je raczej w opowiadanych faktach okrutnych prześladowań. Głębokie też wrażenie sprawiało na mnie czytanie książek, gdzie nie dowodzeniem rozumowanym, ale uczuciem przemawiano; — łatwo pojąć, że będąc jeszcze zbyt młodą i nie dosyć rozwiniętą umysłowo, prędeji i chętniej szłam za popędem serca niżeli rozumu. Najsilniej poruszyły mię dzieła Mickiewicza. Jeszcze w kraju będąc, słyszałam wymawiane ze czcią jego nazwisko i przejęłam się dla samego nazwiska czcią ogólną, wiedząc o Mickiewiczzu tyle tylko, że wielkim jest pisarzem i potępiony od rządu. Ten ostatni wzgląd szczególnie dostatecznym był, ażeby obudzić u mnie instynktowe dla M. uwielbienie, tak jak w ogóle instynktowo naówczas przejęta byłam czuciem dla sprawy narodowej. W tym przedmiocie rzadko i mało co słyszałam będąc w kraju; byłam wtedy dzieckiem jeszcze. a matka bardzo przestrzegała, byśmy dzieci nie bywały obecne jakimkolwiek poważnym starszych rozmowom; zaś rozmów o sprawie narodowej wystrzegano się w domu naszym tym więcej, że samo z Mickiewiczem powinowactwo musiało na rodzinę naszą zwracać uwagę.

Gdy po raz pierwszy czytałam jego dzieła, nie byłam jeszcze w stanie rozumieć wszystkiego; w poezjach miłosnych nie znajdowałam żadnego upodobania, nawet gdy je już

rozumieć mogłam! — bo miłość kochanków, gdy się po raz pierwszy nad tem uczuciem zastanawiać zaczęłam, wydała mi się rodzajem szaleństwa — później widziałam w niej tylko egzaltację młodych wyobraźni, a w końcu osądziłam, iż to jest jedno z najbardziej samolubnych i najmniej trwałych uczuć ludzkich. Więc nie pierwsze to części poematu *Dziady*, ani rozpacz Gustawa poruszyły mię do głębi duszy sprawiły przede wszystkim *Dziady* część trzecia, te to księgi męczeństwa polskiego, również niektóre ustępy z *Wallenroda*, a nareszcie prelekcje Mickiewicza jako profesora języków słowiańskich w Kollegium Francuskim. W tem ostatniem dziele nie rozumiałam niektórych rzeczy mistyczno-filozoficznych, nie mogłam ich zrozumieć, bo te ustępy zagadką były i są dla wielu; ale pominąwszy te tak zwane nowe idee<sup>39</sup>, myśli i uczucia Mickiewicza jako Polaka naprzód w ucisku i prześladowaniu, potem jako wychodźcę polskiego, cierpiącego i pracującego dla ojczyzny w obcym kraju, te jego słowa gorejące najczystszy ogniem miłości ojczyzny, rozżarzyły w mej duszy iskrę, co tam tłała na dnie. Czytając krwawe sceny z więzień, skargi i przekleństwa męczenników polskich, słyszałam jęki, rozumiałam mowę wielkiej zbolalej duszy; wtedy to po raz pierwszy poznałam cierpienie, chociaż mię nie dotknęło było żadne jeszcze osobiste nieszczęście. Mickiewicz był dla mnie uosobieniem idei narodowej, tłumaczem cierpień i walk narodu całego i ja, siedmnastoletnia naówczas dziewczyna, poczułam w sobie, wraz z oburzeniem przeciw ciemności, odwagę, jeżeli nie siłę do walki. Odtąd powstało, iż we mnie owe nieokreślone drżenie służenia sprawie narodowej; ta myśl stała się, jak już wyżej powiedziałam, bodźcem wszelkich moich czynności, wpadłam wtedy w pewien stan egzaltacji, co droga moja matka z trwogą zauważyła. Nie broniąc mi czytać i odczytywać dzieła pomienione, starała się uspokajać wzburzoną myśl moją; przedstawiała, że kobieta, a zwłaszcza też młoda dziewczyna, do niczego dobrego nie dojdzie przez żywienie w duszy nienawiści, zżymanie się przeciw wyższym zrządzieniom. Podobne uczucia — mówiła — dostarczają tylko ofiar tyranom, czego same te książki i polska emigracja dowodzą. Ja odpowiadałam gorzkimi słowami lub łzami; lecz gdy mając wracać już do kraju, mama zażądała ode mnie świętego przyrzeczenia, iż na ziemi polskiej do nikogo ani się nie odezwę z temi mojemi niebezpiecznymi wyobrażeniami, gdy mi z wyrazem cierpienia powiedziała, że od tego mego przyrzeczenia spokojność jej zależy, — przyrzekłam wszystko i święcie dotrzymałam. Zresztą własny rozsądek byłby mi wzbroniał za powrotem do kraju wdawać się w głośne rozprawy i żale nad uciskiem ojczyzny; wiedziałam ja dobrze, iż dosyć byłoby objawić cześć dla wolności i dla tych, co za nią cierpią, ażeby nie tylko samej popaść w nieszczęście, ale rodzinę całą wystawić na prześladowanie. Czułam też, że nie słowem odtąd powinno się służyć krajowi; — już powiedziano (i jak powiedziano!) wszystko, co było do powiedzenia — a gdy w najodleglejszym kraju zakątku już usłyszano i rozumiano słowa wolności, nie mówić wtedy, tylko działać trzeba. Otóż ja pragnęłam czynem służyć ojczyźnie — ale jak, gdzie, kiedy — tego nie wiedziałam sama. — Gdy te uczucia patriotyczne duszą moją zawładnęły, byłam właśnie w wieku, w którym u kobiet w ogólności nie tyle władze duszy, jak serca wymagania budzić się zwykły. U mnie stało się najprzeciwniej; i jak się teraz zastanawiam, dziwną sprzeczność istota moja zawierała wtedy w sobie; obok najgwałtowniejszego czucia we względzie wolności narodu mego, obok nieokreślonej, namiętnej miłości ojczyzny, nie pojmowałam ja miłości dla pojedynczej istoty, owego uczucia, co przepelnia serce siedemnastoletniej dziewczyny, co jest przedmiotem jej wszystkich marzeń — miłości Kochanków.

Nie brakło mi jednak na sposobności rozbudzenia serca z tego letargu<sup>40</sup>. Bawiąc u wód<sup>41</sup>, poznaliśmy się z pewną rodziną, gdzie był syn dwudziestoletni. Mama, która w ogóle nie lubiła zabierać przypadkowo znajomości, tutaj widziała się niejako zmuszoną do tego. Sąsiadowaliśmy przeze drzwi z tą rodziną — przez tydzień nie spotkaliśmy się z nikim z naszych sąsiadów i aniśmy pamiętali, że tam ktoś mieszka, gdy raz służąca nasza, niepytana, powiedziała mamie, że u tych państwa wielkie zmartwienie, bo ich syn niebezpiecznie chory i dlatego tam zawsze tak spokojnie i cicho; dodała też ciekawa i gadatliwa

<sup>39</sup>tak zwane nowe idee (...) — Dalej w rękopisie wykreślone powyżej słowa: „(zamierzam dalej obszernie o tem mówić) pominąwszy to na teraz, powtarzam, iż”. [przypis autorski]

<sup>40</sup>sposobności rozbudzenia serca z tego letargu — Opowiem tutaj pokrótce tę okoliczność, ważną ze względu, iż spowodowała dalszy mój postęp moralny. [przypis autorski]

<sup>41</sup>Bawiąc u wód — W drugim roku pobytu zagranicą. [przypis autorski]

dziewczyna, że ta rodzina składa się z dwóch sióstr, niemłodych już wdów po generałach rosyjskich, a panicz chory to syn jednej z tych pań. Wiadomość, iż to rodzina moskiewska wcale sympatii naszej nie obudziła; — ale że mama droga zawsze powodowała się uczuciami ludzkości, przykazała nam zachowywać się odtąd jak najciszej i wzbronila całkiem grać na fortepianie, póki nam wiadomo nie będzie, że u sąsiadów choroba minęła. Służąca nasza, obecna tym mamy rozporządzeniom, nie omieszkała powtórzyć wszystkim służącym sąsiadów, o czym dowiedzieliśmy się później; i ta gadatliwość Joasi nastęrczyła nam miłą, jakkolwiek w razie niepożądaną znajomość. — W kilka dni później, generałowa C. matka chorego, przyszła do mamy z wizytą i na wstępie z uczuciem podziękowała za dowód współczucia dany jej, nieznamym jeszcze; mama droga z zadziwieniem odpowiedziała, nie pojmując, skąd ta pani o jej czynie tak prostym dowiedzieć się mogła; wtedy wykryła się niewinna tym razem plotka naszej Joasi. Przy tym pierwszym widzeniu się pani C. pozyskała mamy sympatię i nawzajem mama moja zdała się tej pani do serca przypadać...

(tu brakuje)

...jasny, a co więcej, że przeważny miał udział w rozszarpaniu mego ojczyznoego kraju. Uczucia rodzinne powiększyły moją tęsknotę za krajem; po dwuletnim rozłączeniu z rodziną drogiej matki, więcej jeszcze niż przedtem kochałam ich wszystkich, raz że pobyt w Dreźnie, a z nim postępnój wszechstronny winna byłam głównie wujom — a potem, że przez ten czas poznawszy lepiej świat i ludzi, mogłam teraz dopiero oceniać dobroć i szlachetność właściwą rodzinie matki. Jeden z trzech wujów naszych przez czas pobytu naszego zagranicą odwiedził nas dwa razy; w pierwszym roku zabawił parę miesięcy i powiósł nas z Marienbadu do Pragi Czeskiej, by nam dać poznać stare słowiańskie miasto — następnie zawiósł nas też na Lipsk do Berlina i posunęliśmy się aż do Szczecina, skąd chciał wuj popłynąć z nami do morza — ale, na mój wielki smutek, odradzono mu to dla spóźnionej pory. Z tych wszystkich miast, Praga jedynie zrobiła na mnie odrębne wrażenie; tam nie tylko położenie malownicze miasta, nie tylko piękne jego starożytnie gmachy zajmowały mię mocno; głębiej niżeli to wszystko poruszały mię wspomnienia przeszłości słowiańskiego kraju, który niegdys był w związkach bliskich z naszym i również miał świetną przeszłość i byt niepodległy; te wspomnienia wywołał wuj zwiedzając z nami i tłumacząc nam historyczne pamiątki starej Pragi. Gdyśmy wracać mieli do kraju, tenże wuj przyjechał po nas, zamierzał on powieźć nas chociaż na krótko do Włoch północnych, ale się to zrobić nie dało dla zbyt wielkiego kosztu. Wróciliśmy do Polski przez Szląsk; a dla wynagrodzenia nam zawiedzionych nadziei co do poznania części Włoch, wuj kochany zboczył z nami do Krakowa. Miał on w każdym razie przed powrotem naszym w rodzinne strony być z nami w Krakowie; — mówił, iż byłoby grzechem, odbywając dalszą podróż, pominąć Kraków; — zwiedziwszy obce miasta, nie poznać tego starożytnego grodu, kołębki ojczyzny naszej. — Jeżeli doznany zawód w zamiarach podróży był mi przykry, to wycieczka nasza do Krakowa wynagradzała mi sownie mylne nadzieje. Zabawiliśmy tylko ośm dni w Krakowie, a przecież wywiozłam stamtąd wrażenia niezatarte; — trudno je i zbytęcznie opisywać; serce polskie odgadnie, czego wypowiedzieć nie można. Zwiedziliśmy dokładnie Kraków i jego okolice; — z jakimże uczuciem zrywałam kwiatki na wszystkich pamiętnych w okolicy miejscach. — Byliśmy też i w Wieliczce, — tam, na widok tych wzniosłych podziemiów, doznałam wrażeń silniejszych od wszelkich innych dotychczasowej podróży. — Opuszczałam Kraków ze ściśnionem sercem; a to nie tylko z żalu, że musiałam rzucić ten skarbiec pamiątek polskich; — dusza moja głębszego w owej chwili doznawała bólu; wszystkie naraz uczucia polskie, wszystkie wspomnienia minionej chwały mego narodu, odezwały się w duszy, sercu i umyśle; i wyjeżdżałam z Krakowa, naówczas mającego jeszcze cień wolności i narodowości (bo mianował się wolnem miastem i orzeł biały błyszczał jeszcze w herbie Krakowa), wyjeżdżałam stamtąd, żeby wrócić do Polski zgębnionej, przyciśnionej niewolą moskiewską.

Nieopisanego też a okropnego doznałam uczucia, na widok słupów granicznych tak zwanego Królestwa Polskiego; narodowe kolory jakby dla szyderstwa zostawione, tylko z dodatkiem czarnej pręgi, godła żaloby, — a orzeł biały, drobny, nikły, błyszczący jednak na czarnych piersiach orła moskiewskiego. Na ten widok, zdało mi się, że kamień piersi moje przytłoczył; — ogarnął mię ciężki, głęboki smutek, który opuścił mię dopiero przy powitaniach z drogiemi dla mnie osobami. Po powrocie do Warszawy przez

parę miesięcy używałam szczęścia, jakiego każdy doznaje, wróciwszy do rodziny po długim rozłączeniu; ciche to szczęście domowe ukolysało czasowo, przytłumiło owe bolesne uczucie, z jakim wstąpiłam na ziemię ojczystą; po tym krótkim czasie czekały mię nowe smutki, a te rozbudziły w mej duszy nową bolesną strunę. — Dwóch z wujów, opiekunów naszych, zachorowali nagle, jeden po drugim w kilka dni, — a w parę tygodni jeden po drugim pomarli. Śmierć ich jak grom uderzyła serce i myśl moją; — strata opiekunów, dla których miałam uczucie córki, nie tylko mię boleśnie dotknęła, ale wstrząsnęła mną do głębi duszy. Pierwszy to raz z bliska zobaczyłam śmierć — pierwszy raz ocknęła się u mnie myśl o znikomości ziemskich rzeczy; było to straszne światło rzucone nagle w młoda, a już znającą cierpienie duszę. Teraz odezwały się w niej jakby echem uczucia zwątpienia i zniechęcenia, jakie rokiem p. C. wprzód objawiła mi u siebie; — wtedy gorzkie jej myśli, jakkolwiek boleśnie mię uderzyły, nie wniknęły jednak do duszy mojej, tylko ją niejako drasnęły powierzchownie; ale obecnie stanęły one żywo jakby dotykalnie w umyśle moim i zachwiały prostą dziecięcą moją dotąd wiarę, — wiarę w Boga dobrego, sprawiedliwego i wszechmocnego. — Każdy, co przeszedł tą smutną koleją, co po marzeniach młodocianych, poznał bolesną rzeczywistość, zrozumie, co się natenczas ze mną działo; pojmą to szczególnie ci, którzy w duszy mając pragnienie prawdy i dobra, uczuli w młodzieńczych latach brak prawdy i dobra na ziemi, tak jak ja to odczułam. Odtąd utraciłam na zawsze swobodę myśli, zwątpiłam o szczęściu na ziemi, a raczej wzgardziłam niem, bo poczułam znikomość wszystkiego, co ziemskie. Wszelako czas byłby może złagodził to smutne usposobienie, gdybym wkrótce potem nie była doznała zawodów i udręczeń różnych, które następowały po sobie nieprzerwanie przez lat parę. Pierwszy zawód, jaki mnie dotknął do żywego, spotkał mię od przyjaciółki z lat dziecinnych, od owej kuzynki, którą tak serdecznie kochałam. Po naszym powrocie z zagranicy znalazłam ją zrazu niezmienioną; odkryłam w niej wprawdzie wielką chęć podobania się, mężczyznom szczególnie; — nie lubiąc tego uczucia w kobiecie, w niej też go nie pochwalałam; jednakże, jak to zwykle bywa, pobożalam jej w tym względzie, bo ją kochałam i w jej dla mnie przyjaźń wierzyłam. Nie zmienił się więc w niczym stosunek mój z przyjaciółką; rozmowy z nią, tak jak dawniej nieskończone, prowadziłam często; — tylko że teraz nie słuchałam jej zdań z dawniejszą uległością i uznaniem jej wyższości; już teraz miałam własne zdanie o wielu rzeczach i bez wahania objawiałam je, mianowicie przed nią, w której nieograniczone miałam zaufanie. Ona słuchała mnie z uwagą, ale często różniły się nasze zdania i to w przedmiotach ważnych. Kuzynka moja była, jak to już wyżej powiedziałam, wcześniej ode mnie rozwinięta umysłowo; pojmowała wiele rzeczy, których ja nie rozumiałam, o których nawet nie wiedziałam. Ta między nami różnica w pewnych względach istniała jeszcze po moim powrocie z zagranicy; ja, chociaż teraz już zastanawiałam się i zbadać usiłowałam życia zagadkę, nie zajmowałam się wcale przedmiotami dotyczącymi jedynie bytu naszego ziemskiego; przeciwnie — wszystkie te tysiączne zabiegi i względy światowe, były dla mnie rzeczą obojętną — często nawet przeciwną; jednym słowem, żyłam przede wszystkim duszą i myślą, przez co stawałam się niepraktyczną, a dla niektórych dziwaczną.

Co do kuzynki mojej, ta postępowała dalej swoją drogą, to jest w kierunku zupełnie przeciwnym; ona pojmowała życie praktycznie — zajmowała się i dążyła za szczęściem po ziemsku; a jakiż cel zwykły szczęścia dla młodej dziewczyny; — zameście; więc kuzynka moja, najczęściej mówiąc o przyjemności, wyjawiała mi swoje to pojęcie o szczęściu; ja na to jedną zawsze miałam odpowiedź: że nie wierzę w szczęście na ziemi, a najmniej przypuszczam je w małżeństwie, które, zwłaszcza dla kobiety, jest niewolą. — „Bo chyba nie rozumiesz miłości” — mówiła mi na to przyjaciółka. — „Prawda, że jej nie rozumiem — odpowiadałam — a nawet wyznaję, że nie wierzę w to uczucie, tak jak nie wierzę w nic z tego, co szczęście na ziemi obiecuje”.

Takie i tym podobne rozmowy nie psuły przecież harmonii między mną a kuzynką. Chociaż zauważałam czasem pewne z jej strony podchwytywanie słów moich, gdy nie dosyć jasno, racjonalnie myśli moje objawiałam, nie brałam tego za złośliwość, tylko uznawałam brak jasności we własnych wyobrażeniach. Stosunek mój taki z kuzynką trwał około roku po powrocie naszym do kraju. W tym czasie zaczęłam uważać w niej pewną dla mnie oziębłość; — uderzyło mię to, ale sama wmawiać chciałam w siebie, że mi się

to zdaje, że się mylę; a jednak niepokoiło i smuciło mię to spostrzeżenie. Mama wyjechała z nami, z całym domem na wieś na parę letnich miesięcy; zaczęłam po dawnemu korespondencję z przyjaciółką; — odpisywała mi niespiesznie i krótko — a w słowach jej widać było jakieś roztargnienie i pewien przymus, by mówić z dawniejszą poufałą wesołością. Odpisując, wyrzucałam jej to wpół żartem; ona też żartami zbywała mnie; — aż naraz posłyszałam z boku, że przyjaciółka moja za męża idzie. Wiadomość ta podwójnie mię zasmuciła; — raz, że nie odebrałam jej wprost od przyjaciółki; — był to dla mnie dowód jakiejś z jej strony nieufności — a zarazem uczułam, że z jej zameściami skończy się przyjaźń nasza, kiedy już teraz ustała z jej strony dawna szczerłość. Mocno mię zabolęła ta nagła zmiana; — parę dni po odebraniu wiadomości, czekałam — wyglądałam listu od kuzynki — zdało mi się, że kilka słów od niej wyjaśni i zagodzi wszystko — ale nie doczekałam się. Napisałam więc sama — łagodnie i niby żartując wyrzucałam przyjaciółce zaniedbywanie dawniejszych dla nowych serdecznych stosunków — a w końcu domagałam się wyjawienia mi prawdy. Odpisała mi w kilka dni w paru słowach. Odpowiedziała, że jest pewne prawdopodobieństwo co do jej zameścia, a gdy będzie pewność, uwiadomi mnie o tym ustnie. Po tej odpowiedzi dostrzegłam nadto już widoczny między nami rozdział; — uczułam to głęboko i zapłakałam serdecznie. Więc przyjaźń, więc każde uczucie przemija — może jest marzeniem tylko! I naraz odezwały się dawniejsze gorzkie myśli moje, które śmierć wujów była rozbudziła, a czas ukoił chwilowo. Ogarnęło mię na nowo zwątpienie; — „wszystko przemija”, zawołał głos duszy wewnętrzny — wszystko na ziemi jest znikome — zwodnicze — a więc na cóż to życie? Takie to uczucia i myśli wywołał u mnie wypadek bardzo niby zwyczajny — zameście przyjaciółki. Zrazu przejął mię jakiś żal do niej; oskarżałam ją w duszy o lekkomyślność, o zmienność; zdało mi się, że przyjaźń nasza był to węzeł święty, którego nie wolno jej było tak nagle rozrywać; — ale następnie rozsądek, a więcej jeszcze serce przemogło u mnie i zagłuszyło powstające w umyśle podejrzenia na towarzyszkę lat dziecinnych. Jakiemże prawem — zapytałam sama siebie — jakim prawem oskarżam ją o lekkomyślność i zmienność; czyż nie jest to ogólnym kobiet przeznaczeniem iść za męża? — i czyż mogę wymagać od niej, ażeby poprzestała na przyjaźni? — Ta przyjaźń wprawdzie mnie wystarczała — była szczęściem moim, ale czyż miała koniecznie i jej całe szczęście stanowić? a wszak ona nieraz mówiła mi o miłości, objawiając przekonanie, że w tem uczuciu jedynie szczęście znaleźć można. Tak dowodziłam sama sobie i usprawiedliwiałam przed sobą przyjaciółkę; tylko sposób, w jaki zaszła ta zmiana, to stopniowe zubożenie kuzynki względem mnie, były to rzeczy niewytłumaczone jeszcze dla mnie. Domyślałam ja się, że nowe budzące się w sercu uczucie mogło spowodować owe jej roztargnienie i chwilowe zaniedbywanie ranie — ale dlaczegoż zamilczała przede mną o wszystkim — skąd ten brak zaufania? Ta skrytość nieznana mi w przyjaciółce przejęła mię smutkiem, który jak cierń utkwiał w sercu i myśli; wyglądałam zapowiedzianego jej przybycia z niepokojem prawie trwożliwym; czułam, że ona przyjdzie zerwać ostatecznie ten tak dla mnie drogi, od lat dziecinnych trwający stosunek; — i nie omyliło mię przecucie. Gdy w kilka dni przyjechała z rodzicami swemi, było to dla oznajmienia nam oficjalnie bliskiego już zameścia swego i zaproszenia na obrzęd zaślubin. Pomimo że byłam przygotowana do tej wiadomości, doznałam przecież dziwnie smutnego wrażenia, odbierając te jakby urzędowe zaprosiny na ślub przyjaciółki. Nie chciałam pokazać, co czułam, nawet przed nią, dla której dotąd nic nie miałam skrytego — ale ona ze zwykłą swoją bystrością dostrzegła wzruszenie moje, zaproponowała, by iść z nią przejść się po ogrodzie; gdyśmy pozostały bez świadków, zagadnęła pierwsza: „Tak więc, moja Zosiu, przyjaciółka twoja za męża idzie — i cóż ty na to?” — „Życzę ci z serca szczęścia, jakiego pragniesz”, odpowiedziałam spokojnie, ile mogłam. — „O, ja mam nadzieję, ciągnęła dalej, że będę bardzo szczęśliwa; mój przyszły pod każdym względem odpowiada życzeniom moim. Jego i mój sposób widzenia, charakter i wyobrażenia zgadzają się najzupełniej”. Tutaj wymieniła nazwisko — ja tego pana nie znałam wcale — słyszałam o nim była tylko jako o nadzwyczaj złośliwym, bystrym, przebiegłym człowieku. Tem smutniej mi się teraz na sercu zrobiło — ale nic nie powiedziałam; słyśmy chwilę w milczeniu — ona je znów przerwała dziwnie się odzywając: „Ale przecież dlatego przyjaźń nasza nie będzie zerwana” — i zatrzymała się — spojrzałam na nią — miała wzrok badawczy, ale jakiś zimny, na mnie zwrócony. Uczułam zimno tego wzroku w sercu i odpowiedziałam już spokojnie zapytaniem: „Cóż



znaczy twoje *dlatego*?” — „Chcę mówić, że przecież zamęcie nie przeszkodzi przyjaźni”. — „Tęgo ja nie wiem, moja droga” odrzekłam i wróciłyśmy do domu w milczeniu. Odtąd aż do dnia jej zaślubin widywałyśmy się coraz rzadziej; nietrudno mi już teraz było dostrzec, że obecność moja wywoływała u kuzynki jakiś przymus — a gdy spotykałam u niej jej narzeczonego, widziałam, że doznawała dziwnego jakiegoś zakłopotania. — Słowem, nasza przyjaźń skończyła się już wtedy i gdybym była mogła iść za uczuciem naówczas doznawanym, byłabym całkiem z nią zerwała. Wolałabym była wcale jej nie widywać, niżeli odegrywać komedię przed światem; ale tak jak w ważniejszych, tak i w drobnych okolicznościach, trzeba nieraz zachowywać względy pewne. Matka moja, z właściwym sobie taktem postępując, nie chciała zupełnego z naszej strony zerwania, przez wzgląd na stosunki rodzinne z rodziną ojca, z którą wprawdzie nigdy nie była na stopie braterstwa, tylko zachowywała konieczne formy towarzyskie, a to jedynie przez pamięć na męża swego; zasady i wyobrażenia Matki mojej nie dozwoliły jej zbliżenia z ludźmi, których celem życia jedynym był materialnie świetny byt; przecież ojciec mój miał się zupełnie różnie od reszty rodziny — i rodzice mojej przyjaciółki mieli wiele dobroci serca — to sprawiło, że mama zachowała z nimi bliższe stosunki. — Postępowanie obecne kuzynki wcale matki mojej nie zadziwiło; ona odkryła była w niej od dziecka zaród egoizmu i materializmu, dlatego nierada była z mojego w kuzynce zaufania. Zrozumiałam to późno, ale tym silniej uczułam.

Dzień zaślubin kuzynki był dniem bardzo dla mnie przykrym. Przeświadczenie o zerwaniu przyjaźni naszej nie było jedynym do tego powodem. Dostrzegłam udanie w dawnej przyjaciółce mojej; okazywała ona tego dnia więcej serdeczności względem mnie, odosabniała się chwilami ze mną, ażeby mówić o przeszłości naszej, przypominała różne drobne okoliczności dotyczące historii naszej przyjaźni; — temi wspomnieniami poruszała słabą stronę, nie całkiem jeszcze w sercu mojem zerwaną. Na chwilę zapominałam o wszystkim, co niedawno zaszło między nami; — nie pomnąc też na siebie, cieszyłam się myślą, że przyjaciółka w zamęściu szczęście znajdzie, że marzenia jej urzeczywistnione będą. Powiedziałam jej szczerze, co myślałam; — na to ona: „A przecież ty nie wierzysz w to szczęście?” — „Ja w żadne nie wierzę, ale cieszyć się potrafię szczęściem tych, których kocham”. — „Może też, przypatrzysz się mojemu, zmienisz zdanie o szczęściu, bo wszak będziemy się widywały, i często — tak jak dawniej?”. Ostatnie te słowa, wymówione z dziwnym przyciskiem, uderzyły mnie niemile; przypomniła mi się dawniejsza z kuzynką rozmowa w tym przedmiocie; — była mi ona już wtedy zrobiła podobne zapytanie, tylko w innych słowach. I znów spojrzałam jej w oczy, i tak jak wtedy spotkałam wzrok zimny; gdy nie odpowiedziałam zaraz, ona powtórzyła zapytanie: „Będziemy u siebie bywać — nieprawdaż? wszak pozostaniemy dla siebie, czym byliśmy zawsze?” — „Nie zdaje mi się”, odpowiedziałam z całą otwartością. Ona, nie żądając wytłumaczenia, zwróciła rozmowę; ja już jej nie słuchałam, już teraz ostatecznie uczułam nie tylko brak serca u niej, ale jakąś ukrytą sprężynę w dzisiejszym jej ze mną postępowaniu. Oddaliłam się od niej po chwili i zaczęłam ją obserwować; zauważyłam, że zwracała często oczy na kółko z kilku osób złożone; te znów osoby zdawały się ją mieć na oku, a czasem też i na mnie z ukosa poglądały; wtedy kuzynka zbliżała się do mnie i na nowo zawiązywała rozmowę. Poznałam, że jej chodziło o sąd ludzki; ci, co na nią mieli oczy zwrócone, byli (jak się później dowiedziałam) krewni i przyjaciele jej męża; między nimi znajdowali się ludzie złośliwi, a że przyjaźń jej ze mną była znana, wypadało okazywać czułość względem mnie, ażeby uniknąć złośliwych uwag. Ta komedia wywołała u mnie gorzkie uczucie, bardzo bliskie pogardy dla tej, którą niedawno zwałam przyjaciółką moją. Odetchnęłam głęboko, gdy mama, która w tym gronie obcą się czuła, niedługo bawiąc opuściła je z nami. Tak rozstałam się na zawsze z przyjaciółką z lat dziecińczych; zrazu cierpiałam głównie na tym, że doznałam zawodu w uczuciu, było to pierwsze tego rodzaju doświadczenie; ale następnie uczułam brak stosunku dla serca. Ciężko mi było tłumić w sobie myśli cisnące się teraz do głowy z coraz większą mocą; potrzebowałam wynurzyć się, pragnęłam zamienić myśli, a nie miałam komu się powierzyć. Matkę moją kochałam i czułam; ale głębokie uszanowanie, jakie miałam dla niej, przeszkadzało bezwarunkowemu z mej strony zaufaniu; wiedziałam, że wyobrażenia moje niejasne, myśli smutne i gorzkie zmartwiłyby matkę; obawiałam się zarazem z jej strony nagany za te marzenia, niczym na pozór niesprawiedliwione; więc nie tylko się przed matką nie wynurzałam, ale nawet unikałam

wszelkiego z nią tłumaczenia się. Przecież mama dostrzegła nową we mnie zmianę; zauważała często badawcze jej i niespokojne spojrzenia na mnie zwrócone; zdarzyło się, że zrobiła mi uwagę nad postępowaniem moim, nad tonem moim szorstkim i pogardliwym, względem niektórych niesympatycznych dla mnie osób; czasem odebrałam i ostre słowo za to; wtedy albo odpowiadałam, że udawać nie umiem, albo częściej zamykałam się w upornym milczeniu. W rodzeństwie mojem nie znajdowałam też potrzebnego mi udziału; — siostra moja niecierpliwiła się tą moją skłonnością do zgłębiania wszystkiego, uważała mię jako marzycielkę, — toteż i z nią unikałam rozpraw daremnych. Pozostawał mi w domu brat jako przyjaciel, z nim byłam więcej zbliżona w czuciu — miał on w wielu względach podobne ze mną wyobrażenia o świecie i ludziach — ale był młodszy ode mnie o lat parę; taka różnica wieku między mężczyzną a kobietą jest już znaczna — przynajmniej taka była między mną a bratem, bo miał on prócz przywiązania do mnie, zaufanie większe niżeli do kogokolwiek. Nabrałam też nad nim dziwnej przewagi, której z czasem dla dobra jego matka nasza używała jako jedyne go środka; o tym dalej obszerniej mówić mi przyjdzie; — teraz powiedzieć chcę tylko, że przyjaźń z bratem była dla mnie ulgą czasem, ale nie podporą. Więc po zerwaniu stosunku z kuzynką, uczułam się samotna; gdy mówię o zerwaniu z nią, nie znaczy to, iż zaszło między nami jakieś otwarte wytłumaczenie się; ona tego nie chciała i nie potrzebowała, ażeby mię na zawsze od siebie oddalić; zrozumiałam w końcu, że taki był cel jej względem mnie postępowania od roku — a powodem była licha zazdrość; o tym przeświadczona zostałam przez brata mego. Po zamęściu kuzynki zdarzyło mu się posłyszeć między znajomymi młodymi ludźmi o pojedynku, który miał mieć miejsce z mego powodu zagranicą, gdyśmy tam byli. Był to wypadek śmieszny, a wiadomy tylko bratu memu i mnie, bo pojedynek ten był zamierzony (ale nie miał miejsca) między kolegą szkolnym brata mego a Niemcem jednym, wcale nieznanym w domu naszym; takie zajścia nie rozgłaszają się, ja sama o tem dowiedziałam się późno od brata i zażądałam, by nikomu więcej nie mówił o tej śmiesznej historii. Gdy więc brat posłyszał o tem teraz i to od dalszych znajomych, mocno się zdziwił i zażądał wiedzieć, skąd o tem słyszano; powiedziano mu, że od przyjaciółki mojej, która niedawno w licznej towarzystwie opowiadała ten wypadek. Powtórzono też jej uwagi o mnie złośliwe, a niekorzystne dla niej samej, bo dowodziły niechęci dla przyjaciółki z lat dziecinnych; kuzynka objawiała o mnie zdanie jako znająca mnie lepiej niżeli ktokolwiek inny; mówiła, że pogląd mój na świat i życie jest skutkiem egzaltacji, a moja oziębłość i obojętność na oddawane mi pochwały dowodem zarozumienia o sobie; — że, pomimo pozornej obojętności, bardzo mi pochlebiają oznaki uwielbienia, a na dowód przytoczyła historię o pojedynku, dodając, iż opowiedziałam ją jej przy pierwszym widzeniu się po powrocie z zagranicy. Darowałabym jeszcze zdanie o moim charakterze, ale oburzyło mię kłamstwo, jakiego użyła na poparcie swego zdania; prawda, że opowiedziałam jej ów wypadek przy pierwszym widzeniu się, ale uczyniłam to, odpowiadając na jej pierwsze zapytanie, gdy odosabniając się ze mną, zażądała wiedzieć, co mi się zagranicą najciekawszego wydarzyło: „Iluż tam baronów kruszyło lance z twojej przyczyny?” zagadnęła wówczas. Ja, chociaż bardzo zadziwiona, że kuzynka coś podobnego zdawała się uważać za rzecz najciekawszą w podróży, opowiedziałam jej ze śmiechem ową historię pojedynku; — zabawiło mię, iż mogłam w ten sposób odpowiedzieć na jej zapytanie, bo nie tylko pojedynek miał mieć miejsce, ale wyzwanie poszło od barona. Gdyby nie zapytanie kuzynki, niezawodnie ani bym była pamiętała opowiedzieć jej kiedykolwiek to wydarzenie — a gdyby nie brzydkie z jej strony nadużycie zaufania mego, nie byłabym jej może nigdy poznała do ostatka; teraz zrozumiałam, że w postępowaniu jej względem mnie była pobudka ukryta, że sama różnica wyobrażeń nie mogła sprowadzać u niej prócz oziębienia dla mnie tej złośliwości i niechęci, jakich dowody byłam zauważyła od powrotu z zagranicy; przypomniałam sobie teraz niejedno jej słowo niby z niechcenia rzucone, uwagi niektórych osób o mnie, powtarzane mi przez nią. Były to uwagi pochlebne; często dowodziły, że miano mnie za wyjątkową dziewczynę; — ale w tonie kuzynki, gdy mi powtarzała te zdania, była jakaś gorycz, jakiś przymus, które mnie zawsze uderzały, chociaż wytłumaczyć tego nie umiałam. Zauważałam też była, że gdy mi podobne rzeczy mówiła, poglądała na mnie dziwnie, badawczo; to mnie zastanawiało, ale nie mieszało wcale; — teraz zdanie jej o mnie głośno wypowiedziane objaśniło mię ze wszystkim. Ona badała mnie w owych rozmowach, nie dowierzała mojej szczerości, bo nie chciała przyznać mi

dustry szlachetnej; — tak rozumiałam na koniec jej całe ze mną od roku postępowanie. Utwierdzona zostałam w tym przekonaniu przez dalsze postępowanie kuzynki; od zameścia swego objawiała ona przy lada sposobności niekorzystne o mnie zdanie, złośliwie tłumaczyła moje wyobrażenia i drżenia; tak, że dalsze nawet osoby, które słyszały o dawnej przyjaźni naszej, spostrzegły z zadziwieniem tę nagłą zmianę. Przypisywano ją jakimś rodzajem familijnym nieporozumieniom; gdy mnie w tym przedmiocie badano, zbywałam krótko, mówiąc, że nie mogę mieć za złe kuzynce oddania się nowym, a ważnym obowiązkom; — że te nadto ją zajmują, aby myśleć mogła o stosunkach w dzieciństwie zawartych. Po takich i tym podobnych moich odpowiedziach zaprzestano dalszych badań, a umiarkowanie moje w sądzeniu dawnej przyjaciółki, jakkolwiek z mej strony niewyrachowane, wypadło na jej niekorzyść. Nadto się może rozpisałam o tym pierwszym dla serca mego zawodzie; ale właśnie dlatego, że to był najpierwszy zawód, uczułam go tak silnie, że dotąd o o tem mówić nie mogę obojętnie. To doświadczenie zmienności uczuć i udawanie dla lichych osobistych wyrachowań, wielkie też u mnie a bolesne zostawiło ślady w myśli i sercu; — nauczyłam się wątpić o prawdzie uczucia wszelkiego. Odtąd powiedziałam sobie, że gdy przyjaźń z lat dziecinnych nie tylko oziębć się może, ale w niechęć zamienić, to jakże wierzyć uczuciom ludzi nowo poznanych, przypadkowo spotykanych w świecie. Zamknęłam się więc sama w sobie; chciałam sobie wystarczyć, ale trudno to było; doznawałam czczości w sercu, a nie miałam czym zaspokoić tego pragnienia; wtedy pomyślałam też o miłości, o zameście, lecz ta myśl powstała i znikła prawie tej samej chwili, a to z dwóch przyczyn. Naprzód miałam ja, odkąd dzieckiem być przestałam, jakiś niewytłomaczony i nieprzewyciężony wstręt do mężczyzn; ich obejście z młodemi jak ja dziewczętami, wydawało mi się to śmieszne, to ubliżające na przemian; same ich spojrzenia wywoływały u mnie jakąś do nich odrazę; — więc zaledwie przesunęła mi się przez głowę myśl o zameście, odepchnęłam ją, wzdrygając się z obrzydzeniem jakimś. A jednak parę lat przedtem byłam znała i ceniła pana C. — ale on zdał mi się wyjątkiem; w ciągu znajomości naszej zaledwie parę razy pomyślałam, że to mężczyzna i rychło o tym zapomniałam; otóż i to wspomnienie Pawła przeważnie wpłynęło na wstręt mój do zameścia. Gdy tak czując sieroctwo serca, poznałam, iż mi trudno, że nawet niepodobna znaleźć szczęście na ziemi, zaczęłam przemyślać i szukać jakiegoś dla siebie celu życia; cel ten obrałam w sztuce. Byłam ja w Dreźnie znacznie postąpiła w malarstwie; drugi mój tamtejszy profesor, jeden z lepszych malarzy szkoły dusseldorfskiej, znalazł wiele u mnie talentu, mianowicie co do kolorytu i sposobu malowania; upatrywał w moich robotach rodzaj malowania odrębny jakiś, własny. Mówił mi o tym często, zachęcał mamę, by ze mną dłużej zagranicą została, bym więcej postąpić mogła; gdy jednak mama ku temu się nie skłaniała, profesor mój starał się rozbudzić u mnie wyższe zamiłowanie do sztuki i zachęcał, bym się malarstwu jako artystka oddała. Ale ja natenczas nadto jeszcze byłam dziecinna i nie rozumiałam, co to być artystką; nie pojmowałam też, co znaczył ten mój odrębny sposób malowania, który zachować zalecał mi nieustannie mój profesor. Gdym mu otwarcie powiedziała, że nie rozumiem, w czym malowanie moje od innych się ma różnić, odpowiedział, iż ja to później osądzić potrafię, a tymczasem zaleca mi, przykazuje za powrotem do kraju pracować dalej nad malarstwem samej, bez profesora, bo on nie słyszał i wątpi, ażeby w Warszawie byli dobrzy malarze, a mierni artyści nie tylko nic by nie nauczyli, ale pewnie zatarliby cechę odrębną mego malowania, narzucając mi sposób malowania pospolity. To dowodzenie mego profesora trafiło mi do przekonania; postanowiłam więc usłuchać go; po powrocie do Warszawy zeszło kilka miesięcy, zanim wzięłam się do malowania; naprzód radość z powrotu do kraju, potem doznane smutki przeszkodziły mi. Dopiero po zerwaniu z przyjaciółką, gdy, jak już powiedziałam, uczułam się samotną i zapragnęłam silnego jakiegoś zajęcia, wtedy dopiero wróciłam do malowania, wtedy szczerze postanowiłam się oddać sztuce; ale jakież miałam środki pomocnicze, będąc zupełnie początkującą w malowaniu? Nauczyciela brać nie chciałam, pomnąc na przestrożę drezdeńskiego profesora; ten był mi jeszcze zalecił szukać wzorów w naturze jedynie; był on ze mną tę metodę przyjął od początku dawania mi lekcji; jedną tylko głowę kazawszy mi skopiować (a przy pierwszym moim nauczycielu byłam skopiowała trzy głowy) następnie dał mi malować głowy z natury; zrobiłam przy nim pięć portretów, to jest głów naturalnej wielkości; — oto cały ówczesny mój kurs malarstwa, po którym miałam dalej pracować o własnych siłach; było to za wcześnie, zwłaszcza w kra-

ju, gdzie żadnego w ogóle pojęcia o sztuce nie ma, żadnych by najmniejszych zbiorów otwartych dla użytku kształcących się w sztuce. Zrazu nie uczułam tej trudności, wzięłam się odważnie do pracy; ale wkrótce opadły mi ręce; samo oświecanie modeli moich (a brałam je pomiędzy znajomymi moimi) wprawiało mię w wielki kłopot; wymalowawszy kilka głów, dostrzegłam sama jakąś jednostajność w pozycjach i sposobie oświecenia tych głów, a gdy chciałam większe robić portrety, nie potrafiłam wcale poradzić sobie z wyborem ubiorów, tak co do kolorów jak i układu draperii. W tym czasie doznałam nowego wstrząśnienia moralnego; była to klęska ogólna dla narodu polskiego — rzeź galicyjska; uczułam głęboko to niewytłomaczone wówczas dla mnie nieszczęście; ale więcej jeszcze ucierpiałam, gdy następnie u nas w Warszawie dwoje młodych ludzi zostali skazani na śmierć i haniebnie powieszeni<sup>42</sup>. Nie znałam ich, ale ogólnie twierdzono, że ci dwaj młodzieńcy do żadnego spisku nie należeli, tylko że podczas ruchu krakowskiego byli gdzieś blisko granicy, porwano ich spośród rodzin, gdzie wakacje przepędzali, i niebawem skazano i powieszono na postrach innym. Ani opisać potrafię okropnego uczucia, jakiego doznałam w dniu tego nowego męczeństwa ludu polskiego, bo w osobach dwóch niewinnych młodzieńców męczono duszę narodu; — pamiętam i dotąd czuję ból, jaki mię przejął na odgłos bębnow ogłaszających godzinę egzekucji; chciałam bym schować się pod ziemię, by nie słyszeć — uciec gdzieś na koniec świata, aby nie oddychać tym samym, co kaci nasi powietrzem; — była to chwila, w której pewnie bliska byłam wariacji. Po tym strasznym bólu zostałam jakiś czas jakby odrętwiała; wszystko mi było obojętnem, zaniedbałam muzykę, malarstwo, a śpiew odtąd na zawsze porzuciłam, bo dźwięk głosu mego sprawiał mi jakieś nieopisane cierpienie tak dalece, że lzy mi wyciskał. Tutaj zaczęła się nowa w umyśle moim walka; znów obudziło się, i z większą jak kiedykolwiek mocą, dawniejsze moje zwątpienie i pogarda życia; gdzież jest sprawiedliwość odwieczna tak głoszona, gdzie ten Bóg wszechmocny i dobry, kiedy pozwala, by takie zbrodnie dopełniały się pośród stworzeń jego? Tak zapytywałam samej siebie i coraz dalej zagłębiałam się w odmęt zwątpienia; stan taki trwał u mnie rok przeszło; cierpienie duszy w tak młodym wieku mogło podziałać i działało na organizm; ale dzięki siłom młodości nie zapadłam na zdrowiu, tylko wynędzniałam, pobraźniałam, a dodawszy do tego humor nie już smutny, ale ponury, wywołałam różne różnych o sobie wnioski. Ogólnie zgodzono się, że Zosia jest zakochana; mówiono mi to nawet w oczy, badawczo na mnie poglądając; ja ani zważałam na to, ani odpowiadałam. Ja miałam się kochać wtedy! — gdy w sercu czułam zimno ostrego żelaza, gdy gorzkie uczucia przepelniały serce! O, nigdy więcej, nigdy równie daleką nie byłam miłości! nie tylko jej nie pragnęłam, ale gardziłam nią jako dowodem niedołęstwa ludzkiego, jak gardziłam wszystkim, co inni szczęściem zwali, bo się brzydziłam życiem, istnieniem bez sprawiedliwości, bez celu; tak wtedy uważałam życie ludzkie. W tym czasie otworzono w Warszawie wystawę sztuk pięknych; była to pierwsza wystawa, jaką ja w kraju widziałam. Pomimo przygnębienia umysłowego, w jakim wtenczas byłam, doznałam błęgiego jakiegoś uczucia, pewnego wzruszenia na widok zebranych dzieł artystów polskich. Było tam kilka obrazów, których przedmioty narodowe szczególnie mię poruszyły; obudziła się u mnie nowa myśl w połączeniu z rozbudzoną na nowo miłością dla sztuki; pomyślałam, że można by służyć ojczyźnie na polu sztuki, być artystą narodowym; w tej chwili zdało mi się, że znalazłam cel życia dla siebie i uczułam pragnienie oddania się na nowo pracy przerwanej. Między obrazami tej wystawy najwięcej uderzyły mię roboty Hadziewicza i Lessera; porównałam je w myśli z robotami mojego drezdeńskiego profesora i o ile zapamiętać mogłam, zdało mi się, iż rodzaj malowania dwóch wyżej wspomnianych artystów zbliżał się bardzo do rodzaju malowania p. Erhardt; nagle więc postanowiłam brać lekcje u jednego z owych dwóch malarzy. Droga matka zgodziła się na to najchętniej; udałyśmy się naprzód do Hadziewicza, a gdy ten dla braku czasu nie mógł podjąć się dawania mi lekcji, poszłyśmy do Lessera. Lesser, zobaczywszy moje roboty, bardzo chętnie dawać mi lekcje zaczął. Po dwóch miesiącach nauki pod jego kierunkiem zauważałam sama jakąś zmianę w moim sposobie malowania, ale nie potrafiłam osądzić, czy zmiana ta była na korzyść moją czy przeciwnie. Wspomniałam wtedy na przestroję p. Erhardt i byłabym chciała zapytać ja-

<sup>42</sup>*dwoje młodych ludzi zostali skazani na śmierć i haniebnie powieszani* — Żarski i Kociszewski. [przypis autorski]

kiego dobrego artysty o zdanie co do terazniejszego malowania mego; po paru jeszcze miesiącach nauki przy Lesserze zdarzyło się, iż jedną z robót moich zobaczył malarz Suchodolski u kogoś ze znajomych naszych; byłam ja zrobiła portret ich córki tak jak kilka już innych znajomych portrety wymalowałam, a następnie im darowywałam, ażeby tym sposobem zyskać modele dla nauki. Suchodolski znalazł talent w mojej robocie i gdy mu zaproponowano, by przyszedł do nas zobaczyć inne moje roboty, niezadługo odwiedził nas. Nic on nie wiedział, czy i od kogo obecnie lekcje brałam, tylko mu powiedziano, że byłam się zagranicą malować uczyła. Za pierwszym rzutem oka na kilka portretów mojej roboty, pan S. zastanowił się nad paroma robionymi dawniej, to jest przed rozpoczęciem lekcji moich od Lessera; objawił mi pan S. zadziwienie nad tak odmiennymi dwoma rodzajami malowania u mnie i zalecił, bym się raz na zawsze trzymała pierwszego mego sposobu malowania. Przekonałam się teraz, że mój drezdeński profesor dobrze mi radził i postanowiłam zaprzestać brania lekcji u Lessera; wkrótce też to uczyniłam. Następnie odwiedził nas jeszcze jeden artysta malarz, który niedawno był z Włoch powrócił; ten powtórzył zupełnie zdanie Suchodolskiego o moich robotach, oddając im wiele pochwał, a zakończył propozycją, bym od niego rad zasięgać chciała, gdy jakąkolwiek nową rozpocząć będę robotę; ale ja zrażona niedawnym doświadczeniem, nie skorzystałam z tego przyjaznego oświadczenia. Tak więc zaledwie popróbowywałam szukać pomocy w kształceniu się, musiałam dobrowolnie wrócić na trudniejszą drogę, pracować dalej o własnych tylko siłach. I znów na chwilę odeszła mię odwaga; zdało mi się, że daremne będą moje usiłowania — że nigdy nie dojdę do malowania obrazów treści narodowo-symbolicznej, bo tak sobie marzyłam o przyszłości mojej artystycznej od chwili, gdy w tym zawodzie służyć postanowiłam sprawie narodowej. To moje powtórne zniechęcenie zwalczone tym razem zostało wpływem zewnętrznym. Przez zaznajomienie się moje z trzema artystami pierwszego rzędu w Warszawie, a po części też przez roboty moje tu i owdzie widziane, zaczęto po Warszawie mówić cokolwiek o moim talencie; zdarzyło się nawet, że zgłaszano się do nas, by żądać malowania portretów. Te okoliczności stały mi się bodźcem do wytrwania w przedsięwzięciu; jednak dodać muszę, że bynajmniej stąd we mnie pycha nie powstała; owszem uczułam odtąd jakby pewną odpowiedzialność na mnie ciężącą. Zrozumiałam, że poczynając dla ogółu, muszę zyskać uznanie u ogółu, a czułam też, jak mało umiałam jeszcze i jak mi trudno będzie postępować dalej. Roboty żadnej nie podjęłam się; mama nie wiedziała nic o moim postanowieniu oddania się sztuce; a że położenie nasze majątkowe, po kilku spadkach odebranych, zapewniało nam utrzymanie bardzo przyzwoite, nie myślała mama o żadnym dla córek swoich zawodzie; nie chciała więc, bym z talentu mego inaczej jak dla własnego wykształcenia korzystała. Co do mnie, wyznać muszę, iż pomimo dążeń moich artystycznych ani pomyślałam, by kiedykolwiek sprzedawać moje obrazy; przeciwnie, wstręt miałam do tego; zdało mi się to poniżeniem sztuki i czucia artysty, by za pracę z tak świętego idącą źródła, odbierać zapłatę, i mimowolnie utworzyłam sobie jakieś odrębne stanowisko w świecie. Odtąd z usilnością pracować zaczęłam. Chcąc od portretów przejść do malowania całych postaci, poznałam, że prócz głowy nie potrafię wcale rysować. Wystarałam się o parę gipsów rąk i nóg; jeden ze znajomych mi artystów, zobaczywszy te moje studia, powiedział mi, że to niedostateczne, że on mi pożyczy niektóre studia swoje z natury robione dla kopiowania; były to anatomie i rysunki nagich postaci. Pierwsze kopiowałam, ale drugie odłożyłam na bok, nie mogąc przemóc jakiegoś uczucia wstydu, zwłaszcza gdy pomyślałam, że ten, który mi pożyczył owe rysunki, zechce widzieć moje kopie; więc niebawem zwróciłam mu jego studia. W ten sposób pracowałam kilka miesięcy, malując dalej portrety coraz większe, to na przemian rysując z gipsu. Zaczęłam widoczne robić postępy; zauważyłam to szczególnie, czując, iż większej nabierałam śmiałości w sposobie malowania. Już cieszyłam się tymi skutkami usilności mojej, już zaczęłam godzić się z życiem, gdy nowy a okropny cios zagroził mi. Nieoceniona matka moja zaczęła chorować. Zrazu zdawało się, że to mało znacząca słabość — przynajmniej mama okazywała spokojność; ta niezrównana matka chciała, póki mogła, dzieciom swoim oszczędzić niepokoju; ale gdy cierpienia wracały coraz częściej i coraz dłużej trwały, musiała rozpocząć kurację. Wkrótce potem położyła się do łóżka, by z niego więcej nie wstać. Choroba drogiej matki mojej trwała rok przeszło. Ten przeciąg czasu najokropniejszą dotąd dla mnie w życiu jest epoką; patrząc na cierpienia matki (choć ją znośną je z cierpliwością męczennicy), widząc ją niknącą w oczach

moich, gdy nie mogłam ulgi jej przynieść, znalazłam, co to rozpacz; były chwile, że złorzeczyłam Temu, co stworzył świat i mnie dał życie; na nowo i więcej niżeli przedtem wzgardziłam wszelkim objawem życia, czynu. Biedna, niezrównana matka moja pomimo swoich cierpień bacznie miała oko na wszystko, co się jej dzieci dotyczyło; zwłaszcza też na mnie uwagę zwracała, znała już usposobienie moje umysłowe. Raz, w jednej z rzadkich chwil ulgi, zawołała mnie do siebie i zaczęła badać mnie, mówiąc, że znów dostrzega nową we mnie zmianę; że uważa, iż zaniedbuję zwykłe moje zatrudnienie; nawet malarstwo zdaje się już mnie nie zajmować. Na to ja niebacznie odpowiedziałam z goryczą, jaka wtedy moją duszę przepełniała: „i na cóż to wszystko się przyda — rzekłam — wszystko na świecie jest komedią”. Wtedy biedna matka w jakimś gorączkowym uniesieniu za tę odpowiedź uderzyła mnie. „O, mamo, — wykrzyknęłam — i ty się ze mną tak obchodzisz, a mnie już życie niemiłe”. I wyszłam z jej pokoju; po krótkiej chwili nieszczęsna matka zwlokła się z łóżka, przysłała do mnie, gdzie malowałam jedynie ze zwyczaju. Tutaj miałyśmy rozmowę długą a bolesną; matka droga zrazu starała się przelać we mnie jakąś nadzieję szczęścia w przyszłości — szczęścia! — gdy czuła dobrze, iż mię niezadługo sierotą zostawi! — gdy jednak dostrzegła, że uludne obrazy żadnego na mnie wrażenia nie robią, zmieniła mowę; zaczęła mi przekładać, ostrzegać mię, na jak niebezpiecznej drodze znajduję się, że takie usposobienie może mię do wariacji doprowadzić; a w końcu ze łzami żądała ode mnie obietnicy, że pracować będę nad sobą, walczyć z tym zniechęceniem do życia. Żądała tego jako dowodu miłości mojej dla niej; radziła mi szukać rozerwania myśli w ciągłym zajęciu; ja również łzami oblana, ściskając tę drogą matkę, przyrzekłam jej usłuchać, a głównie rozrywać się i zagłuszać pracując usilnie nad malowaniem. Powiedziałam jej też wtedy o moim zamiarze oddania się całkiem sztuce i że nie mogąc tutaj dostatecznie się wykształcić, chciałabym pojechać zagranicę. „I ty byś sama pojechała, moje dziecko?” zapytała mama z wyrazem cierpienia. — „O, nie, zawołałam, ja z tobą, mamo, pojedę”. Na to uśmiechnęła się boleśnie i odrzekła; „Tymczasem pracuj, moja Zosiu, i pamiętaj o danem mi dzisiaj przyrzeczeniu, pamiętaj o niem na zawsze”. Była to pierwsza i ostatnia tego rodzaju rozmowa moja z matką, lecz zostawiła głębokie ślady w duszy mojej i stała mi się w przyszłości tarczą przeciw nieszczęśliwemu memu usposobieniu ducha. Odtąd pracować na nowo zaczęłam, a przed mamą starałam się okazywać spokojność i swobodę; jakie wówczas było moje usposobienie, najlepiej wykażę przepisując tutaj wyjątek z owego dawniejszego mego dziennika; niszcząc go, zostawiłam tylko te kilka kartek przez cześć dla imienia matki, które tam głównie wspominam. Oto to naówczas pisałam:

.....  
.....

Warszawa, 6 października 1847

I znów zajrzałam do moich szpargałów — znów odczytałam ten zbiór myśli moich i chcę im na nowo dać bieg wolny; ale nie wrócę się już do przeszłości; jeżeli miłe przedstawi mi wspomnienia, jakżeby sprzeczne były z teraźniejszością! — jeżeli zaś przykre, na cóż je wywoływać, a tym samym dodawać nowe smutki do tyłu doznawanych.

Skąd mi się wzięło teraz, po długiej przerwie, wrócić do tego pisania? Nie wiem sama, co mię do tego skłoniło... otóż — samotność! tak jest, luba, nieoceniona samotność, gdyż mię czyni swobodną. Dopiero tutaj, mając oddzielny, własny kątek, mogę myśleć i zajmować się, jak chcę i kiedy chcę; nie ścigają mnie już tutaj badawcze, chociaż życzliwe spojrzenia. Jakże mi na teraz mało do szczęścia potrzeba... własny kątek, papier i pióro lub ołówek, ażebym na przemian to pisać, to studia moje rysować mogła. — Lecz cóż ja o szczęściu mówię! ja, co w nie nie wierzę! — jest to chyba wrodzone człowiekowi marzyć o szczęściu i mimowolnie mówić o niem jako o istniejącem na ziemi, chociaż nadto jawne, że tak nie jest; bo cóż człowiek przez szczęście rozumie? ja myślę, że każdy rozsądny szczęściem ziemskim nazywa to jakieś uczucie zadowolenia i spokojności, którego tak mało ludzi i to krótko doznaje. Ja więc mogłabym się teraz za szczęśliwą uważać, osiągnęłam cel upragniony, mogę pracować nad rozwijaniem mojej zdolności do malarstwa; rozpoczęłam niby życie artystowskie, co było jedynem mojem życzeniem; — ale czyż wraz z tem zadowoleniem osiągnęłam spokojność? O, jakże daleko od tego, kiedy mama chora, nawet nie wiedzieć, czy już wyszła z niebezpieczeństwa. Było to chyba, co ludzie nazywają przecuciem, kiedy wracając z zagranicy, na wjeździe do Warszawy jakies

smutne uczucie mię ogarnęło i dopiero przy powitaniach z pierwszą z drogich mi osób we łzach się rozplynęło. Bo w istocie, odkąd tutaj z powrotem jesteśmy, coraz to nowych doznajemy udręczeń; kiedyż się skończą nasze nieszczęścia... kiedyż ujrzymy mamę zdrową i spokojną... może to i wkrótce nastąpi — trzeba się przynajmniej ludzią tą nadzieją — a wtedy.....

Już nie mam matki... już straciłam, co miałam najdroższego na świecie; i cóż za przyszłość mogę sobie obiecywać... oto smutną bez celu pielgrzymkę.

Zawód artystowski, chociażby mi się powiódł, to któż podzieli ze mną to zadowolenie — kogóż mój los obejdzie?..... Nie, nikt równie szczerze jak ta droga matka nie ucieszy się moją radością i nie zasmuci moim smutkiem. Będę żyć tylko jej wspomnieniem, a chociaż tak nieprzejrzana dzieli nas zasłona, chcę wierzyć, że ona mię widzi, że jej duch opiekuńczy nade mną czuwa. Przyjmij, kochana, nieoceniona matko, to wylanie moich uczuć; ty widzisz, że jest szczerze i że nie ma w dniu jednej chwili, ażebym w myśli nie błogosławiła twojej pamięci. Pókiś żyła, byłaś dla mnie matką, przyjaciółką, wszystkim, co na ziemi najdroższego mieć można; teraz jesteś moją Świętą — Bogiem moim; chcę tak żyć przez twoje wspomnienie, ażeby życie moje dzięczynną do Ciebie stanowiło modlitwę.

.....  
.....

Jakąż to dla mnie pociechą, żem rysy kochanej mamy na płótno przeniosła i to jeszcze wtedy, gdy życiem i zdrowiem jaśniały. Ten jej portret jest i będzie zawsze prawdziwym dla mnie skarbem; nieraz, gdy przeciwności mojemu zawodowi właściwe przedsięwzięcie moje osłabiać poczną, dosyć mi będzie spojrzeć na tę twarz pełną łagodnej powagi, ażeby z podwojonym zapalem wrócić do pracy. Teraz zacznę od wykończenia tego nieocenionego portretu i pewna jestem, że to będzie szczęśliwy początek do moich dalszych robót.

Dopiero trzy tygodnie upłynęło od śmierci kochanej mamy — jakże mi się ten czas długim wydaje!

Są chwile, że mi życie moje ciężarem; co by ludzie starsi powiedzieli, gdyby usłyszeli mię tak mówiącą? Nazwaliby to przesadą, a przynajmniej egzaltacją; bo w istocie, wszak każdy przez taką przechodzi kolej; nie ja pierwsza i nie ostatnia tracę matkę — ale takich matek niewiele.

Lecz nie będę się dłużej zatrzymywać przy roztrząsaniu uczuć moich; do niczego mię to na teraz nie doprowadzi, ani pamięci drogiej matki tym nie uświęcę. Czynem to, nie słowami potrafię zawdzięczyć jej to, co dla mnie uczyniła i wycierpiała. Chcę pracować, chcę, o ile mi sił starczy, daleko doprowadzić wrodzoną mi zdolność; ale niedostateczne tutaj dla mnie pole, pójdę go szukać gdzie indziej; tam żyć będę dla pracy, którą poświęcam jako hołd wdzięczności niezrównanej matce.

Te ostatnie trzy lata, nieszczęść i wszelkich udręczeń pełne, nauczyły mię wątpić o wszystkim; zrobiły one zupełne przeobrażenie w moim umyśle. Miewałam ja wprawdzie i dawniej chwile wątpliwości, ale były to tylko rzadkie błyskawice, zapowiadające bardzo jeszcze oddaloną burzę. Śmierć wujów najprzód sprowadziła mi myśli, jakie ludzie chrześcijańscy nazwaliby bezbożnymi. Pytałam siebie samej, dlaczego biedny wuj Benedykt w męczeńskich umierał cierpieniach, kiedy życie tak przykładne, prawie cnotliwe prowadził? Albo dlaczego wuj Jan zakończył życie wtedy, kiedy nie dla własnego szczęścia, ale dla dobra innych żyć był powinien?

Te myśli to pierwsze moje kroki na drodze zwątpienia; tutaj, jak i we wszystkim, najtrudniejszy początek; na teźże drodze postępując, zaszłam tak daleko, że teraz już się cofnąć nie mogę; znajduję się więc jakby na rozstajnych drogach i chyba nadzwyczajny jaki wypadek wskaże mi, którą z tych dróg obrać mam.

Ale otóż znów rozumiuję; znów nad sobą samą robię spostrzeżenia. Jakże człowiek tym swoim ja zajmować się lubi! U mnie dzieje się to mimowolnie; muszę do innych przedmiotów, na przykład do obcych *ja* zwrócić moją uwagę; będzie to na teraz korzystniej dla mnie, a czasem pewnie i rozerwie, kiedy przeciwnie, uwagi nad sobą zawsze smutek mi sprawiają. Nasamprzód staje mi na myśli, jak sprzeczne wrażenia wywierają jednakie nieszczęścia na umysłach ludzi; z jednych robią niedowiarków, a innych naprowadzają na drogę wygórowanej pobożności, jak to ma miejsce u poczciwego wuja R. Nie pojmuję, jak człowiek poglądający na życie z wyższego stanowiska może w późnym już

wieku przywiązać się do form, kiedy przez tyle lat żył bez wypełniania tychże, a pomimo to niezliczonych zjednał sobie przyjaciół swoimi dobrodziejstwami. Czyż to życie, spędzone dla dobra innych, nie powinno dać przekonania, że jego postępowanie było bez zarzutu? — a wuj teraz, patrząc na cierpienia drogiej nam zmarłej, udał się do wypisanych modlitw, jakby jedno jego ciche westchnienie do Stwórcy nie więcej znaczyło od całej książki.

Jednakże niektóre z tych nabożeństw podobają się czasem i niedowiarkom — na przykład pasyję u Fary naszej. Jakże to duszę podnosi podobne nabożeństwo! Zda się, że człowiek, korząc się przed Stwórcą swoim, sam się wyższym staje; i tak jest w istocie; bo czyż to nie pociechą, nawet potrzebą dla umysłów wznioślejszych, to przekonanie, że dusza nasza stanowi część nieśmiertelnej istności. Biada temu, co na zawsze tę wiarę utracił, lecz niech wejdzie ów nieszczęśliwy do przybytku bożego — do jakiej starej katedry — niech w oddalonej kaplicy zastanowi się i słucha; wkoło ogarnie go cisza i spokój świątyni; powoli ten błogi pokój, ta cisza uroczysta wnika do duszy jego i ukoją burzę ziemskich uczuć lub próżnię wypełnią rzewną tęsknotą za niezmiernym istnieniem; — wtem odzywają się organy — zrazu ciche ich dźwięki, zaledwie dosłyszane w dali — ale coraz nabierają mocy i wzrastają w siłę, aż na koniec, tysiące głosów modlących się łączą swoje pienia i napełniają świątynię jednym hymnem; wtedy niedowiarek mimowolnie schyli czoło i niewysłowioną swoją modlitwą wraz z wiernymi słowami wzniesie do Stwórcy.

.....  
.....  
Ustęp ten z ówczesnego mojego dziennika wiernie maluje ówczesne moje moralne usposobienie; ze zbolalym sercem i myślą zmęczoną pragnęłam i postanowiłam szukać jedynie ulgi w pracy artystycznej. Nie powodowało mnie już teraz uczucie patriotyczne ani miłość sztuki. Zachwiana w wierze, pozbawiona jedynej istoty ukochanej przeze mnie na ziemi, nie myślałam o żadnym celu życia dla siebie; nie używania pragnęłam, ale spoczynku; zagojenia, a raczej odrętwienia ran duszy i serca.

A byłam wtedy w pełni młodości i życia; zaledwie lat dwadzieścia skończyłam. Postanowienie moje wyjechania zagranicę objawiłam wujowi, opiekunowi memu od śmierci matki. Wuj, pomimo ojcowskiego dla mnie przywiązania, pomimo zamilowania swojego dla malarstwa, najprzeciwiejszy był przedsięwzięciu mojemu. Dalsi i bliżsi krewni i znajomi równie ganili to postanowienie; zamilowanie moje do sztuki nikogo nie przekonywało o potrzebie dla mnie kształcenia się zagranicą. Wiedziano, że stosunki majątkowe zapewniały mi materialne położenie w świecie bardzo swobodne; więc nie wierzono, bym pracować chciała bez konieczności. U nas, niestety, nie pojmują dążeń czysto artystycznych; ogół uważa artystę jakby rodzaj oddzielny rzemieślnika lub też, gdy ktoś posiadając majątek poświęca się sztuce, jest uważany za jakąś anomalie, za indywidualium wyjątkowe, wyegzaltowane. Taki wyrok padł na mnie; nie dbałam nigdy o sąd ludzki; może aż nazbyt lekceważyłam zdanie ogółu, bo chociaż nie miałam sobie nigdy nic do wyrzucenia, nie wolno przecież gardzić bezwarunkowo głosem powszechnym; a ja z uczuciem dumy odrzucałam wszelkie przedstawienia robione mi przez życzliwe, chociaż dalsze osoby. Tylko zdania wuja słuchałam z uszanowaniem, ale bynajmniej nie słabnąc w postanowieniu. Wuj jak chyły ojciec usiłował przekonać mnie o trudnościach tego mojego przedsięwzięcia. On wychodził nie z tego, co ogół stanowiska; miał on na uwadze młodość moją, niedoświadczenie; przedstawiał mi przykrości, na jakie narazić się mogę żyjąc oddalona od rodziny, w obcym kraju, pośród obcych ludzi. Ja przyznałam, iż będzie położenie zrazu trudne może, ale miałam przekonanie, iż sobie dam radę; zresztą powziąwszy zamiar wyjechania zagranicę, umyśliłam jechać tylko do Drezna; tam nie byłam już zupełnie obcą; w Dreźnie zamieszkiwało stale kilka rodzin polskich, z którymi mama przyjaźniła się była, gdy z nami tam dla nauk bawiła. Zaznajomiła się też mama była z jedną rodziną niemiecką; ja do tej jako niemieckiej nie miałam szczególnej sympatii; ale że mama uważała tych ludzi za przyzwoitych i zacnych, umyśliłam zawiązać z nimi na nowo stosunek przyjacielski. Gdy więc, po ostatecznej ze mną rozmowie, wuj zapowiedział mi, co do zamierzonego przeze mnie wyjazdu, on w niczym dopomagać mi nie będzie, postanowiłam sama zająć się koniecznymi przygotowaniami. Nie była to rzecz łatwa wyjazd z Polski zagranicę, zwłaszcza w owej chwili (r. 1848); — było to w początkach ruchów



rewolucyjnych w Europie całej; dla uzyskania paszportów potrzeba było wielkich starań i mało osób uzyskiwało pozwolenie wyjazdu. Jedyna droga dla takich, co jak ja nie mieli poparcia u wyższych urzędników, było przedstawienie osobiście prośby swojej księciu namiestnikowi Paszkiewiczowi na publicznej audiencji. Nie bez walki wewnętrznej postanowiłam użyć tej drogi. Jedna ze znajomych moich towarzyszyła mi do zamku, ale przed księciem prowadzono tylko osoby podające prośby, więc znalazłam się sama wobec tego moskiewskiego namiestnika otoczonego kilkoma urzędnikami. Była to chwila ciężka dla mnie; zapomniałam prawie o celu przybycia mego tam, tylko opanowało mię uczucie żalu na widok tej władzy obcej a tyrańskiej, rezydującej w zamku ostatnich królów polskich. Szczęściem, prośby podawane na piśmie przez osoby przypuszczone na audiencję czytane bywają przez jednego z obecnych tam urzędników; miałam więc czas opamiętać się; stary książę za wejściem moim wstał z krzesła i postąpił ku mnie; słuchając czytanej prośby, patrzył na mnie bystro zrazu, ale ku końcowi zaczął się jakoś nieznacznie uśmiechać i skinąwszy głową coś tam po rosyjsku mruknął i wrócił na miejsce. Ja byłam tak dalece odzyskała spokojną myśl, że zwróciłam się do urzędnika z zapytaniem, co książę powiedział, bo ja po rosyjsku nie rozumiem; urzędnik z widocznym niepokojem na taką z mej strony niezręczność, szepnął mi, iż uzyskam, czego żądam i podał mi rękę do wyjścia. W kilkanaście dni po tej audiencji otrzymałam paszport; wuj mocno się zdziwił tak rychłym i pomyślnym skutkiem mojego kroku; zasmucił się tym biedny, bo miał nadzieję, że trudności osłabią postanowienie moje i zmuszą odstąpić od zamiarów. Ani się domyślał, że ja miałam już w głowie plan ułożony na przypadek, gdyby mi paszportu odmówiono; umyśliłam ja pojechać do znajomych mieszkających we wsi swojej nad granicą pruską, a stamtąd przebywszy granicę dostać się do Drezna. Bogu dzięki, nie potrzebowałam użyć tego ostatecznego środka, który byłby do usprawiedliwienia, ale dla ważniejszych niżeli moje celów. Gdy więc, jak już powiedziałam, otrzymałam paszport, pozostawały tylko niektóre drobne urządzenia co do funduszków moich porobić; drogi wuj, widząc, że daremne byłyby dalsze przedstawienia, po ojcowsku zajął się ułatwieniem mi tych ostatnich przed drogą zachodów. Skoro ujrzałam się panią mej woli i czynów, doznałam dziwnego jakiegoś uczucia, ale nie było to uczucie radości; przeciwnie — jakiś niepokój opanował mię: zaczęła mię dręczyć niepewność, czy dobrze używam woli i niezależności mojej, rzucając kraj i rodzinę. Tą myślą przejęta, roztrząsałam własne uczucia, zastanawiałam się nad położeniem moim, nad obowiązkami względem rodziny i siebie samej; — była to walka wewnętrzna, tym cięższa, że nikogo nie miałam koło siebie, co by wzbudzał moje zaufanie i potrafił dać mi radę bezstronną; — więc odwoływałam się tylko do własnego sumienia — i zawsze znajdowałam odpowiedź jedną: tutaj pośród rodziny nie byłam nikomu potrzebną — bratu jednemu mogłam być użyteczną, ale czy w kraju, czy o kilkadziesiąt mil bawiąc, zarówno mogłam dopomagać mu — bo szło tylko o doradzanie mu, o napominanie, czego często potrzebował, a przyjmował tylko ode mnie; a że on dla nauki agronomicznej musiał ciągle po kraju jeździć, mogłam jedynie listownie z nim w stosunkach pozostawać; zatem większa cośkolwiek odległość nie stanowiła w tym różnicy. Co do siostry, ta, kochając mnie, jak była ode mnie kochaną, życzyła mi ziszczenia zamiarów, bo wiedziała, iż to dążenie od dawna objawiało się było u mnie; że oddając się sztuce, jedynie znajdę pokój duszy. Ja też o nią byłam spokojną; miała w wuju drugiego ojca, mieszkać miała przy nim wraz z ciotką, najmłodszą siostrą z rodzeństwa matki naszej; — tak pod każdym względem najspokojniejsza o nią byłam. Gdy więc obowiązków tutaj żadnych nie rzucałam, cóż mię zatrzymywać miało? Tak odpowiadałam samej sobie, a jednak, im bliżej było wyjazdu, tym większy czułam niepokój. W nocy nawet dręczyły mię myśli zawsze też same; wtedy, pośród snu często przerywanego, szukałam światła w modlitwie. Raz, więcej niżeli zwykle przygnębiona niepewnością, wywołałam pamięć matki, wezwałam niejako ducha jej, by mię oświecił, umocnił; z tem bolesnem uczuciem zasnęłam, a raczej wpadłam w jakiś stan półsnu, marzenia. Ujrzałam nagle u nóg, przy łóżku, postać matki mojej w bieli, stojącą, z twarzą wybladłą, z rękami na piersiach w krzyż złożonymi; patrzyła na mnie z wyrazem cierpienia. Ja, przejęta tym widokiem, chcę wstać, by ku matce się zbliżyć, ale niemoc jakaś opanowała mię; nie mogąc ruszyć się, zapytuję: „Jakże ci jest, mammo?” — Na to ona: „Cierpię, bardzo cierpię”. — „A czemuż stoisz, mammo droga?” — Tutaj powtórnie wstać usiłuję, ale daremnie, i nawet głos mi w piersiach zamiera i lzy cisną się do oczu, a płakać nie mogę; wtedy postać matki

z wolna posuwa się ku mnie, staje chwilę nade mną i rękę białą a wychudłą kładzie na piersiach moich; uczułam ciężar i zimno tej ręki i przebudziłam się, głośno łkając; resztę nocy przepłakałam, a z rankiem wstałam, dziwnie umocniona w postanowieniu wyjazdu. Zapomniałam nadmienić, że dla spokojności rodziny mojej więcej niżeli dla własnej byłam pisała do Drezna do trzech ze znajomych mi tam osób i to przed rozpoczęciem starań o paszport; pisałam przez okazję pewną, żądając objaśnień co do ruchów rewolucyjnych zagranicą. Do nas w kraju dochodziły o tym wieści mętne, często sprzeczne, szło więc o prawdziwe w tym względzie objaśnienia, by wiedzieć, czy podróżując sama jedna, nie narażę się na przykrości, a czasem i niebezpieczeństwa grożące w czasach wojen domowych, bo tego lękał się dla mnie wuj, a z nim reszta rodziny. Odebrałam również przez dobrą okazję odpowiedź na te listy moje; to, co mi odpisano, uspokoiło do pewnego stopnia troskliwych o mnie; mianowicie list od córki z owej niemieckiej rodziny był zaspakajający, a co więcej, nad moje spodziewanie serdeczny. Ofiarowali mi, bym do nich wprost zajechała za przybyciem do Drezna, wywołali z uczuciem pamięć matki mojej; słowem: obowiązali mię tak dalece, iż bez wahania się postanowiłam przyjąć tę grzeczność, w której widziałam dowód życzliwości.

Wyjechałam z Warszawy niezwłocznie, chociaż to było w grudniu — pora nie najlepsza do podróży; ale obawiałam się jakich nieprzewidzianych przeszkód; dlatego nie chciałam zwlekać. Wuj i siostra moja odwieźli mię do granicy; zatrzymaliśmy się w Częstochowie, by na tym świętym miejscu pomodlić się razem przed rozstaniem się. Gdy przybyliśmy do granicy i trzeba było ostatecznie nazajutrz rano rozłączyć się, wuj kochany na nowo się o mnie zatrwożył; było jeszcze dwa dni drogi do Drezna i czekał mię w drodze nocleg. Pomyślał wtedy kochany wuj o jakiej przyzwoitej towarzysze podróży dla mnie; zdarzyło się, iż jeden z wyższych urzędników przy granicy, znający wujka, ułatwił mi to; miał on do dzieci swoich guwernantkę, Niemkę z Wrocławia; ta najchętniej przyjęła propozycję, by (na mój koszt, rozumie się) pojechać do Wrocławia, a przenocowawszy tam ze mną, wrócić na granicę. Odebrawszy ten nowy dowód ojcowskiej o mnie troskliwości wujka, rozstałam się z nim i siostrą i wyruszyłam w szeroki świat.

Pomimo serdecznego rozstania się z rodziną, doznałam wkrótce dziwnie błęgiego uczucia; było to uczucie swobody, tak pożądanego dla mnie; a im więcej oddalałam się od granic Polski obstawionych moskiewską strażą, tem wolniejszą się czułam, tem swobodniej, głębiej oddychałam. Moja towarzysza podróży, jakaś miła i dobra osoba, umyśliła wynaleźć mi w swoim zastępstwie jaką kobietę, która by, jadąc do Drezna, chciała jednocześnie ze mną odbyć tę drogę. Dziwnem wydarzeniem znalazłam tę drugą towarzyszkę, nie dojechawszy jeszcze do Wrocławia; była to jakaś Niemka, która w jednym z nami będąc w wagonie, posłyszawszy naszą w tym przedmiocie rozmowę; sama ofiarowała mi tę przysługę, a ja przyjąłem ją z wdzięcznością. Tak więc po paru dniach najpomyślniejszej podróży stanęłam w Dreźnie. Za przybyciem prosto z kolei żelaznej zajechałam do pani T., owej Niemki, od której tak serdeczny list byłam odebrała; przyjęła mię ona ze wszystkimi oznakami najwyższego współczucia, ze łzami w oczach tuliła mię do piersi, gdy na wstępie do jej domu rozplakałam się, przypomniawszy pobyt pierwszy mój w Dreźnie i obecne sieroctwo moje. Córka pani T., osoba wykształcona i rozumna, chociaż jakaś sztywna i zimna wydała mi się dawniej, teraz równie jak matka serdecznie przywitała mię. Ujęły mię te kobiety takim przyjęciem, więc niebawem, po pierwszych przywitaniach i chwilowym wychnieniu, pomyślałam o rozmówieniu się co do zamieszkania przy pani T. Była to wdowa bez majątku, a z szczęściem dzieci; utrzymywała się z pensji od rządu wypłacanej jej jako wdowie po wojskowym; fundusz ten bardzo był szczupły, pani T. jednak z tej pensji całą swoją rodzinę utrzymywała, jak to była jeszcze dawniej matce mojej powiedziała; a że pomimo małych środków dom chociaż skromnie, ale z wielkim porządkiem i przyzwoitością był prowadzony, matka moja przypisywała to zabiegom poczciwej wdowy i matki i głównie na tym opierała szacunek swój dla pani T. Ja, znając położenie tej rodziny, ani na chwilę nie myślałam korzystać materialnie z ich gościnności; zresztą w każdym razie nie byłabym tego uczyniła względem nikogo; mając dostateczny fundusz na własne utrzymanie, byłabym nadużywała dobroci drugich, przyjmując na czas nieograniczony gościnność też nieograniczoną. Na moje zapytanie w tym względzie, pani T. odpowiedziała jako na kwestię prostą; mieszkanie jej dosyć było obszerne, by można odłączyć jeden pokój dla mnie, było to zresztą, jak mówiła, rzeczą zwyczajną u niej od-

najmować jeden albo dwa pokoje, gdy się zdarzała jaka przyzwoita lokatorka; a nie tylko pani T. dawała mieszkanie, ale i jedzenie, i opał, słowem całe utrzymanie. Mnie takie urządzenie właśnie bardzo w myśl trafiło, zapytałam o cenę; pani T. powiedziała swoją, jak mówiła, zwykłą cenę, a że ta zdała mi się bardzo umiarkowaną, przystałam od razu najchętniej i to bez żadnych na piśmie ani ustnych innych układów, tylko zobowiązując się płacić miesięcznie. Rozpisałam się o tych drobiazgach dla skrócenia następnie o ile możliwości opowiadania co do dalszych moich z panią T. stosunków.

Po rozmówieniu się z nią, od razu rozgościłam się w pokoju, który mi został dany z dwóch do wyboru; mały to był pokoik, ale z ładnym widokiem, skromnie, ale czysto umeblowany. Niczego ja więcej nie wymagałam, a mając wkoło siebie życzliwych i dobrych, jak mniemałam, ludzi, bardzo się czułam zadowolona. Po kilku dniach udałam się, nie tracąc czasu, do mojego dawniejszego profesora malarstwa; on i żona jego (która mię tylko z opowiadania męża znała) przyjęli mię jak najżyczliwiej. Na żądanie moje dawania mi lekcji, pan Erhart odpowiedział, że obecnie nie może podjąć się dawania takowych na mieście, gdyż mu zbyt mało czasu zostawiają lekcje w Akademii malarskiej; ale że właśnie zamierza urządzić pracownię w domu swoim tak, ażeby się znalazło miejsce na parę lub i więcej uczennic. Że jednak to urządzenie wymagało pewnego czasu, oświadczył, iż na teraz przychodzić będzie do mnie dawać lekcje, bylebym nie nazbyt daleko mieszkała; było jednak zupełnie przeciwnie, bo mieszkałam na drugim końcu miasta; co posłyszawszy, pan Erhardt powiedział, że jest niepodobieństwem dla niego chodzić tak daleko. Nie było dla mnie innego sposobu, nie chcąc tracić czasu, jak nając w bliskości pana E. pokój na tymczasową dla siebie pracownię, co też uczyniłam i niebawem rozpoczęłam naukę.

Drezno jest miasto niewielkie, ale ma rozległe przedmieście; ja mieszkałam na tak zwanym Neu Stadt za rzeką; codzienne przez most tam i na powrót chodzenie byłoby w lecie przyjemnym spacerem, ale w zimie nie tylko przyjemnością nie było, ale często wielką przykrością: wichry, zamiecie śniegu nieraz mię tam do kości przejmowały, ja przecież nie opuszczałam moich naukowych wędrówek, a ufna w niezachwiane dotąd zdrowie moje, ani zważałam na uwagi niektórych znajomych, bym mieszkanie zmieniła. Między innymi profesor mój bardzo mi to doradzał, mówiąc, iż prędzej czy później uczuję skutki tych spacerów zimowych przez rzekę, że wielu stąd nabywa reumatyzmów lub febry; pomimo to, ja swoim trybem dalej żyłam, a nie tylko przez ufność w zdrowie moje, ale że na zapytanie moje w tym względzie, zrobione okolicznie, bez wymienienia nikogo, pani T. odpowiedziała, iż to są czyste uprzedzenia, że ona z dziećmi od lat kilku tutaj mieszka, przez most zimą i latem często chodzi i nigdy oni wszyscy tak zdrowi jak przez ten czas nie byli. To zapewnienie pani T. utwierdziło mię w moim przekonaniu, bo ufałam jej szczeroci i życzliwosci dla mnie. Po paru miesiącach ni stąd ni zowąd zaczęłam się czuć jakaś niezdrowa, wkrótce dostałam febrę, wtedy pomyślałam, że słusznie mię ostrzegano — ale pani T., jakby odgadując myśl moją, odezwała się przy wezwanym doktorze, iż ja nazbyt pracuję, że się wysiłam dla nauki, na co doktor powiedział, że to bardzo mogło przyczynić się do rozwinięcia febry, której zarodki jednak już od kilku miesięcy istnieć musiały; — i tak, pani T. poparła zdanie doktora, wzmówiła we mnie ten głównie, a nie inny powód mojej słabości.

Koniec końcem, doktor wzbronil mi wychodzić, a mianowicie za rzekę, póki wiosna się nie ustali, tym sposobem straciłam parę miesięcy czasu. Pracowałam wprawdzie w domu, ale ta praca bez pomocy profesora naówczas jeszcze nie na wiele się przydała. Znajomi moi drezdeńscy, tj. parę rodzin polskich, odwiedzali mię przez czas słabości; wszyscy wtedy szczególnie chórem powtórzyli dawniejsze rady; co więcej, rozpytawszy się mnie, jak i kiedy poznałam panią T., zaczęli ostrzegać, bym się miała na baczności, że o tej rodzinie rozmaicie na mieście mówią, że mianowicie córka najstarsza zwracała temu lat parę niekorzystnie na siebie uwagę. Ja na to odpowiedziałam, że się o niczem nagannem w rodzinie pani T. dotąd nie spostrzegłam, a mam w pani T. zaufanie, gdyż matka moja cenila ją, co dla mnie jest najlepszą rękojmą, i wtedy dopiero zmieniłabym zdanie, gdybym się przekonała, że jest mylne. Odpowiedziałam, co czułam i myślałam, po mojemu, tj. otwarcie a stanowczo; co widząc, znajomi moi nie nalegali więcej.

Z wiosną wróciłam do poprzedniego trybu życia; chodziłam do pracowni, teraz już w domu profesora, który zdawał się coraz więcej ze mnie zadowolony. Kazał mi ciągle z natury malować głowy, a na żądanie moje, by uczyć się rysunku całych postaci, powie-

dział, że mię stopniowo do tego doprowadzi, dając naprzód rysować częściowo z gipsu. Dawał mi też czasem do rysowania studia draperii z natury i zaczął mówić o kompozycji; — ale ja szczerze mu powiedziałam, że się wcale nie spodziewam dojsć kiedykolwiek do komponowania obrazów. Pan E. wtedy dodał mi odwagi; — wskazał, jakim sposobem do tego dojsć najłatwiej; że studiując naturę przez samo patrzenie, można obznajmić się z grą fizjonomii, z ruchami postaci, pięknnością lub charakterystyką postawy oddzielnych postaci lub grup z kilku indywidualów złożonych; przy tym zalecił mi od czasu do czasu chodzić do tej pięknej drezdeńskiej galerii, wskazując mi obrazy, którym winnam się najwięcej przypatrywać. W ten sposób profesor mój prowadził moją naukę; po trzech czy czterech miesiącach kazał mi malować studium z natury, z Karpat, w ubiorze góralskim. Musiałam kończyć od razu tak głowę, jak ręce i ubiór; wielkość była oznaczona do 1/4 postaci człowieka. W trzy dni wywiązałam się z zadania z wielkim zadowoleniem profesora; następnie ośmielona tą pierwszą próbą prosiłam, by mi dał malować grupę przynajmniej z paru osób złożoną i wielkości naturalnej, bo zawsze miałam popęd do większych w malowaniu rozmiarów. Między moimi znajomymi znajdowało się wtedy w Dreźnie parę młodych, ładnych bardzo dziewcząt — były to siostry — umyśliłam zrobić ich portret, obu na jednym płótnie. Profesor zezwolił; — ale że co do układu grupy i oświetlenia jej nie miałam jeszcze i mieć nie mogłam wyobrażenia, pan E. wskazał pozę, ustawił mi moje modele i kazał zrobić na przód mały szkic rysowany ze światłem i cieniem na kolorowym papierze; potem chciał, bym zrobiła drugi szkic, jeszcze mniejszy, kolorami; ale nie umiałam sobie w tym poradzić; więc profesor sam w mojej obecności ten szkic zrobił podług mojego rysunku i powiedział, że odtąd powinnam już próbować i kompozycji, bo to tym sposobem, tylko bez modeli, komponują się obrazy. Nie zdało mi się to tak łatwym i nie pomyślałam rychło popróbować tego; tymczasem wzięłam się do podmalowania podwójnego tego portretu, co mi się dosyć udało.

Doszedłszy do tego stopnia w nauce malarskiej, byłam bardzo już rada sama z postępów moich; nie znaczy to, iżby mi się zdawało było, że wielkich rzeczy dokazałam, albo że nabrałam przekonania o jakiejś świetnej dla siebie artystycznej przyszłości; te myśli ani na chwilę nie obalamuciły mię nigdy. Zadowolenie moje było prostem uczuciem ucznia, który cieszy się, że praca jego nie okazała się całkiem daremną. To życie, jakie teraz prowadziłam, zgodne z usposobieniem i upodobaniami moimi, było spełnieniem dawniejszych życzeń moich i całkiem mię zadowalało; nie sięgałam myślą w przyszłość, a wspomnienia o niedawnej przeszłości, o tej epoce próby i cierpienia, usiłowałam zacierać we własnej pamięci. Każde przypomnienie strat poniesionych, nade wszystko myśl o śmierci matki, zawsze gnębiące, zniechęcające we mnie budziła uczucie, a tego unikać postanowiłam nie tylko dla chwilowego pokoju, ale dla dotrzymania przyrzeczenia danego matce drogiej, która żądała ode mnie, bym walczyła z temi uczuciami zwątpienia i szukała w pracy ucieczki przeciw samej sobie. Żyłam więc tak z dnia na dzień, bez troski, bo ją odpędzałam, bez żadnych życzeń, bo te, jakie jedynie od lat paru myśl moją zaprzętały, były spełnione. Pragnęłam była życia artystycznego, w spokojności i swobodzie, teraz byłam o ile możności spokojna i swobodna; w rodzinie T. od razu postawiłam się na stopie niezależności: zapowiedziałam otwarcie, że pragnę być w ich domu zupełnie odosobniona; raz, że lubię samotność dla swobody, a potem że mając uczyć się, pracować, postanowiłam unikać wszelkich nowych znajomości, bo te pociągają za sobą stratę czasu. Słowem dałam do zrozumienia, iż się w niczem wiązać nie chcę; a pani T., zrozumiawszy powody moje, uznała ich słusność i całkiem pozostawiła woli mojej, czy i o ile zechcę należeć nawet do jej domowego koła. Tym sposobem miałam najswobodniejsze stanowisko; większą część dnia przepędzałam w pracowni, na obiad dopiero przychodziłam do domu, do wspólnego stołu; po obiedzie wychodziłam już tylko dla spaceru, zabierając ze sobą którą z młodszych córek pani T. Wieczory spędzałam często razem z rodziną T.; najstarsza córka była, jak już wspomniałam, wykształcona, nadto muzykalna, — to nas do siebie zbliżało, chociaż pewne zimno i sztywność niemiecka panny T. nie czyniły jej całkiem sympatyczną; przecież ona, równie jak matka, a za niemi i cała rodzina, okazywały wielką dla mnie życzliwość; ja przez samą wdzięczność czułam pewną dla nich przychylność i jak potrafiłam, starałam się im to okazywać. Zdarzyło się na przykład, że pani T. znalazła się w kłopotcie pieniężnym: potrzebowała pewnej sumy od razu do wyłożenia, a nie miała żadnego zapasu pieniężnego; mówiła o tem do starszej córki w mojej

obecności; ja, widząc ją bardzo zafrasowaną, nawet zmartwioną, oświadczyłam gotowość pożyczania sumy potrzebnej, jeśliby ta moich środków nie przechodziła. Szło o 80 talarów; — mogłam tyle pożyczyć i pożyczyłam; pani T. przyjęła nie tylko z wdzięcznością, ale z rozczuleniem i sama dała mi rewers na tę sumę pożyczoną bez oznaczenia terminu.

Takie było stanowisko moje w rodzinie T. po kilku miesiącach pobytu w tym domu. Dotąd cały sposób życia, urządzenie domu pani T. zupełnie były zgodne z moim sposobem życia i nawyknięciami; rodzina ta dla szczupłych funduszków żyła w pewnym odosobnieniu; mało kto tam bywał; — dnie schodziły w ciągłym zajęciu; pani T. około domu zatrudniała się wspólnie z najstarszą córką; młodsze córki, a było ich trzy, na pensję chodziły, wieczory spędzała zgromadzona rodzina, jeszcze zajmując się drobnymi ręcznymi robotami, tylko jedną godzinę zostawiając na wypoczynek, na rozrywkę przy pogadance. Był to istotnie miły i przykładowy widok tej matki pośród czterech córek, zawsze czynnej, spokojnej a troskliwej. Mnie coraz więcej podobało się to życie przy nich; tylko żywioł niemiecki, który zawsze był mi jako Polce antypatyczny, a który mimo zalet rodziny T. przebijał w ich sposobie widzenia rzeczy, ten żywioł był niezmiennie jakąś między mną a nimi przegrodą i nie dał mi zapomnieć, że się pośród obcych znajduję; co jednak nie przeszkadzało, bym ich ceniła, jak na to w moim przekonaniu zasługiwali. Ten stan rzeczy w domu T. po kilku miesiącach zmienił się w pewnym względzie; przybył narzeczony panny T.; była mi ona przedtem wspominała, że jest zaręczona i wspominała dosyć często o swoim narzeczonym z niemiecką marzącą czułością; ślub, jak mówiła, odłożony był, póki p. W. nie uzyska posady w swoim kraju — małym księstwie niemieckim; tymczasem przyjeżdża on niekiedy w odwiedziny i tak właśnie tym razem przyjechał.

Dziwne a niemiłe jakieś wrażenie zrobił mi sposób zachowywania się względem siebie tych dwojga narzeczonych; był to stosunek jakiś taki poufały, że mi prawie wstyd było patrzeć na te objawy nadzwyczajnej czułości; mianowicie ze strony panny T.; byłam ja już przedtem widziała innych narzeczonych, a zachowywanie ich wcale temu nie było podobne; to mię raziło i przypominały mi się uwagi znajomych moich nad zachowywaniem się panny T. w świecie; — ale skądinąd przypominałam, co ogólnie znaną jest rzeczą, że u Niemców narzeczeni mają oddzielne jakieś i odmienne jak gdzie indziej stanowisko; więc nie potępiałam panny T., ale nie mogąc nawyknąć do jej względem pana W. postępowania, unikałam, o ile się dało, ich widoku; dlatego coraz mniej i krócej przesiadywałam w ich gronie familijnym. Pani i panna T. zauważyły to i zaczęły nade mną robić żartobliwe uwagi, jako mię widok narzeczonych drażni, i przepowiadać, że i na mnie przyjdzie kolej, pomimo dotychczasowej mojej obojętności i dumy; pani T. następnie wspominać zaczęła o jednym z synów swoich (miała ich dwóch, oba w wojsku po prowincjach) — ten syn, jak mówiła, był od dawniejszego widzenia mnie zachował o mnie pamięć i właśnie miał teraz do Drezna przyjechać; pewnie starał się będzie skruszyć twarde to serce. Ja przyjmowałam tę mowę za żart (choć niemiły) i żartobliwie też odpowiadałam; wkrótce ów syn pani T. istotnie przyjechał; był to chłopiec zupełnie młody, może o rok albo dwa młodszy ode mnie. Zrazu zachowanie się jego względem mnie było obojętne, a nawet zimne, tak jak moje względem niego; ale po pewnym czasie zmieniło się na obcowanie żartobliwo-przyjacielskie, jednak zawsze przyzwoite; — to, jakkolwiek bynajmniej nie było dla mnie ubliżającym, przecież nie podobało mi się, bo ja nigdy nie lubiłam względem siebie tonu poufałości ze strony obcych, mianowicie ze strony mężczyzn; postarałam się zatem moim postępowaniem zwrócić młodego T. na pierwszą drogę. Wtedy on pomału zastosować się starał, a wkrótce nawet dziwnie jakoś spoważniał i zesmutniał; matka jego nieznacznie i niby zawsze żartobliwie zaczęła mi robić wymówki, ale ja to niedobrze przyjęłam, odpowiadając milczeniem i stroniąc coraz więcej od ich domowego koła. Zauważałam odtąd coraz głębszy smutek u młodego T.; — żał mi się go zrobiło, bo pomyślałam, że kto wie, czy on nie powziął jakich niepotrzebnych i nieuzasadnionych nadziei; winę w tym przypisywałam pani T., której postępowanie z tego względu wcale mi się nie podobało. Odtąd stanowisko moje w tym domu zaczęło być mniej swobodne i o ile można, odosobniałam się od rodziny T. Gdy po paru miesiącach zawsze widziałam młodego T. jednakowym, to jest poważnym i smutnym, a matkę jego jakąś zafrasowaną, umyśliłam położyć koniec temu jakiemuś poplątaniu; przy pewnej odpowiedniej okoliczności, zaczęłam mówić o zamiłowaniu moim do sztuki, a nade

wszystko do życia swobodnego artystycznego i wspomniałam, że, gdyby mi cośkolwiek stanęło na drodze, nie już jako przeszkoda, ale tylko utrudnienie, męczenie mi tej drogiej swobody, rzuciłabym miejsce pobytu, jak już porzuciłam kraj rodzinny, by znaleźć gdzie indziej pożądaną i niezbędną mi wolność i spokój. Ta mowa moja została widocznie zrozumiana; pani T. przybrała na nowo dawną jednostajną wesołość, a jej syn też starał się okazywać dobry humor; lecz łatwo było spostrzec w tym przymus, a po jakimś czasie zaczął słabować i bardzo się nagle zmieniać. Był on zapewne usposobiony do choroby piersiowej, ale w rodzinie T. słabość jego wielki smutek i przestrasz sprawiła. Ja, nie przypisując bynajmniej powodów tej chorobie innych nad fizyczne usposobienie, przecież z żalem dostrzegłam ślady i postępy choroby u młodego T. Matka jego, widząc mnie tem poruszoną, prosiła mnie jak o łaskę, bym od ich grona nie stroniła; że jej synowi nade wszystko potrzeba rozrywki; że rozmowa ze mną jest, jak on mówi, najmilszym dla niego lekarstwem. Niepodobna mi było odmówić takiego przynajmniej dowodu współczucia, zwłaszcza że młody T. był istotnie dobry i szlachetny chłopiec, o czym miałam była sposobność sądzić z rozmów i zdań jego, często sprzecznych z zasadami rodziny całej i z jego synowskiego i braterskiego postępowania względem matki i rodzeństwa. Pomału wróciłam na dawniejsze w domu T. stanowisko, to jest częściej przebywałam z nimi; a gdy następnie dostrzegłam u nich wszystkich przywróconą swobodę i wesołość, ucieszyłam się tym szczerze, bo zdało mi się, że to nastąpiło w części za moją sprawą; że przy tym pani T. ani syn jej bynajmniej nie okazywali powrotu do dawniejszych nadziei czy zamiarów względem mnie, odzyskałam i ja moją swobodę i z całą spokojnością prowadziłam dalej właściwy swój tryb życia. W tym czasie przyjechał do Drezna brat mój; zrobił on mi prawdziwą niespodziankę swoim przybyciem; wyjechawszy dla zdrowia do wód, zboczył umyślnie do Drezna, bez uprzedzenia mnie o swoim przybyciu. Wspomniałam ja wyżej o stosunku moim względem brata; sympatyzowaliśmy bardzo ze sobą — jednak często postępowanie jego martwiło mnie i niepokoiło. Był on usposobienia chorobliwego fizycznie, a stąd i moralnie cierpiał; był niestały, łatwo upadający na duchu — nauki zaniedbywał, chociaż miał wiele zdolności; matka, a następnie wuj jako opiekun wiele z nim mieli kłopotu. Znając jego do mnie przywiązanie, często używali mego nad nim wpływu dla jego dobra; przed wyjazdem moim zagranicę był on ostatecznie obrał sobie zawód, postanowił gospodarować na wsi; ale że był jeszcze zbyt młody, by objąć własne już gospodarstwo, przebywał czasowo u różnych znajomych po wsiach, by się praktycznie gospodarki uczyć.

W chwili gdy przyjechał do Drezna, ani mi przez myśl przeszło, by on zmienił zamiary swoje; jak go tak niespodzianie zobaczyłam, doznałam obok radości jednocześnie jakiegoś rodzaju przestachu; pomyślałam, że mu jakaś nowa fantazja do głowy przyszła i to mnie mocno zmartwiło. Było w tym uczuciu zrazu nie tyle może troskliwości o brata, co egoistycznej troskliwości o siebie samą. Stanęło mi na myśli, że obecność brata może zamącić mój obecny spokój, swobodę i przeszkadzać nauce mojej; ale w jednej chwili zbadawszy to brzydkie, samolubne uczucie, zawstydziłam się samej siebie i postanowiłam być, o ile zdołam, użyteczną bratu. On istotnie przyjechał z powziętym nagle zamiarem; umyślił też popробować zawodu artystycznego; miał on wielki talent muzyczny, był się od dzieciństwa uczył grać na skrzypcach, a podczas naszego z matką pobytu w Dreźnie, brał lekcje od Lipińskiego i wielkie zrobił postępy; jednak od lat paru był całkiem prawie muzykę zarzucił, w części dla zdrowia, a w części przez zwykłą niestałość. Gdy mi teraz objawił zamiar swój niespodziewany, otwarcie mu powiedziałam, że nie rokuje mu wytrwania w nowym przedsięwzięciu; że ani zdrowie jego, ani usposobienie moralne nie odpowiadają zawodowi artysty; gdy jednak upierał się przy swoim, mówiąc, że chce korzystać z pobytu w Dreźnie, ażeby w bliskości mnie naukę prowadzić, że chce brać lekcje od Lipińskiego, odpowiedziałam, iż tymczasem ja tę naukę jego uważać będę za rodzaj próby i dopiero po kilku miesiącach wytrwałej pracy z jego strony osądzimy, czy on może być artystą. Stanęło na tym, że po odbytej u wód kuracji on wróci do Drezna dla oddania się zamierzonej nauce. Zawczasu jednak wtedy brał zrobił mi uwagę, iż tak we własnym jak i jego interesie ja winnam za jego powrotem zmienić mieszkanie; Lipiński, równie jak mój profesor, mieszkał na tamtej stronie rzeki; przy tym brat po kilku dniach widywania mnie w rodzinie T. z wrodzoną sobie bystrością zrobił mi niekorzystne uwagi, mianowicie o pani T., w której upatrywał nieszczerość, a chociaż bynajmniej nieuprze-

dzony przeze mnie, wspomniał też i o młodym T., jakoby pokazywał widocznie dla mnie uczucie, co mogłoby mi z czasem w niemiłym położeniu w tym domu postawić. Powiedziałam wtedy i ja bratu moje dawniejsze spostrzeżenia i uradziliśmy, że tam w żadnym razie nadal nie pozostanę; jednak by im nadto nie ubliżyć nagłem wyprowadzeniem się, powiedziałam bratu, że przeczekam czas do jego powrotu, który miał nastąpić za sześć tygodni.

Chcąc zachować należne względy dla pani T., która dotąd zawsze była ze mną postępową życzliwie, umyśliłam ją zawczasu uprzedzić o zamiarze moim przeniesienia się. Skoro tylko brat wyjechał, oznajmiłam pani T., że za jego powrotem zamysłam, chociaż z żalem, jej dom opuścić. Ta wiadomość, zdało się, że ją mocno zadziwiła. Odpowiedziała zapytaniem o powody; ja powiedziałam jej główne; raz że brat mój dla zdrowia nie mógłby mieszkać w tej części miasta, a ja chcę być blisko niego; potem i na własne zdrowie mieć wzgląd muszę, i obawiam się drugą zimę przechorować, gdybym znów odbywać miała niezbędne przez most wędrówki. Pani T. wtedy z widocznym nieukontentowaniem odparła, że nie wie, dlaczego mi tak nagle ta obawa przyszła, że chyba mam jakie inne powody. Na to ja odpowiedziałam, iż się dziwię, że pani T. w taki sposób tłumaczy moje postanowienie. Ona, widząc mnie niemiłe zadziwioną, przeszła nagle z tonu nieukontentowania w ton żalu; zaczęła rozwodzić się ze swojemi dla mnie macierzyńskimi uczuciami; jako była sobie pochlebiała, że ja, póki bym w Dreźnie bawiła, nie opuściłabym jej domu itp. Ale te oświadczenia już mi się nieszczerze wydały i odpowiedziałam tylko grzecznie, dziękując za życzliwość i zapewniając panią T., że gdyby nie konieczność, pewnie bym u niej dalej mieszkała. Od tej chwili już zmienił się zupełnie mój sposób widzenia co do pani T., a że się nigdy ukrywać nie potrafiłam z uczuciami mojemu, musiałam do pewnego stopnia i mój sposób postępowania w tym domu zmienić; na nowo oddalać się zaczęłam od ich koła domowego, zachowując jednak wszelką należną uprzejmość względem nich wszystkich. Postępowanie zaś całej rodziny T. względem mnie zdało się, jakoby w miarę mojej obojętności stawało się owszem coraz serdeczniejsze; syn tylko pozostał jednakowy zrazu, a następnie stawał się jakiś coraz obojętniejszy. Od rozmowy mojej z panią T. ona kilkakrotnie wobec zgromadzonej rodziny poruszała kwestię bliskiego naszego rozstania się; mówiła o tym w tonie rozczulenia i żalu; reszta rodziny (wyjąwszy syna) wtórowała, ubolewając i namawiając, bym odstąpiła od tego postanowienia; na co ja odpowiadałam nic nieznaczącymi, chociaż grzeczными słowami i zwracałam rozmowę na inny temat.

W kilka czy kilkanaście dni pani T., będąc sam na sam ze mną, zaczęła mówić o bliskim terminie mojego wyprowadzenia się i coś przebąkiwać, że ją późno o tym uprzedziłam. Ja z zadziwieniem zapytałam, dlaczego i jakim sposobem miałam ją wcześniej uprzedzić, kiedy sama nie byłam jeszcze powzięła ostatecznego postanowienia. Pani T. odrzekła, że w takim jak jej, niezamownym domu każda zmiana daje się uczuć i wielką stanowi różnicę; że ubytek jednej osoby wymaga zaraz i zmniejszenia mieszkania. Przerwałam pani T., ażeby zrobić uwagę, że to mieszkanie już dawno przed przybyciem moim zajmowała. Odpowiedziała, że to prawda; ale że, gdyby nie przybycie moje, byłaby je zmieniała; a przynajmniej teraz, mając mieć jeden pokój zbyteczny, gdyby na czas była uwiadomiona, byłaby się postarała o wynajęcie. Te wszystkie powody widocznie były nakręcone, boć pani T., wynajmując mi ten pokój, wcale układu ze mną nie robiła ani uprzedziła, jak i kiedy mam o wyprowadzeniu się uwiadomić; zrozumiałam więc, iż tutaj chodziło jedynie o wyciągnięcie jakiegoś większego zysku, i uważając już teraz panią T. jako obcą zupełnie a interesowną kobietę, odpowiedziałam: że jakkolwiek nie poczuwam się do obowiązku odpowiadania pani T. za wynajęcie lub nie opuszczonego przeze mnie pokoju, przecież by jej jako dawnej znajomej matki mojej nie dać nawet mimowolnego powodu do żalu, zobowiązuję się przy wyprowadzaniu zapłacić za jeden miesiąc więcej, jeśli się dotąd nie wydarzy odnajęcie ten pokój. Pani T. zimno podziękowała, dodając wszakże, iż to nie zapewni jej powetowania straty, bo się może i przez pół roku nie zdarzyć sposobność wynajęcia. Ja, zniechęcona już zupełnie do tej kobiety, nic więcej nie powiedziałam i odtąd z coraz większą niecierpliwością wyglądałam chwili wydobycia się z jej domu. Za przybyciem brata niebawem wyszukaliśmy dogodne mieszkanie, a chociaż pozostawało mi jeszcze parę tygodni do przemieszkania miesiąca, nie chciałam dłużej bawić pod dachem pani T. Dniem przed zamierzonym wyprowadzeniem się, uprzedziłam o tym panią T.; nazajutrz z rana kazałam sprowadzić ludzi do przenoszenia rzeczy,

a tymczasem poprosiłam tę panią, by się ze mną obrachowała. Przypomniałam jej wtedy dopiero dług 80-ciu tal. i zażądałam, by odtrącając należne jej podług obietnicy mojej dwumiesięczne pieniądze, zwróciła mi resztę. Pani T. odpowiedziała zimnym i suchym tonem, że nasz rachunek nie tak jest prosty; że jej się ode mnie należy nie za dwa miesiące, ale za pół roku zapłata. Tyle bezczelności zrazu zdało mi się niepodobieństwem; odrzekłam, że nie rozumiem; ale gdy pani T. dalej zimno a stale obstawała przy swoim, dodając, iż mię o tym już temu dni kilka uprzedziła, oburzyłam się i zapowiedziałam, że bez odwołania się do sądu trzeciej, a doświadczonej w tym względzie osoby, nie zastępuję się do żądania pani T. Wtedy przyszli zawołani ludzie dla zabrania rzeczy; pani T. im nic z miejsca ruszyć nie dozwoliła, mówiąc, iż moje rzeczy zatrzymuje w zakład za należne jej ode mnie pieniądze. Ja, do reszty obruszona, tej chwili wyszłam i udałam się po radę do Lipińskich; oni bez wielkiego zadziwienia przyjęli tę wiadomość, mówiąc, iż to nie pierwsze tego rodzaju zajście w Dreźnie między cudzoziemcami a miejscowymi; że ci ostatni najwięcej korzystają z polskiej dobroduszości lub niedbałości w interesach; zawczasu też zapowiedzieli mi Lipińscy, że nic nie wskóram z panią T., która widać naprzód już ułożyła sobie plan postępowania, chyba bym wzięła adwokata za pośrednika. Ja tak byłam rozjątrzona, a razem przekonana o nieuczciwości postępków pani T., że przez samą miłość prawdy postanowiłam rzeczy dochodzić nawet na drodze prawnej. Lipińscy wskazywali mi znanego sobie z prawości adwokata i niebawem poszłam do niego. Po wysłuchaniu mnie adwokat odpowiedział od razu, że widzi w sprawie mojej dwie rzeczy na moją niekorzyść; naprzód że mam do czynienia z nieuczciwymi ludźmi (bo on ze słyszenia też znał rodzinę T.); potem że nie mam żadnych na piśmie dowodów na swoje poparcie. Dodał jednak, że nie wątpi o wygranej dla mnie, gdybym przysięgę wykonała, bo tego strona przeciwna zażądać może; ja z czystym sumieniem przysiąc mogłam, iż nie było żadnych między mną a panią T. układów; jednak wolałam nie dopuścić tej ostateczności i upoważniłam adwokata, by w moim imieniu polubownie rzecz ułożył; ja nie chciałam już widzieć rodziny T., a mianowicie matki; więc uprosiłam tego pana, by sam tam poszedł dla zagodzenia sprawy, chociażby z pewną z mej strony pieniężną ofiarą. W parę godzin wrócił adwokat i wręcz mi powiedział, że nic nie ma do zrobienia z panią T. — że ona rzecz do ostateczności doprowadzić zechce; a chociaż powtórzył, iż w końcu ja bym wygrać musiała, jednak dodał, że pewnie odrzekłabym się stokroć nawet większej straty pieniężnej, gdybym poznała wszystkie przykrości procesu, na jakie wystawiona być bym musiała jako kobieta i nadto cudzoziemka. Radził mi więc co prędzej skończyć tę rzecz płacąc podług wymagań pani T., tj. zwracając jej rewers na 80 tal., bo to żądanie ostatecznie oświadczyła jemu. Brat mój, którego ja wcale w tę rzecz nie chciałam mieszać, bojąc się jego usposobienia gorączkowego, a razem wiedząc, iż on, równie jak ja niedoświadczony, nic by tutaj nie poradził, brat mój odezwał się, popierając zdanie adwokata. Zresztą ja sama uznałam teraz, że to najrozsądniej, i chciałam niebawem przez adwokata rewers zwrócić; ale na moje wielkie zmartwienie adwokat na to nie przystał; powiedział, że się bez mojej obecności nie obejdzie, gdyż potrzeba będzie mojego podpisu, na jakimś protokóle, który musi być sporządzony za wspólną zgodą, ażeby się zapewnić, że pani T. żadnych w przyszłości nowych nie wynajdzie sobie pretensji. Musiałam więc zastosować się do konieczności; uprzedziłam tylko adwokata, iż ja ani się chcę odzywać, że jego upoważniam do ukończenia jak najprędzej tak, abym tylko podpis położyć potrzebowała. Za przybyciem moim z adwokatem do pani T. zastałam całą rodzinę zgromadzoną; wszyscy okazali zadziwienie na mój widok, nie spodziewając się zapewne, bym tak rychło kończyć chciała. Młody T. za wejściem moim pobladł mocno i wstawszy z miejsca, natychmiast wyszedł. Zaczęła się rozprawa między panią T. a adwokatem; ten od czasu do czasu zwracał się do mnie, by żądać moich objaśnień na odparcie dowodów pani T.; ale ja odpowiadałam, że już mu rzecz raz wyjaśniłam i proszę, by co prędzej kończył, gdyż mi pilno wyjść z tego domu. To mówiłam po francusku, ale głośno, wiedząc, że nie będę zrozumiana; wreszcie adwokat spisał ów zapowiedziany protokół; był to rodzaj kwitu pani T. dla mnie, jako nie ma żadnych już do mnie pretensji. Zwrócił jej rewers i na tym się skończyła ta licha sprawa. Było to pierwsze tego rodzaju doświadczenie dla mnie; byłam oburzona nie tyle interesownością, jak fałszem pani T.; z uczuciem pogardy i obrzydzenia weszłam ten raz ostatni do jej domu, a nie chcąc ubliżyć samej sobie, nie odezwałam się cały czas; jednak nie mogłam przenieść na sobie, by przed wyjściem nie dać jej uczuć me-



go oburzenia; byłam ja przy wejściu bez ukłonu usiadła opodal, jakby milczący świadek; dopiero wychodząc, zatrzymałam się we drzwiach i ukloniwszy się wszystkim, zwróciłam do pani T. już po niemiecku te słowa: „dziękuję za wszystko dobre wyświadczone w tym domu mnie, sierocie”. Oni wszyscy odpowiedzieli niskim ukłonem, nie zrozumiawszy może od razu ironii, a ja natychmiast poszłam w swoją stronę, kazawszy przy sobie rzeczy moje zabrać.

To zajście z panią T. podwójnie działało na mnie; raz jako nowe doświadczenie, przestroga co do dalszego pośród obcych życia — to była dobra strona rzeczy przykrej, bo jak mówią: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło; ale ja w razie nie tak filozoficznie przyjąłam niespodziewany zawód: — przeciwnie, mocno uczułam tak jawny fałsz, oszustwo ze strony osoby, której przez pamięć na matkę byłam całkiem zaufała; i to było drugie wrażenie sprawione jednymże faktem; a silniejsze i trwalsze od pierwszego, bo dotknęło bolesnej u mnie strony, owego uczucia nieufności i pogardy dla świata i ludzi. To uczucie było mi nie tylko przez dalszych wyrzucane, ale ganione przez matkę; a że od jej śmierci postanowiłam była kierować się nadal w życiu odebranymi od niej naukami i przestrogi, usiłowałam wytepić w sobie to, co matka za złe uważała; tą wiedzioną myślą, byłam serdecznie przyjęła pozorne dowody życzliwości ze strony obcej rodziny; tymczasem gdy się znów zawiedziona znalazłam, obudziła się na nowo dawniejsza moja niechęć do świata i jak ślimak dotknięty kryje się co prędzej do skorupki swojej, tak ja na nowo zamknąć się w sobie postanowiłam i odosobnić od ludzi w czuciu — to jest ani dbać, ani liczyć na nikogo, samej sobie tylko zaufać i wystarczyć. Było w tem postanowieniu może wiele samolubstwa — może i pychy cokolwiek — lecz okoliczności, zda się, utwierdziły mię w tym poglądzie na życie. Przyplącałam jednak i tę nową naukę i postanowienie; przechorowałam doznaną przykrość; febra wróciła mi się nagle, co spowodowało nową kilkotygodniową przerwę w nauce mojej malarstwa; brat mój ze swojej strony, pracując nad muzyką, niedługo uczuł skutki wysilenia; zaczął upadać na siłach i zaledwie po kilku tygodniach zarzucić musiał naukę.

Jakby na pocieszenie nas i chwilowe wyrwanie z tego niewesołego stanu rzeczy, odebraliśmy z domy wiadomość od siostry, że za mąż wychodzi wkrótce i czeka naszego na jej ślub przybycia. Że wybór siostry padł na godnego ze wszech miar człowieka, ucieszyłam się tym serdecznie i wybraliśmy się niebawem z bratem do Warszawy. Parę miesięcy spędzonych pośród rodziny ubiegło jak dni parę; ale te chwile radości uważałam tylko jako czas wytchnienia; więc znów pożegnałam rodzinę i w towarzystwie przyzwoitej kobiety jadącej zagranicę wróciłam do Drezna. Brat mój usłuchał mej rady i został w kraju dla oddania się obranemu dawniej zawodowi. Za powrotem do Drezna udało mi się znaleźć pokoik dla siebie w domu, gdzie mieszkała jedna ze znajomych mi polskich rodzin i wróciłam do mojej nauki. W tym czasie osoby życzliwe, chcąc mi ułatwić dalszą naukę, poradziły mi, bym moje roboty malarskie paru znawcom pokazała; uczyniłam to i obok pochlebnego zdania o robotach moich posłyszałam zdanie, jakoby mój rodzaj malowania innej potrzebował szkoły. Zaczęto mi mocno doradzać, bym nie tracąc czasu, jechała naprzód do Francji, a potem do Włoch. Ja zrazu przyjąłam tę radę obojętnie; zdało mi się, że jeszcze mogę wiele skorzystać od mojego drezdeńskiego profesora; ale gdy mi nie przestano powtarzać powyższego zdania, uwierzyłam, że muszą być słuszne, i po pewnym namyśle rozpoczęłam starania o paszport do Francji. By powziąć to postanowienie, musiałam przełamać niewytłumaczoną jakąś niechęć do Francji, a mianowicie do Paryża; zawsze bowiem, odkąd pomyślałam o podróżowaniu dla nauki malarskiej, zdążałam głównie do Włoch myślą jako do celu artystycznej pielgrzymki; zaś Paryż mijałam, gdy mi się nie wiedzieć skąd jakoś natrętnie na myśl nasuwał. Teraz, nie zważając na tę moją niewytłumaczoną do Paryża antypatię, postanowiłam jechać tam jako do ogniska wszelkiego ruchu intelektualnego; a mając tam siostrę, pomimo iż jej właściwie nie znałam (gdyż ona, opuszczając kraj dla zaślubienia Mickiewicza, odjechała mię dzieckiem małym), przecież osądziłam za rzecz najprostszą przy siostrze w Paryżu zamieszkać. Gdy objawiłam ten zamiar życzliwym mnie znajomym, zaczęły mi najmocniej odradzać; powiadali, że gdy się znajduję pośród żywiołów dziwnych, niewytłumaczonych, jakie towianizm w domu Mickiewicza zaszczepił, utracę wszelką swobodę, zaniecham nauki, jakiej się poświęciłam obecnie; co gorsza, zobaczę i usłyszę tam niejedną osobę, której nowe niby i wyższe idee do najniemoralniejszych czynów prowadzą. To mi mówiły kobiety

starsze, godne ze wszech miar szacunku i wiary; miałam dowody ich dla mnie życzliwości, więc mogłabym była im zaufać; a przecież nie poszłam ślepo za ich zdaniem. Udałam się po radę tam, gdzie czerpałam od roku siłę do życia; wywołałam wspomnienie matki; ona ganiła mi zbytnią łatwowierność co do złego, jakie na świecie wydarzać się może; więc powiedziałam sobie, że przecież u siostry znajdę opiekę, gdyby nawet znaleźli się tam tacy, którzy by chcieli pokój mój zakłócać. Zresztą pomyślałam jeszcze, skoro nie mam ani chęci, ani usposobienia, by się zajmować temi jakimiś nadzwyczajnymi rzeczami, które są (to jest wówczas były) nad moje pojęcie, łatwo o tem przekonałam każdego, bo zajmować się będę tylko nauką moją, a w nic innego wdawać ani o nic pytać się nie będę. Było to bez wątpienia postanowienie dosyć egoistyczne, ale usprawiedliwia mię po części przekonanie, jakie wówczas miałam, że siły moje nie po temu, by się zajmować rzeczą, o którą, jak słyszałam, rozbiła się niejedna wyższa inteligencja. To wszystko rozważywszy, postanowiłam ostatecznie zamieszkać w Paryżu u siostry; ale wprzód chciałam wiedzieć, czy to jej będzie po myśli, boć, jak ja jej, tak ona mnie nie znała; — a jeśli by tak być miało, jak niektórzy mówili, że nauka Towiańskiego zobojętniała każdego do związków rodzinnych, to i cóż by znaczył u Mickiewiczów mój tytuł siostry. A miałam pewne powody wierzyć temu, gdyż wiedziałam od osób z rodziny, że od czasu jak Towiańskiego duch opanował dom Mickiewiczów, Celina, co dawniej z rzadka wprawdzie (by nie kompromitować u rządu) pisywała jednak do bliższych krewnych, następnie zarwała całkiem stosunki listowne z rodziną. Rozsądną więc z mej strony rzeczą było napisać do siostry z zapytaniem, czy mogę wprost do niej zajechać, i uczyniłam to. Bardzo rychło odebrałam od Mickiewiczowej odpowiedź, co mię naturalnie utwierdziło w powziętym zamiarze.

Ale pozostawała jeszcze do przełamania trudność o paszport; niechętnie, prawie wjątkowo, udzielał wtedy rząd rosyjski paszportu do Paryża. Od chwili, gdy zrobiłam o to podanie, schodził tydzień za tygodniem, aż do paru miesięcy zeszło, a nie miałam żadnej odpowiedzi. Wtedy dziwny jakiś opanował mię niepokój; ja, co przedtem nie tylko obojętnie, ale niechętnie o Paryżu myślałam, teraz czułam się jakąś niewidzialną siłą tam pociągana. Nie było to uczucie zwykle niecierpliwości, które każde oczekiwanie i niepewność wywołują; nie był też to głos serca obudzony listem serdecznym siostry; nie, to nie było żadne z tych uczuć; było to coś, jakby głos przyzywający mię tam — jakby wołanie — a szłam za tym głosem jak z konieczności — z obowiązku; sama sobie naówczas nie umiałam zdać sprawy z doznawanego uczucia, a udręczona się czułam. Raz na przykład, patrząc na portret matki (co zwykłam była czynić w chwilach smutku i walki moralnej), nagle ze łzami w oczach i załamawszy ręce, zawołałam: „Boże, czegóż Ty chcesz ode mnie?”. Wkrótce potem, nie doczekawszy się urzędowego pozwolenia, wyjechałam do Paryża; zabrałam się z pewną rodziną niemiecką, do której się przyłączyłam dla przebycia granicy i tak dostałam się do Paryża.

Pierwsze wrażenia odebrane w nieznanem miejscu są zwyczajnie (dla mnie przynajmniej) stanowcze, nieomyłne; otóż na wstępie do domu Mickiewiczów uderzył mię jakiś nieład powszechny, zaniedbanie, rozprzężenie jakieś; to pierwsze wrażenie było, wyznaję, przykre dla mnie, ale mię nie zniechęciło, tylko umocniło w zamiarze, by się pośród wszystkiego, co mię otaczać miało, odosobnić niejako — by zachować własną swobodę i sposób życia sobie właściwy. Po tem ogólnem pierwszym wrażeniu doznałam następnie wrażeń pojedynczych; główne były następujące: Mickiewiczowa, którą widziałam wtedy jakby po raz pierwszy, miała na całej swojej osobie głównie cechę zaniedbania, przygnębienia, co na mnie wywarło jakiś osobliwy smutek, a wyznaję szczerze, nie obudziło zaufania do nieznaney mi siostry; bo w jej wejrzeniu, ruchu i całej postaci znalazłam potwierdzenie zdania ogólnego, jakoby umysł jej pozostał błędny od owej pamiętnej choroby. Przecież radość, z jaką mię powitała, okazała mi braterskie jej dla mnie uczucia i pociągnęła mię ku tej biednej siostrze. Widok Mickiewicza na razie też nie obudził bezwarunkowej u mnie sympatii; pierwsze spojrzenie, jakie na mnie zatrzymał, uderzyło mię jakąś siłą badawczą, egzaminującą — zdało mi się, jakby mię on chciał na wskroś przeniknąć; i tej chwili powstało we mnie draśnięte uczucie własnej niejako wartości — postanowiłam w duchu mieć się na baczności, by zachować we wszystkim wolę, zdanie i czucie własne, nawet wobec tego człowieka, którego wielkość uznawałam, a poświęcenie dla ojczyzny czciłam w nim i byłabym chciała naśladować, gdybym była miała siły i pole

po temu.

Pośród dzieci Mickiewiczów, najstarsza córka, Marynia, jedna zrobiła na mnie odrębne a miłe wrażenie; wyczytałam w jej jasnym spojrzeniu sympatię szczerą, dziecięcą; uczułam, że ona mię pokocha i przywiąże mię do siebie. Reszta jej rodzeństwa, tj. siostra i bracia, wydali mi się całkiem zaniedbani; zdało mi się w nich widzieć jakby dzieci natury, ale natury jakiejś dzikiej, mętnej; tutaj znów stanęło mi na myśli, co słyszałam przed przybyciem do Paryża, jakoby Mickiewiczowie, idąc za teorią Towiańskiego, zostawiali dzieci swoje na łasce bożej, jak to mówią, nie zajmując się wcale rozwinięciem ich umysłu ani jakimkolwiek wykształceniem. Że jednak obok reszty dzieci widziałam Marynię, pomyślałam, iż to przecież musi pochodzić w znacznej części i z usposobienia indywidualnego dzieci samych; zresztą byłam postanowiła zawczasu najszczerzej nie sądzić tutaj o czemkolwiek z samego pozoru. Czułam, że przybyłam niekorzystnie uprzedzona; a że obok tego wrodzona mi była nieufność, miałam się na baczności przeciw samej sobie; bo matki mojej w tym względzie przestrogi wyryte miałam na zawsze w myśli i sercu — tak jak wszystkie rady od niej odebrane i wszelkie o niej wspomnienia. Powtarzam więc, iż pomimo tych pierwszych niemiłych wrażeń, zamiar mój pozostania przy siostrze nie został zachwiany — ale wyznaję, że po tych spostrzeżeniach powstało we mnie jakieś uczucie osamotnienia moralnego, graniczące z obojętnością na wszystko, co mię otaczało. Obok tych pierwszych wrażeń, o których wyżej mówiłam, wspomnieć muszę jeszcze o jednym, najsilniejszym może; to wrażenie wywarła na mnie kobieta obca, tj. nienależąca do rodziny Mickiewicza, a jednak zajmująca w jego domu jakieś odrębne a poufne stanowisko; zwano ją Ksawerą; opiszę tutaj szczegółowo pierwsze moje z nią spotkanie, bo zejście się z tą kobietą w domu Mickiewicza uważam za fakt ważny; z mojego bowiem chwilowego z nią zbliżenia się wynikły wszystkie dalsze okoliczności. Pomimo wstępu muszę tutaj wywołać to i wiele innych wspomnień, bo idzie o objaśnienie smutnej przeszłości.

Po pierwszych z rodziną Mickiewicza powitaniach, siostra moja poprowadziła mię do przeznaczanego dla mnie pokoju; był on na górze nad jej pokojem; mając iść na schody, rzuciłam okiem w górę i zobaczyłam na przedsionku stojącą kobietę z dzieckiem na ręku; spotkałam wzrok tej kobiety utkwiony we mnie z siłą tak przenikającą, że uczułam niepokój jakiś ze wstętem dla tej kobiety połączony; jednej chwili stanęły mi na myśli przestrogi owych starszych kobiet: „zobaczysz tam i usłyszysz ludzi, których idee, niby nowe i wyższe, do najniemoralniejszych czynów prowadzą”; — to ostrzeżenie przypomni mi pierwszy widok Ksawery; — a świadczę się sumieniem moim, że nikt mi przed przybyciem do Paryża o Ksawerze nie mówił; nie tylko więc nie wiedziałam, że ją u Mickiewicza zobaczę, ale niewiadoma mi była egzystencja tej kobiety na świecie. Tutaj najlepiej dowiodę, jak dalece bezstronną i ostrożną w sądzeniu być chciałam; pomimo wstępu, jaki obudził u mnie widok Ksawery, gdy siostra przedstawiła mi ją jako przyjaciółkę domu, podałam jej rękę szczerze, serdecznie i z pewnym wewnętrznym wyrzutem postanowiłam zatrzeć pierwsze uczucie niechęci mimowolnej. Uderzyło...

(Tu pamiętnik się urywa, natomiast rękopis zawiera kilka słów spisanych przez Zofię Szymanowską, a tyjących przeważnie Mickiewicza).

## SEN MÓJ Z 30 STYCZNIA 1860 R. W RZYMIE

Znajdowałam się w jakimś obszernym pokoju, gdzie było kilka osób zebranych — pośród nich Adam, Lenartowicz i ja — my troje odosobnieni od reszty, tak że ja nie widziałam innych — myśmy byli blisko siebie w małym półkolu w sposób taki: Adam stał wprost mnie, Lenartowicz siedział na jakimś niskim siedzeniu obok Adama w głębi półkola, bokiem od Adama i do mnie, z głową wzniesioną i zwróconą ku Adamowi — ja obok Lenartowicza siedziałam na krześle na wprost Adama, na niego też patrząc; Adam zwrócony do Lenartowicza mówił: „byłoby wiele do pisania o tych ostatnich chwilach, o myślach moich” — a mówiąc to, zdawał się mocno wzruszony i łzy miał w oczach — po chwili mówił dalej, ale co, nie zapamiętałam, tylko zauważałam, że wspomniął o swoim kałamarzu; Lenartowicz, jakby odpowiadając Adamowi, powiada: „ja nieraz myślałem o tem, ale to trudno, niepodobna teraz...” Adam z gniewem przerywa: „niepodobna, niepodobna to trzeba koniecznie” — tutaj L. powstał i pocałował Adama w twarz — Adam nagle poczerwieniał i zrobił jakiś ruch nieukontentowania, jakby odsuwając się

od Lenartowicza — ale ten ujął go za rękę obiema rękami i siadając, złożył rękę Adama na swoich kolanach, zawsze ją trzymając; ja patrzyłam na to wszystko w milczeniu, ale w duchu ganiąc Lenartowicza za jego odpowiedź i za całe znalezienie się — za ledwie to pomyślałam, Adam zwrócił na mnie oczy i z twarzą dziwnie rozjaśnioną, i z tą rubaszną wesołością, z jaką zwykł był czego żądać w zaufaniu, powiada do mnie: „Ot ja ciebie proszę Panno Zofio niechaj to...” wtem ktoś z obecnych, których zawsze nie widzę, niby brat mój, woła na mnie: „chodź, pójdziemy na grób...” i dodaje czyj, ale nie rozróżniłam dobrze, czy powiedział na grób Adama, czy matki naszej; ja na ten głos powstałam, ale nie odchodzę, tylko stoję, chcąc słuchać dalej, co Adam mówi — tutaj zatarł się sen.

Sen następujący:

### SEN CZWARTY, PARYŻ, W STYCZNIU 1856

Szłam jak zwykle rano z mego i Maryni sypialnego pokoju, przez salon do pracowni mojej (dawniej pokoju Celiny); znalazłszy drzwi zamknięte, stukam, przez drzwi odzywa się Adam: „czego chcesz?” — odpowiadam: „to ja — przychodzę...” Adam, nie czekając, bym skończyła, otwiera drzwi i mówi: „dobrze, że przychodzisz; właśnie tu układam jeszcze niektóre papiery...” i nie ciągnąc dalej, zbliża się do biurka, które ja po śmierci Celiny byłam na mój użytek obróciła; wybiera Adam różne jakieś stamtąd pisma — a że zdaje się zapominać o mojej obecności, odzywam się po chwili: „nie będę panu Adamowi przeszkadzać, tylko przypominam o godzinie<sup>43</sup>...”

„A, prawda” — przerywa mi znów Adam — „muszę nakręcić zegarek” — i wyjmuję z biurka jakiś zegarek stary. — „A-ale nie ma kluczyka — nie masz ty swojego?” — podałam mu kluczyk od mego zegarka, a skoro tamten nakręcił i skinął mi głową, jakby żegnając, zwróciłam się ku drzwiom do wyjścia; tutaj marzenie zatarło się, ale usłyszałam przez sen dzwonienie kilkakrotne i obudziłam się jakoś niespokojna; teraz już na jawie usłyszałam dzwonienie — zadziwiłam się mocno, bo jeszcze bardzo było rano — jeszcze ciemno było na dworze; smutne przecucie serce mi ścisnęło — była to wiadomość o przybyciu zwłok Adama. — Sen ten cały dziwny — ale uderzył mię w nim szczególniejszym ustęp o zegarku; — już w pierwszym śnie były zegarki i wzmianka o jakiejś oznaczonej godzinie; po tym czwartym śnie, miałam jeszcze sen o Adamie i znów o dwóch zegarkach — ale tego snu nie zapamiętałam jasno. Następnie w parę miesięcy, gdy z dziećmi wyjechałam do St. Germain, pierwszej tam nocy śnił mi się Adam.

### SEN PIĄTY, ST. GERMAIN 1856

Jestem w St. Germain — niby tylko co przybyłam do mieszkania; wchodzi Adam z paroma osobami, których nie rozpoznaję; — „Dobrze, żeś tutaj przybyła” — rzeknie Adam do mnie — i zaczyna coś dalej mówić o przyszłości — o Napoleonie — ja słucham, ale w duchu nie jestem przejęta mową Adama — on jakby to dostrzegł, powiada do mnie: „ty pójdziesz ze mną”. — „Ależ nie zdołam” odpowiadam. — „Musisz” odrzekł Adam z taką siłą i powagą w spojrzeniu i geście, że jakimś nowym tchnieniem ożywiona, postąpiłam ku niemu — i znikło widzenie, a ja obudziłam się pod wpływem jeszcze tej siły Adama.

### SEN SZÓSTY, PARYŻ, ROK 1856

Znajduję się w mieszkaniu dawniejszym — w Arsenale; wchodzę do salonu — tam zastaję kilku mężczyzn — między nimi zwykłych Adama gości, B. G. Z. — zrazu nie widzę Adama — szukam go wzrokiem, a nie znajdując, chcę wyjść do drugiego pokoju; — wtem spostrzegam Adama siedzącego obok drzwi; gdy widzi mię zmierzającą ku wyjściu, rzuca na mnie spojrzenie, które mię zatrzymuje jak wrytą na miejscu; wyczytałam w tym wzroku Adama, naraz jakby wyrzut i rozkaz, bym pozostała w gronie otaczających go.

Sen ten tak krótki przecież głęboko mię poruszył; tym większy był wpływ jego na mnie, że w czasie, gdy go miałam, byłam zasłabła na duchu; codzienne troski, zajęcia smutne w gronie rodzinnym Adama, niepewność co do przyszłości i kierunku tych dzieci — to wszystko odbierało mi siłę woli, którą dotąd byłam zawsze posiadała; zaczęłam

<sup>43</sup>tylko przypominam o godzinie — Miałam ja zwyczaj Adamowi mówić, gdy był czas iść do biblioteki. [przypis autorski]

myśleć o bezużyteczności dłuższego poświęcenia czasu i sił własnych — uczułam pragnienie opuszczenia tutejszego tak ciężkiego stanowiska mojego — zapagnę...

(brakuje)

...taj obowiązków moich.

## SEN ÓSMY, PARYŻ, ROK 1857

Znajdowałam się w gęstym lesie z drugą jakąś osobą, kobietą; ta prowadzi mnie ku jakiemuś pomnikowi grobowemu — jest to jakby sarkofag z białego kamienia, a na nim leżąca postać wyciągniętą ma rękę w naszą stronę z gestem wskazującym; na ten widok zdjęta trwogą chcę wrócić się; ale moja towarzyszka nie pozwala na to i powiada, iż powinnam poprawić tę rękę, której palce pokurczone, bo tylko palec wskazujący widny; ja wzbraniam się, mówiąc, że nie rzeźbiarstwem, ale malarstwem trudnię się, więc nie potrafię tutaj poradzić; pomimo odpowiedzi mojej, czuję się niewidzialną jakąś siłą ku grobowcowi posunięta; za zbliżeniem się usiłuję rozpoznać, czy to matki mojej, czy Adama grobowiec — nie mogę zdać sobie z tego sprawy — i znów ogarnia mnie przestach i odwracam się od grobowca, by odejść; — spieszenie postępuję kilka kroków ku mojej towarzyszcze, która stoi opodal — nagle czuję, iż suknia moja przytrzymana — przerażona oglądam się poza siebie i widzę, że owa kamienna ręka uchwyciła suknię moją — rzucam wzrok na twarz posągu — ta, co wprzód, równie cała jak postać, na wznak leżała, teraz obrócona ku mnie, z szeroko otwartymi oczami, we mnie wlepionymi z wyrazem jakiegoś gniewliwego rozkazu; po tym wzroku poznaję Adama i przejęta nieopisanem uczuciem żalu, trwogi i rozpaczki zarazem, zanoszę się od płaczu — tak się obudziłam.

Sen ten miałam, gdy byłam w najsmutniejszym usposobieniu. Oczekując możności wyjechania stąd, a nie mając żadnej jeszcze co do tego pewności, codziennie walczyć musiałam ze zniechęceniem i zwątpieniem — przemyślając, czy aby na krótko dozwolonym mi będzie wypocząć przy siostrze po tylu cierpieniach i walkach przebytych. W dniu, którego nocy sen ten miałam, byłam więcej niż zwykle przygnębiona; kładąc się spać, przemyślałam zaczęłam nad tem położeniem mojem bez przyszłości, bo bez nadziei żadnej, bez wiary w jakieś dla siebie, nie już szczęście, ale pokój jakiś, swobodę — te jedyne dla mnie w życiu skarby, które osiągnąć było od śmierci matki celem moim jedynym; temi myślami rozszalona, z płaczem zapytywałam siebie samej, to cieniów matki i Adama, póki ja tak tutaj mam żyć w odrętwieniu moralnym, przykuta do miejsca, do obowiązków dobrowolnie przyjętych, ciężkich, a teraz nad siły moje i możliwość utrudnionych mi przez nieprzewidziane okoliczności. — Z tym zapytaniem: „pókiż tak będzie?” zasnęłam i miałam sen, który nie dodał mi nadziei.

Dzisiaj, po upływie roku odczytując to, widzę i rozumiem znaczenie snu tego; w kilka tygodni później (tj. po tym śnie) przybył T. G. dla zażądania ręki Maryni i zaślubił ją; myślę więc, że ten gest Adama z grobowca i przytrzymanie mnie w miejscu było przepowiednią i objawieniem woli zarazem.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/brazownicy>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, *Bronzownicy*, Warszawa 1930

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: Dennis Jarvis@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0089-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).